

DO KRAJU ZADUMY

Polesie, Polski stara miedzo barwna,
 Bagienna połąć zadumy i czaru,
 Prostota szczerza i bajka figlarna,
 Urzekająca dzikością moczarów.
 Wozami skrzypiąca – i bydła porykiem,
 Śpiewem basów cerkiewnych aż po brzegi pełna,
 W nocy kołysana poleskim słowikiem,
 Lny twoje przedziwo i owieczza wełna.
 Płowe włosy chłopaków i dziewcząt warkocze
 I teraz widzę jasno mimo tylu lat upływu –
 I widzę jak żuraw przy studni chybocze,
 I słyszę śpiew żniwiarów – i rosnę z podziwu.
 Bajko moich wspomnień, poleska kraino!
 Ludu zamyślony, w ziemi zakochany,
 do ciebie moje myśli z tej oddali płyną, –
 na twarzy jestem spokojny, a w sercu spłakany

Franciszek Lachocki

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁY

Urszula Adamska, <i>93 Rocznica odzyskania niepodległości</i>	2
Józef Szaniawski, <i>Hołd Ruski</i>	4
Lidia Romanowicz, <i>Dzieci z Domaczewa</i>	6

Z NASZEGO ŻYCIA

Nasza praca	8
Natalia Michnowska, <i>Z tradycją rękodzieła w przyszłość</i>	10
Julia Krasnowska, <i>Konkurs wiedzy o Janie Pawle II</i>	10
Marina Paniszewa, <i>Wolontariat przez granice</i>	12
Hanna Paniszewa, <i>Niepokorni, niezłomni, wyklęci</i>	12
Teresa Puńko, <i>W Brześciu powstał Uniwersytet Trzeciego Wieku</i>	13
Stanisław Zamana, <i>Dziennik z harcerskiego obozu Ocypel</i>	14

KULTURA

Jerzy Waszkiewicz, <i>Polsko-białoruskie związki kulturowe w XIX – pocz. XX w.</i>	17
„Polesie Ilustrowane, Praca zbiorowa pod red. Nelarda, Brześć n/B Drukarnia Orka Brygada”, s. 131 [fragmenty]	21

Z LISTÓW CZYTELNIKÓW

LEKTURA DLA CIEBIE

Halina Szpak, <i>Polesie w sercu zapisane</i>	68
---	----

SŁOWO REDAKTORA

‘ECHA POLESIA’

Kwartalnik Zjednoczenia
 Społecznego „Związek
 Polaków na Białorusi”

Założyciel:

ODDZIAŁ BRZESKI
 ZS „Związek Polaków
 na Białorusi”

Adres Redakcji:

Brześć, 224023
 ul. Moskiewska 344 – 56
 e-mail:
 klub_polski@wp.pl
 www.echapolesia.pl
 tel.: w Brześciu:
 00-375-162/42-45-72

Redaktor naczelny:

Alina Jaroszewicz

Numer ukazał się przy
 współudziale Senatu RP,
 Fundacji „Pomoc Polakom
 na Wschodzie” i Fundacji
 Pomocy Szkołom Polskim
 na Wschodzie im. T. Goniewicza
 oraz Ofiarodawców

Adres korespondencyjny:

Fundacja im. T. Goniewicza
 20-611 Lublin
 ul. Kazim. Wielk. 9/60
 tel. (81) 747-6163
 kom.: 605-828-137
 e-mail:
 fundgon@gmail.com

Skład i łamanie:
 Dorota Kapusta

Druk: Wydawnictwo Muzyczne
 POLIHYMNIA

*Z podniesionego dumnie czoła
Hartu i woli siła drga,
Ma lwią odwagę, wzrok sokoła,
Czujną przezorność węża ma.
Pod jego Polsce iść przewodem,
Przeszkody do wolności zmóc,
On wzrósł o głowę nad narodem,
Oto Naczelnik nasz i Wódz!*

(Antoni Orłowski)

93. ROCZNICA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

Niezbywalnym prawem każdego człowieka jest prawo do własnej narodowości, do własnego języka, nauki w tym języku, a jeśli jest wierzącym: do wyznawania wiary w języku swoich przodków. Obecnie wszelkie postępowanie utrudniające lub zabraniające komukolwiek wypełniania tych praw jest łamaniem podstawowych zasad międzynarodowej Konwencji Praw Człowieka.

Był jednak taki czas, kiedy żadne prawa nie były respektowane, a zaborca rosyjski, austriacki czy pruski miał je za „nic”. W czasie 123 lat zaborów Polacy pomimo, że przebywali na własnym terytorium, pozbawieni byli nie tylko praw, ale prześladowani i gnębieni przez trzech zaborców. Zaś wszelkie próby kultywowania tradycji kończyły się najczęściej wywózką na Sybir. Jednak niezłomny upór, wiara w Boga, poczucie narodowej dumy oraz więzi, nie udało się przez ponad wiek wykorzenić naszej, rodzimej tradycji, a wręcz przeciwnie, doznane od ciemniczków krzywdy, wzmocniły ducha narodu. Tylko wiara i nadzieje matek - Polek, wyszywających na sztandarach powstańczych - hasło: „Bóg, Honor, Ojczyzna”; tylko odwaga i bohaterstwo ich synów, walczących o wolną i Niepodległą Polskę a wśród nich, największego z największych, charyzmatycznego przywódcy - „wskrzesiciela Narodu” - Józefa Piłsudskiego.

Państwo polskie powstaje jak „feniks z popiołów”, na gruzach powojennej Europy.

Dniem symbolicznego powstania Niepodległej, który na stałe wpisze się do tradycji naszego państwa, jest 11 listopada 1918 r. W tym dniu Józef Piłsudski przybywa z więzienia, z twierdzy magdeburskiej

do Poznania i przejmuje władzę od Rady Regencyjnej. Pomimo oporów endecji, narzuca swój autorytet wszystkim ośrodkom niepodległościowym na terenie dawnych zaborów. Leszek Moczulski po latach napisze: *Tylko stanowcze działanie mogło zapobiec najgorszemu. [Piłsudski] ratował Rzeczpospolitą przed śmiertelnym konfliktem, może wojną domową i upad-*

*kiem państwa. Ratował też demokrację. Gdyby zwyciężyła prawica – musiałaby okiełznać lewicę; gdyby zwyciężyła lewica – doszłoby do rewolucji społecznej. Każdy z tych przypadków oznaczał koniec demokracji. Pełni więc Piłsudski rolę pojednawczą pomiędzy zwaśnionymi ugrupowaniami i tylko niezwykły talent przywódczy pozwala mu na przystąpienie do utworzenia gabinetu. W celu sformowania rządu powołuje najpierw Ignacego Daszyńskiego, gdy ten odmawia, nie zrażony niczym wódz naczelny wyznacza na szefa rządu Jędrzeja Moraczewskiego, któremu poleca stworzyć ordynację wyborczą w jak najkrótszym czasie, prosząc go: *Panie kapitanie ma pan zo-**

stać prezesem ministrów, ale pod dwoma warunkami: pierwszy, by nie wkraczał pan swymi zarządzeniami w jakiekolwiek stosunki społeczne, drugi, wypracuje pan w ciągu jednego tygodnia ustawę wyborczą, i to jak gdyby pan miał budować okopy.

W rezultacie, w dniu 20 lutego 1919 r. otrzymuje Józef Piłsudski od Sejmu Ustawodawczego stanowisko Naczelnika Państwa Polskiego. Odtąd Polska jest wolna i Niepodległa.

Trwa odbudowa państwa zniszczonego na kresach wschodnich i zachodnich. Od podstaw rozbudowywana jest infrastruktura przemysłowa: w tym przede wszystkim



kim: przemysł górniczy, metalowy, maszynowy. Powstają nowe inwestycje w pełni nowoczesnego państwa europejskiego, takie jak: sieć dróg i mostów oraz linii kolejowych. „Kwitną” prężnie wszystkie gałęzie przemysłu: stoczniowy (powstanie nowego portu w Gdyni), chemiczny, stalowy, włókienniczy i spożywczy. Zostaje wybudowanych wiele gmachów szkolnych i państwowych. Rozwija się wyższe szkolnictwo.

Tak powstaje odrodzona Polska z własnym językiem, utrzymaną kulturą i tradycją z własną armią (na razie jeszcze nie do końca doskonałą), porządkiem prawnym (wzorowanym na prawodawstwie francuskim) i suwerennym rządem. Jeszcze będzie Marszałek się zmagał z utrzymaniem równowagi w państwie, broniąc kraj przed inwazją bolszewicką w wojnie 1919-1920, wskutek której bolszewicy w popłochu wycofają się w głąb Rosji, a co w rezultacie zakończy się korzystnym dla Polski traktatem ryskim. Jeszcze będzie Piłsudski zabiegał o ustanie sporów pomiędzy politykami wszelkich frakcji, rodzących się w nowej, powojennej rzeczywistości. W końcu nadejdzie chwila zniechęcenia, różnie w źródłach interpretowana. Niektórzy twierdzą, że zniechęcił się do polityki i „ukrył” w Sulejówku. A on wróci i jeszcze raz podejmie próbę „uzdrowienia” państwa i rządu w zamachu majowym, w roku 1926. Pomimo przyjmowania wielu rządowych funkcji: od teki ministra spraw wojskowych, generalnego inspektora sił zbrojnych (specjalnie dla niego stworzonej), premiera, czy w końcu propozycji, by został prezydentem, trwa i niewzruszenie czeka na zmiany w konstytucji (konstytucja marcowa z jej ograniczeniami nie odpowiadała mu, ponieważ nie dawała prezydentowi realnej władzy). Złożony chorobą, nie

doczeka wcielenia w życie specjalnie dla Niego przygotowanej Konstytucji Kwietniowej, z rozszerzonym zakresem władzy prezydenta.

Całe życie poświęcił Polsce. Zesłany na Syberię - poświęcił dla Niej swoją młodość. Będąc w pełni dojrzałym politykiem, walczył o Polskę wolną i Niepodległą, uparcie, i z determinacją, nie poddając się nigdy i za żadną cenę obcym wpływom. Kiedy w roku 1917 generał-gubernator Warszawy Hans von Besler zaproponował mu przejście na stronę Niemiec, zwracając się: - *Herr von Piłsudski! [...] Niech Pan pójdzie z nami. Damy Panu wszystko: siłę, sławę i pieniądze. Pan zaś odda olbrzymią przysługę swojej ojczyźnie*. Piłsudski odpowiedział spokojnie: *Pan mnie nie rozumie, Ekszelencjo. Pan nie chce mnie zrozumieć. Gdybym przyjął Pańską propozycję, wy, Niemcy, zyskalibyście jednego człowieka, ja zaś straciłbym cały Naród*. Powszechnie jest wiadomo, że za te słowa i odmowę przysięgi na wierność obcemu uzurpatorowi został aresztowany i uwięziony.

Józef Piłsudski zostanie na zawsze bohaterem narodowym, symbolem Niepodległej, Wodzem Naczelnym, przywódcą Legionistów, który na Błoniach w Krakowie, zwracał się do swoich żołnierzy utworzonej Pierwszej Kompanii Kadrowej: *Żołnierze!... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcję dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was, jako Pierwszą Kadrową Kompanię*.

Dziś jego serce spoczywa w jednym z najświętszych dla nas wszystkich Polaków miejsc, na cmentarzu wileńskim, na Rossie, wraz z matką, a ciało – pośród królów w krypcie na Wawelu.



Rząd Jędrzeja Moraczewskiego zaprzysiężony 18 listopada 1918. Siedzą od lewej: Stanisław Thugutt, Jędrzej Moraczewski, Józef Piłsudski, Leon Supiński i Leon Wasilewski.

Urszula Adamska

Hołd Ruski

Mija właśnie 400 lat od dnia, kiedy w bitwie pod Kłuszynem wojsko polskie rozbiło wielokrotnie silniejszą armię rosyjską. Kłuszyn był nie tylko jednym z najwspanialszych militarnych zwycięstw w całej naszej historii, lecz to także chwała i sława oręża polskiego. To apogeum potęgi politycznej i świetności Rzeczypospolitej pod koniec jej złotego wieku. Takich wiktorii jak Kłuszyn mieliśmy w naszej historii zaledwie kilka. Można je policzyć dosłownie na palcach jednej ręki. Zdecydowanie więcej mieliśmy wielkich klęsk narodowych. Przegrane powstania, tragiczny wrzesień 1939, klęska Polski w II wojnie światowej w 1945 roku, Katyń, Oświęcim, deportacje na Syberię... Tak - rocznice tych tragicznych wydarzeń są na ogół

uroczyście czczone, odsłaniane są tablice, pomniki, składa się kwiaty, a politycy przypominają okoliczności historyczne tych wydarzeń. A zwycięstw często jakbyśmy się wstydzili. Dotyczy to przede wszystkim Kłuszyna, którą to nazwę cenzura komunistyczna PRL wykreśliła na pół wieku z kart polskiej historii i ten cenzorski zapis jakby nadal obowiązuje, chociaż PRL już dawno przestała istnieć.

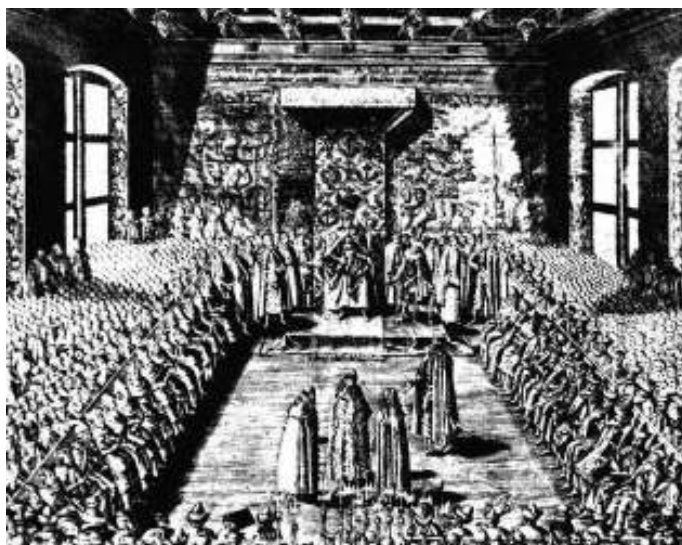
Od połowy XVI wieku, szczególnie w okresie panowania cara Iwana Groźnego, Moskwa prowadziła zdecydowaną ekspansję na Zachód, nie tylko przeciwko Polsce, ale też przeciwko cywilizacji europejskiej, której katolicka Polska była przedmurzem i symbolem, a zarazem stanowiła całkowite zaprzeczenie azjatyckiego systemu ideowo-politycznego, który panował w Rosji. W 1609 r. został zawarty traktat w Wyborgu pomiędzy prawosławną Rosją a protestancką Szwecją. Skierowany był on przeciwko Rzeczypospolitej. W Polsce złotego wieku obaj agresorzy widzieli zamożne, bogate państwo, które można było złupić, a co ważniejsze - przewidywali

zagarnięcie i podzielenie się częścią terytorium Polski, co stanowiło preludium do późniejszych rozbiorów. Rosjanie i Szwedzi wnikliwie obserwowali sytuację w Warszawie, a zwłaszcza konflikty polityczne w Polsce, licząc na słabość Rzeczypospolitej. Rachuby te okazały się wtedy jeszcze przedwczesne. Dzięki hetmanowi Stanisławowi Żółkiewskiemu

rozpoczęto prewencyjne działania bojowe. Problemem były: brak pieniędzy na sformowanie nowych oddziałów, presja czasu, a przede wszystkim ogromna przewaga rosyjska w ludziach i artylerii. Mimo to wojsko polskie ruszyło na Moskwę, a w październiku 1609 roku rozpoczęło się oblężenie Smoleńska. To w trakcie otoczenia tej twierdzy większość bojarów uznała polskiego

królewicza Władysława, który zagwarantował Rosjanom prawosławie, za władcę Rosji

W tych okolicznościach pomiędzy Smoleńskiem a Moskwą pod Kłuszynem doszło do bitwy 4 lipca 1610 roku. Armia rosyjska złożona z doborowych pułków dowodzona była osobiście przez brata carskiego wielkiego kniazia Dymitra Szujskiego. W jej skład wchodził 5-tysięczny korpus Szwedów, a także ponad 6 tysięcy najemników z Niemiec, Francji, Holandii, a nawet z Hiszpanii. W sumie armia rosyjska przekraczała 40 tysięcy ludzi, w dodatku posiadała artylerię. Przeciwko nim hetman Żółkiewski wystawił zaledwie 7-tysięczny korpus polski, którym dowodził osobiście. Główną siłą uderzeniową i trzonem nielicznych wojsk polskich była husaria - najlepsza wtedy, niepokonana ciężka jazda, słynna w całej Europie. Mobilność wojsk oraz odwaga i determinacja żołnierzy polskich, a wreszcie znakomite dowodzenie i geniusz strategiczny Stanisława Żółkiewskiego doprowadziły do całkowitego rozbicia armii rosyjskiej. Krwawa bitwa miała swój moment krytyczny,



kiedy do decydującej szarży ruszyła polska husaria, której uderzenie dosłownie rozniosło wielokrotnie liczniejszego przeciwnika. Pobici i zdemoralizowani Rosjanie w popłochu uciekli z pola bitwy. Zdezertował m.in. dowódca armii rosyjskiej wielki książ Dymitr Szujski. Zwycięscy husarze zdobyli jego złotą buławę oraz główny sztandar armii rosyjskiej ze złowieszczym carskim dwugłowym orłem. Przed polskim wodzem skapitulowali natomiast najemnicy europejscy suto opłacani przez Rosjan. Do polskiej niewoli już po zajęciu Moskwy dostał się zarówno pobity pod Kłuszynem Dymitr Szujski, jak też jego brat - car Wasyl. Rosyjski car dostał się do polskiej niewoli i musiał się ukorzyć przed polskim królem w Warszawie!

W 1611 roku odbył się w Warszawie tzw. hołd ruski, czyli tryumf, jakiego nikt w Polsce nigdy nie widział! Przez Krakowskie Przedmieście „szła karetta skórzana otworzysta Króla Jego Mości, sześciom koni. Siedział w niej car Rosji Wasyl Szujski, przybrany w szatę z białego złotogłowiu i wysoki szłyk futrzany. ‘Oczu parzystych, ponurych, surowych’ - patrzył w ulicę, na której ‘konkurs był większy ludzi’”. W Sali Senatorskiej Zamku Królewskie-

go hetman Stanisław Żółkiewski oddał go królowi, w pięknej i ludzkiej przemowie uszanował jeńców, polecił ich łaskawości zwycięzcy. W obecności wszystkich posłów i senatorów podczas wspólnego posiedzenia Sejmu i Senatu car Wasyl pochylił odkrytą głowę, dotknął dłonią posadzki, ucałował własne palce. Książ Dymitr Szujski, niefortunny wódz spod Kłuszyna, uderzył czołem raz jeden. Najmłodszy brat cara książ Iwan uczynił to po trzykroć i płakał. Podobnie jak hołd pruski z 1525 roku, tak samo hołd ruski z 1611 roku był zmarnowaną szansą Polski.

Politycznie Rzeczpospolita nie potrafiła wykorzystać wielkiego zwycięstwa pod Kłuszynem, zabrakło woli politycznej, koncepcji polityki wschodniej i szeregu strategicznych pomysłów w polityce zagranicznej. Mało kto wie, że słynna kolumna Zygmunta przed Zamkiem Królewskim została postawiona w 1644 roku, w kolejną rocznicę zwycięstwa wojsk polskich nad Rosją. Wystarczy wczytać się w łacińskie inskrypcje znajdujące się na podstawie kolumny. Strzegą jej z czterech stron polskie orły, bo to nasza polska pamięć i tożsamość.

Józef Szaniawski

HOŁD RUSKI

Jan Matejko – „Carowie Szujscy wprowadzeni przez Żółkiewskiego na sejm warszawski przed Zygmunta III w roku 1611”.

Wydarzenie miało miejsce 29 października 1611 r. na Zamku Królewskim w Warszawie w czasie uroczystego wspólnego posiedzenia Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej. Król Zygmunt III Waza siedzi na tronie, obok



stoi królewicz Władysław – późniejszy król Władysław IV. Wśród wszystkich dostojników polskich wyróżniają się hetman Karol Chodkiewicz, marszałek Marcin Wolski, biskup Marcin Szyszkowski. W samym centrum obrazu ważniejszy od nieudolnego króla stoi hetman wielki koronny, a zarazem kanclerz wielki koronny Stanisław Żółkiewski. To właśnie on rozbił w proch potężną armię rosyjską w bitwie pod Kłuszynem, a następnie zdobył Moskwę, wziął do niewoli cara Rosji Wasyla IV Szujskiego i dwóch jego młodszych braci: wielkiego księcia Dymitra oraz wielkiego księcia Iwana.

Dzieci z Domaczewa

23 września 1942 r. w okolicy wsi Leplówka naziści rozstrzelali 54 dzieci wraz z ich wychowawcami z Przedszkola dla dzieci w Domaczewie



Pracując w archiwach obwodu brzeskiego, do moich rąk trafiły dokumenty dotyczące Domu Dziecka w Domaczewie. Dom Dziecka powstał w październiku 1927 roku. Odnalezione dokumenty dotyczą wizytacji tego Domu 8 sierpnia 1929 r. Myślę, że nasi Drodzy Czytelnicy też będą chcieli przeczytać o tym, jak się żyło dzieciom sierotom w tych trudnych latach powojennych, porozbiorowych, kiedy Państwo Polskie powstawało z gruzów. W tych pierwszych latach młode niezależne Państwo pamiętało o słabych i bezbronnych, jak mogło, opiekowało się i chroniło dzieci sieroty.

Otwieram list Wojewody Poleskiego Nr III.0.0.3/1 od 14.08.1928 r. do Wydziału Powiatowego Sejmiku w Brześciu nad Bugiem, w którym pisze:

W związku z przeprowadzoną w kwietniu 1928 r. lustracją zakładu opiekuńczo-wychowawczego dla sierot w Domaczewie, utrzymywanego przez tamtejszy Wydział Powiatowy, w celu podniesienia stanu zakładu oraz dla usunięcia zauważonych usterek – polecam:

1) *porządkować akta personalne dzieci, założyć dla każdego oddzielną teczkę, wypełnić arkusze główne i karty wychowawcze do dnia 1 listopada 1928 r.,*

2) *ustalić stałe terminy dwukrotnego w ciągu roku badania dzieci przez lekarza; pierwszego przeglądu dzieci dokonać należy niezwłocznie, wyniki badania winny być zanotowane przez lekarza osobiście na karcie zdrowia dziecka,*

3) *uzupełnić inwentarz przez zakup bielizny pościelowej oraz dla dzieci bielizny osobistej i bucików,*

4) *wydać dla każdego dziecka oddzielnie małe metalowe pudełko z proszkiem do zębów*

(..)

Poza tym zalecam:

1) *wyposażać salę zajęć w małe stoliki dla czworga dzieci każdy i krzesła, przystosowane do wzrostu dzieci w celu umożliwienia pracy z dziećmi w grupach,*

2) *w razie możliwości wydzierżawienia wybudować na okres dłuższy (2-25 lat) - rozbudowę zakładu przez dobudowanie do gmachu, oznaczonego na planie jako „pawilon główny” sali rekreacyjnej o rozmiarach 13 m x 6 m.*

Czytam dalej sprawozdanie z lustracji schroniska dla dzieci w Domaczewie, dokonanej w dniu 25 kwietnia 1928 r.: „Zakład nosi nazwę „Przedszkole dla dzieci”, położony przy ul. Włodawskiej 7-10. Koszt utrzymania jednego dziecka dziennie 1,70 zł. W sypialniach łóżka żelazne, wysłane słomą, poduszki z siana. (...) Jadalnia jest duża. Grupa dzieci mniejszych jada w salce rekreacyjnej. Ogólny widok pensjonariuszy czysty. Włosy krótko strzyżone. Ubrania i bielizna czysta. Każde dziecko ma 2 ubrania, po 2 fartuszki i po 3 zmiany bielizny, bucików po 1 parze. (...)”

W Protokole z lustracji przedszkola w Domaczewie z dnia 08.08.1929 r. czytam: „Oświetlenie w zakładzie naftowe, podwórze w zimowe wieczory oświetlone naftową latarnią. Studnia abisyńska jest w podwórzu, wodę wozi stróż do poszczególnych budynków beczką. W każdym budynku są też ustępy, używane w zimie i w nocy przezariatwę. W zakładzie jest apteczka dość obficie zaopatrzona w niezbędne środki lecznicze oraz pokój izolacyjny. **Dzieci wyglądają zdrowo i dobrze. W czasie wizytacji chorych dzieci nie było.** W czasie lata dwukrotnie w tygodniu wszystkie dzieci chodziły do kąpeli wraz z całym personelem do rzeki odległej o 1,5 km. Tam też odbywały dzieci kąpiele słoneczne. W lecie całe dnie dzieci spędzały na podwórku, z wyjątkiem niepogody.

Ilość produktów na 1 dziecko jest ustalona: mleka 400 g., chleba 300 g., cukru 40 g., mięsa 80 g., tłuszczu 30 g., ziemniaków 400 g., kaszy 50 g. Ilość dość obfita. Posiłek podaje się 5 razy dziennie.

Dzieci są myte codziennie zasadniczo dwukrotnie: rano myją górną połowę ciała, wieczorem dolną. Paszytów w zakładzie nie ma.”

Moją uwagę zwróciła praca pedagogów, integracyjny charakter zajęć edukacyjnych i wychowawczych, który można polecić i naszym dzisiejszym szkołom, i naszym nauczycielom.

„Ponieważ dzieci są w wieku przedszkolnym, system pracy z nimi i kształcenie jak w ochronie. Zwykle dzieci są podzielone na 3 grupy o różnym wieku i różnych zdolnościach, pod kierownictwem 3 wychowawczyń. Zdaniem kierowniczki podział dzieci na grupy jednakowego wieku i rozwoju umysłowego, według obecnych zasad pedagogiki jest wadliwy, gdyż uniemożliwia dodatni wpływ dzieci starszych i mądrzejszych na dzieci młodsze i mniej rozwinięte.” Takie podejście do kształcenia dzieci pozwala stwo-

żyć atmosferę rodzinną, gdzie obok rosną i wychowują się dzieci w różnym wieku i uczą się nawzajem, starsi opiekują się młodszymi, młodszy uczą się od starszych. „Oprócz gier i zabaw stosowane są pogadanki, rysunki, modelowanie i inne robótki, a także śpiewy i gimnastyka. Przyrządów do gier i zabaw nie brakuje, są piłki, lalki, klocki, huśtawka, drążek gimnastyczny. Całkowite też wychowanie cechuje zupełnie niczym nie skrupowana swoboda. I serdeczna przyjaźń dątwy do wychowawczyń, które pozostawiają dzieciom wiele samodzielności i wkraczają w codzienne zabawy tylko w chwilach konieczności.”

„Kierowniczką i wychowawczynie ukończyły państwowe seminarium dla wychowawczyń w Wilnie. Kierowniczka pobiera uposażenie 180 zł. z utrzymaniem, wychowawczynie po 100 zł. (z utrzymaniem), kucharka 100 zł., służące po 30 zł., praczka 35 zł., stróż 50 zł. z utrzymaniem. (...)”

Specjalnej gospodyni zakład nie posiada, funkcję gospodarczą spełnia sama kierowniczka. Jak widać z dostatecznego porządku i normalnego funkcjonowania zakładu, pomimo pewnego przemęczenia kierowniczki i wychowawczyń, potrzeba zaangażowania gospodyni obecnie nie zachodzi i ze sprawowania funkcji kierowniczej i gospodarczej kierowniczka zakładu w zupełności jest zadowolona.

Ogólne wrażenie dodatnie: (...) zakład cechuje dostateczna czystość i umiejętność w prowadzeniu. Wielce dodatnią cechą zakładu jest jego zdrowotne położenie w osadzie otoczonej zewsząd lasem, oraz przestrzenność zabudowań i boiska...”

Z tych przypadkowo znalezionych dokumentów dowiaduję się jak dbano o biedne, pokrzywdzone przez los dzieci młode Polskie Państwo. Dom dziecka żył swoim życiem, był dla nich jedyną oazą. Dzieci rosły, poznawały świat, wychowawczynie zastąpiły im rodziców, czuwając nad nimi w dzień i w noc.... Patrząc na miłe dziecięce twarze, radosne oczy przy wystrojonej choince (*patrz: okładka kwartalnika, s. 1*). Jakże niezrozumiałe, absurdalne i okrutne jest to, co stało się z nimi wszystkimi we wrześniu 1942 r.! Czym zawiniły dzieci z Domu Dziecka w Domaczewie i ich wychowawczynie? Mijają lata, a ból nie ustaje. I nie ma odpowiedzi. Jutro – Święto Zmarłych. Pamiętajmy w ten dzień o dzieciach z Domaczewa i ich wychowawcach.

Lidia Romanowicz, główny archeograf
Państwowego Archiwum obwodu brzeskiego

Nasza praca

Dobiega końca rok 2011. Rok ten był pełen twórczej pracy, zrealizowanych nowatorskich projektów, dobrych i szlachetnych spraw. Był pracowity, skuteczny i udany dla naszej organizacji i wszystkich naszych struktur. Wbrew wielu czynnikom niesprzyjającym udało się nam spełnić nasze plany, osiągnąć niemało sukcesów. W oddziale brzeskim ZPB powstały nowe struktury: Uniwersytet Trzeciego Wieku (filia Mokotowskiego UTW w Warszawie), prze-



wodnicząca – mgr Teresa Puńko, Centrum Informacji Europejskiej, kierownik – Inna Czenczewik. Udało się także założyć drużynę zuchową, drużynowa Anna Polijechowa, i nawet wyposażyć ją w mundurki (nasze zuchy są na okładce kolorowej „Ech Polesia” nr 4/32).

Nasza główna struktura – Polska Szkoła Społeczna im. I. Domeyki pracowała prężnie i skutecznie. W roku szkolnym 2010/11 do szkoły uczęszczało 540 uczniów, pracowało 15 nauczycieli, w tym troje nauczycieli z Polski. We wrześniu br. nasza Szkoła liczyła już 630 uczniów i 16 nauczycieli. Wszyscy nauczyciele miejscowi są absolwentami wyższych polskich uczelni lub studiów podyplomowych w Polsce. Prawie 180 naszych absolwentów zostało zakwalifikowanych w tym roku na studia wyższe do Polski. Większość z nich (posiadają Karty Polaka) będzie studiować nieodpłatnie, najlepsi otrzymują stypendium Rządu RP. 7 osób dostało się też na studia podyplomowe.

Ponad 500 dzieci z Brześcia i obwodu brzeskiego mogło uczestniczyć w letnich szkołach języka pol-

skiego, koloniach, obozach harcerskich, wycieczkach historyczno-krajoznawczych.

Ponadto 60 dzieci wzięło udział w warsztatach i szkoleniach plastycznych, artystycznych, wokalnych w Polsce, w licznych konkursach i turniejach sportowych. Na przykład, w dniach 11-16 sierpnia nasze dzieci wzięły udział w XX Jubileuszowym Festiwalu Poezji Marii Konopnickiej. Występując w dwóch nominacjach: recytacja wierszy i poezja śpiewana, nasze dzieci zajęły czołowe miejsca: W Brześciu były zorganizowane liczne konkursy i olimpiady, m.in. konkurs historyczny „Od chrztu Polski do Unii Europejskiej”, konkurs poezji Karola Wojtyły, konkurs wiedzy o Janie Pawle II, „Czy znasz swoje miasto?”, konkursy wokalne, plastyczne, teatralne. Stowarzyszenie artystów polskich „Mostek” zorganizowało plener malarski „Polesie oczami jego mieszkańców”, wystawa poplenerowa odbędzie się w listopadzie. We wrześniu odbyła się wystawa poświęcona życiu Ignacego Domeyki. Nasza młodzież brała udział w projektach „Tradycje rękodzieła – w przyszłość” w Szczecinie, w warsztatach muzycznych w Stawisku pod Gdańskiem. Centrum Informacji Europejskiej zorganizowało dwie wymiany młodzieży, szkołę liderów, konkurs wiedzy o Unii Europejskiej. Chór polski „Zgoda” odniósł sukcesy na Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie.

22 października 2011 roku w Muzeum Historii Miasta Brześć odbyły się wernisaż, prezentacja i spektakl pt. „Podwórka Brześcia” (foto na okładce 4 EP 32) Kalendarz na 2012 rok – wynik powarsztatowej pracy uczniów Polskiej Szkoły Społecznej. Inspiracją do tworzenia stały również ulice i podwórka Brześcia, jego kształty i kolory. Kalendarz to sposób na wygodne i uzupełniające współistnienie na jednej płaszczyźnie archaicznej wycinanki, realistycznej fotografii i abstrakcyjnego rysunku. Emocjonalno-widowiskową ozdobą spotkania stał występ teatru „Tarabuk”. Symbolicznie premiera spektaklu „Lokomotywa” odbyła się na scenie brzeskiego podwórka. Wystawa oraz kalendarz to hołd miłości miejscu, z którego pochodzimy – Polesiu, Brześciu oraz każdemu mieszkańcowi osobiście.

Nasi miłośnicy sportu – polski klub sportowy „Sokół” (prezes Alina Mickiewicz) zrealizowali spływ kajakowy wzdłuż Bugu. Przywieźli liczne nagrody ze Światowych Letnich Igrzysk Polonijnych. W dniach 28-30 października klub „Sokół” zorganizował Międzynarodowy turniej z koszykówki wśród mężczyzn o puchar Konsul Generalnej RP Anny Nowakowskiej. W turnieju wzięły udział drużyny z pięciu krajów: Białorusi, Polski, Litwy, Rosji i Ukrainy. I nagroda została przyznana klubowi „Sokół” z Brześcia, II – „Sokół-Lida”, III – sportowcom z Żytomierza.

„EP” już pisały o naszych Akcjach Świątecznej Pomocy dla dzieci z domów dziecka. Te akcje przekształciły się w naszą stałą pomoc i współpracę, w organizację warsztatów i szkoleń. Obecnie trwają przygotowania: nasza młodzież przygotowuje wystawy, Jasełka i koncerty dla dzieci-sierot. 19 listopada nasz chór „Zgoda” oraz my wszyscy bierzemy udział w uroczystości otwarcia Domu Miłosierdzia w Łahiszynie.

Po raz pierwszy zrealizowaliśmy program „Mobilne szkoły polskie”, który pozwolił w 2011 roku wesprzeć placówki oświatowe obwodu brzeskiego, zaopatrzyć w niezbędne podręczniki i pomoce dydaktyczne, stworzyć bank informacji o szkolnictwie polskim w obwodzie brzeskim, przeprowadzić badania na temat stanu każdej placówki. Dla realizacji programu w marcu-kwietniu 2011 r. zadbaliliśmy o przygotowanie bazy dydaktycznej: udało nam się zdo-

być dzięki pomocy przyjaciół z Gdyni ponad 2 tony używanych podręczników i pomocy dydaktycznych. Dokonaliśmy także zakupu nowych słowników i podręczników do nauki języka polskiego, wydanych na Białorusi. Rozpracowaliśmy ankietę dla nauczyciela języka polskiego, która pozwoli stworzyć aktualny obraz sytuacji w szkolnictwie, określić specyfikę i potrzeby każdej placówki, sprecyzować formy wsparcia. Rozpoczęliśmy również program „Szkoły partnerskie Pogranicza”, który przywodzi współpracę szkół, domów dziecka, internatów białoruskich z odpowiednimi placówkami w Polsce, na Ukrainie i Litwie.

Jednym z głównych i najbardziej pracochłonnych kierunków pracy były tematy wydawnicze, nasze gazetki i strony internetowe – wymagało to wiele trudu i poświęcenia, gdyż cała ta praca jest wykonywana przez pasjonatów, wolontariuszy. Wydaliśmy 4 numery kwartalnika „Echa Polesia” oraz dwie nowe książki do biblioteki redakcyjnej. Klub Inteligencji Katolickiej wydał 10 numerów gazetki „Brześć Katolicki”. Dzięki staraniom naszych liderów zostały także opublikowane: folder informacyjny oddziału brzeskiego ZPB, folder informacyjny „Gospodarstwa agroturystyczne Pogranicza”, kalendarzyki firmowe naszych struktur, folder Stowarzyszenia Artystów Polskich „Mostek”, folder poplenerowy „Polesie oczami jego mieszkańców”.

Nasza codzienna praca – to udzielanie różnorodnej pomocy wielu ludziom. To praca edukacyjna, kulturalna, charytatywna. Wykonywać ją mogą tylko ludzie nieobojętni, twórczy, kreatywni, odważni, kochający swój kraj, pokonujący dziesiątki przeszkód. Dziękujemy Wam, Nasi Drodzy, za pomyślną, wręcz błyskotliwą pracę w 2011 r., życząc każdemu zdrowia, optymizmu i nowych twórczych sukcesów. Wyrazy uznania i wdzięczności kierujemy do wszystkich organizacji i instytucji w Polsce, którzy naszą pracę skutecznie wspierały i wspomagały. Dziękujemy naszej Polsce: Senatowi RP, Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, Fundacji „Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza, Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”, Fundacji „Semper Polonia”, Konsulatowi RP w Brześciu, Związkowi Piłsudczyków RP w Gdyni.



Klub „Sokół-Brześć” wraz z Konsul Generalną RP w Brześciu Panią Anną Nowakowską.

Zarząd ZPB/Brześć

Z tradycją rękodzieła w przyszłość

Projekt „Z tradycją rękodzieła w przyszłość” w ramach programu „Młodzież w działaniu” realizowany był w Rowie (Polska, gmina Myślibórz) w terminie 17-24 sierpnia 2011 roku. Udział w projekcie wzięła młodzież w wieku 13-16 lat z Gimnazjum Publicznego im. Marka Kotańskiego w Góralicach oraz uczniowie z Polskiej Szkoły Społecznej im. Ignacego Domeyki w Brześciu. Młodzi ludzie mieli możliwość zapoznać się z bogactwem kulturalnym swoich sąsiadów, poszerzyć swoje horyzonty, rozwinąć w sobie kreatywność i umiejętność współdziałania. Celem projektu było kultywowanie i przekazywanie tradycyjnej profesji twórczej, rozwijanie swoich talentów, a zarazem dzielenie się doświadczeniem z młodymi ludźmi z innych krajów o podobnych zainteresowaniach.

Główną formą realizacji projektu były zajęcia warsztatowe, podczas których dzieci miały możliwość zapoznać się z różnymi technikami: grafiką, witrażem, wyszywaniem, filcowaniem, słomkarstwem. Zajęcia prowadziły: z polskiej strony Małgorzata Sobczuk i Teresa Mazur, ze strony białoruskiej Stanisława Karpol oraz Natalia Michnowska. Dzieci bardzo angażowały się w wykonywane czynności, efektem czego były przepiękne prace.



Oprócz zajęć warsztatowych były również zorganizowane spotkania integracyjne, dwa ogniska, wieczory – polski i białoruski, gry sportowe, dyskoteka. W ramach projektu odbyły się wycieczki do Szczecina, Myśliborza, Trzcińska-Zdroju oraz wyjazd do Niemiec.

Serdecznie dziękujemy organizatorom projektu za zaproszenie, za wspaniałą zabawę, świetną organizację i miłą atmosferę. Spodziewamy się dalszej współpracy.

Natalia Michnowska
Brześć

Konkurs wiedzy o Janie Pawle II

Inspiracją konkursu sprawdzającego wiadomości uczniów o życiu i posłudze Kościołowi Jana Pawła II było wydarzenie, które na trwale zapisało się w historii Kościoła Powszechnego i dziejach świata – wyniesienie na ołtarze Papieża Polaka w dniu 1 maja 2011 r. Beatyfikacja Jana Pawła II stała się powodem poznania i bliższego prześledzenia życia Papieża.

Konkurs o Janie Pawle II został przeprowadzony pisemny test odpowiedzi na pytania. Oprócz pytań dotyczących podstawowych informacji o życiu Karola Wojtyły, a później Jana Pawła II, Jego pielgrzymkach do Polski i innych państw świata, pism urzędowych napisanych przez Papieża, Jego zamiłowaniu do literatury i teatru oraz pracy w KUL; uczestnicy konkursu mieli scharakteryzować ponty-

fikat Jana Pawła II, wyjaśnić czym się on wyróżniał. Niektóre osoby napisały, że cały pontyfikat Papieża to *obraz miłości do ludzi wszystkich ras, pokoleń, pochodzenia*. Inni dodawali, iż Jego posługa Kościołowi była jedną z najdłuższych, podczas której *Jan Paweł II beatyfikował i kanonizował o wiele więcej osób niż jakikolwiek poprzedni papież*. Nieodłącznym elementem pontyfikatu Jana Pawła II, według jeszcze innych, były liczne podróże zagraniczne. *Jan Paweł II przełamał zwyczaj przebywania za murami Watykanu, podróżując do wielu krajów. Starał się każdemu przynieść wieść Zmartwychwstania Jezusa i nadzieję na zbawienie*. Prawidłową odpowiedzią było też to, że *Jan Paweł II działał na rzecz ekumenizmu i pojednania chrześcijan. Starał się być*

mediatorem w wielu konfliktach. Doskonale znał i rozumiał problemy współczesnego świata. Był papieżem „dialogu”. Ciekawym spostrzeżeniem było stwierdzenie, że Papież podtrzymywał swój naród „na duchu”.

Istotnym zagadnieniem w celu określenia stopnia zaangażowania w udzielanie odpowiedzi i poziomu wiedzy było pytanie o duchowe owoce spotkań z Papieżem. Oto, jak uczestnicy konkursu odpowiadali:

- Jan Paweł II spotykał się z młodzieżą i poświęcał jej dużo uwagi. Światowe Dni Młodzieży kontynuuje Ojciec Św. Benedykt XVI.

- Ojciec Św. był skromnym, cierpliwym i wiernym człowiekiem, który niósł w swoim sercu pokój i prezentował miłość wszystkim ludziom.

- Po spotkaniu z Papieżem każdy człowiek staje się lepszy, czystszy.

- Możemy powracać do myśli Jana Pawła II poprzez czytanie i rozważanie Jego homilii, książek.

Bardzo osobistym pytaniem była kwestia tego, czego uczy Jan Paweł II. Każdy uczestnik odpowiadał w swoim imieniu. Przytoczymy tu niektóre odpowiedzi:

- Jan Paweł II uczy mnie miłości w dwóch wymiarach: miłości do Boga i miłości do bliźniego.

- Uczy, że wszyscy mogą być święci.

- Uczy, jak wierzyć i co robić, aby przybliżyć się do Boga.

- Uczy tolerancji do innych religii, pokory, przebaczenia i poświęcenia.

- Uczy żyć nie tylko dla siebie, ale też dla tych, którzy nie mogą poradzić sobie z własnymi problemami. Uczy mnie być prawdziwym człowiekiem.

- Papież często zachowywał się w sposób nietypowy. Uczy mnie, że wszystkich ludzi, niezależnie od ich wyglądu i stanu, należy szanować.

- Zawsze chciałam zobaczyć Papieża chociażby z daleka. Jego śmierć była dla mnie wielkim ciosem. Ale teraz wiem, że On jest obok Boga i dlatego powinnam naśladować Jana Pawła II. Uczyć się Jego cech, żebym kiedyś mogła z Nim spotkać się w niebie.

- Jan Paweł II uczy mnie cierpliwości, miłości i wierności Bogu. Jego życie nie było łatwe, ale On do ostatniej chwili był wierny Temu, który podarował Mu prawo na wieczne życie...

Ustosunkowanie się do tego, czy Jan Paweł II jest autorytetem dla udzielających odpowiedzi oraz uzasadnienie dlaczego tak jest, miało najwyższą wartość. Wszyscy uczniowie uważają, że życie Ojca Św. Jana Pawła II jest przykładem dla każdego:

- Uważam Papieża za swój autorytet, ponieważ był człowiekiem wyjątkowym. Był bohaterem i nauczycielem. Człowiek, który wywarł wielki wpływ na każdego. Pokazuje, jak czynić dobrze, jak iść do Pana.

- Jest autorytetem, bo jest święty. Uwielbiał młodzież, przyczynił się do upadku komunizmu, propagował zniesienie kary śmierci, preferował dobra duchowe, podróżował po świecie i znał kilkanaście języków.

- Jan Paweł II był i jest dla mnie autorytetem, osobą, którą chcę naśladować i której nigdy nie przestanę kochać. On był wspaiałym człowiekiem!

- Papież bronił ludzkiej godności przed moralnymi, społecznymi i politycznymi zagrożeniami współczesnego świata. Myślę, że Jan Paweł II był i będzie jedną z najwybitniejszych postaci naszych czasów.

- Jan Paweł II był bardzo mądrym człowiekiem i budował swoje życie na podstawach biblijnych. Wiadzę, że Papież miał wielką wiarę i Jego czyny mówią o tym.

- Bogatym nie jest ten, kto posiada, lecz ten, kto daje (Jan Paweł II). Ojciec Św. był bogaty, dlatego, że dawał. Dawał z miłością. Chciałabym nauczyć się służyć Bogu i ludziom tak, jak to robił Jan Paweł II. Modlę się, żeby Pan Bóg darował mi pragnienie i możliwość być posłannikiem Chrystusa. Ojciec Św. napisał: Służyć Chrystusowi to wolność. Myślę, że On zwracał się do mnie...

- Według mnie, Papież to człowiek, który najbardziej zbliżał się do Boga, który dawał przykład życia pełnego życzliwości i ofiary, życia oraz cierpienia godnego Nieba. Dlatego osoba Papieża jest dla mnie wielkim autorytetem, a Jego życie – wzorem do naśladowania.

Najlepsze prace konkursowe napisali: Aleksandra Wisłaus, Karina Pucykowicz, Marina Szelpuk, Karolina Sz wajkowska, Kowalowa Luba, Głuszcuk Zofia, Artiom Deniusiuk, Tomasz Torszyn, Anastazja Lukiewicz, Alicja Pryczynicz. Wszystkim 42 uczestnikom konkursu dziękujemy za zaangażowanie i bardzo dobre wyniki.

Julia Krasnowska

Wolontariat przez granice

W dniach 4-14 września młodzież Polskiej Szkoły Społecznej im. Ignacego Domeyki wzięła udział w projekcie „Wolontariat przez granice”, zorganizowanym przez fundację „Nowy Staw”. Inicjatywa „Wolontariat przez granice” miała na celu zgromadzenie młodzieży polonijnej ze stowarzyszeń, szkół oraz instytucji polskich na Ukrainie, Białorusi, Litwie, w Rosji, Mołdawii i Gruzji w celu dzielenia się doświadczeniem pracy wolontariuszy oraz nawiązywania współpracy z organizacjami polonijnymi za granicą. Podczas projektu młodzież polonijna miała możliwość spotkać się z Prezydentem miasta Lublin, przedstawicielami organizacji wolontariackich, przeprowadzić dyskusję na temat wolontariatu oraz podzielić się doświadczeniem w tej dziedzinie pracy społecznej.



Kolejnym punktem programu było VI Forum Ekonomiczne Młodych Liderów w Nowym Sączu, gromadzące ponad 300 młodych reprezentantów krajów europejskich z 37 państw świata. Przez 4 dni uczestnicy oraz gości Forum starali się wspólnie odpowiedzieć na pytanie „Co z Europą?”, omawiając europejską politykę migracyjną, reformy w strefie Schengen oraz transformację Europy Środkowo-Wschodniej w ciągu ostatnich 20 lat. Po ukończeniu Forum uczestnicy zwiedzili Kraków oraz Sandomierz, zapoznając się z historią, architekturą i kulturą polską. Po powrocie do Lublina młodzi wolontariusze uczestniczyli w dyskusjach na temat wolontariatu, zorganizowanych przez uczniów IV Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie. Po owocnych dyskusjach odbył się mecz towarzyski w piłkę siatkową POLSKA-POLONIA. Ostatniego dnia uczestnicy projektu zwiedzili Lublin. Czas, spędzony w gronie aktywnych i pomysłowych ludzi przebiegał szybko i wesoło. Projekt „Wolontariat przez granice” złamał granice państwowe i zjednoczył młodzież polonijną we wspólnym celu – dzieleniu się dobrem z każdym człowiekiem.

Marina PANISZEWA

Niepokorni, niezłomni, wyklęci

Młodzież z Polskiej Szkoły Społecznej im. Ignacego Domeyki, działającej przy ZPB w Brześciu, została wyróżniona na III Ogólnopolskim Festiwalu Filmowym „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci” w Gdyni.

We wrześniu tego roku w ramach festiwalu odbył się konkurs „Młodzi dla historii”, w którym konkurowały filmy nakręcone przez młodzież w ramach projektów „Opowiem ci o wolnej Polsce” i „Hulaj z historią”. Nagrodę główną w tym konkursie – statuetkę Anioł Wolności przyznano filmowi „Polo-Grecy”, zrealizowanemu przez młodzież z polskiej szkoły z Aten. Młodzież z Polskiej Szkoły Społecznej w Brześciu otrzymała wyróżnienie za ogromny wkład pracy i poruszenie nieznanego szerzej wątku polskiej historii w filmie „Był taki czas”.

Tak wysoko oceniło jury konkursu prace i zaangażowanie uczniów przedstawione w filmie dokumentalnym „Był taki czas...” nagrany w roku 2008 w ramach programu edukacyjnego IPN i CEO pt „Opowiem Ci o Wolnej Polsce”. Film opowiada o losach Polaków, którzy pozostali na ziemiach wcielonych do ZSSR po zakończeniu drugiej wojny światowej i w okrutnych warunkach walczyli o swoją godność.

Festiwal „Niepokorni, Niepokorni, Wyklęci” swoim celem ma przywrócenie pamięci o faktach polskiej historii okresu 1944 – 1989, które zgodnie z propagandą PRL nie były ujawnione, lub na ogół zostały skreślone z dziejów historii, jak to ma miejsce do dnia dzisiejszego w niektórych państwach po upadku ZSSR.

Film jest odpowiedzią młodzieży na wyzwania współczesnej propagandy i istotnie wzbogaca obraz historii miejscowego społeczeństwa.

Hanna PANISZEWA

Młodzież z Brześcia z wyróżnieniem



W Brześciu powstał Uniwersytet Trzeciego Wieku (UTW)

Nasz Uniwersytet jest filią Mokotowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Warszawie. Założyli go wykładowcy szkolni i akademicy, lekarze, psycholodzy, ekonomiści – wszyscy posiadają wykształcenie wyższe, a niektórzy – wyższe stopnie naukowe. Przewodniczącą Uniwersytetu – niżej podpisana Teresa Puńko – pracowała w wydawnictwach Petersburga jako menadżer. Uniwersytet już zorganizował pierwsze wykłady dla swoich słuchaczy – z języka polskiego i kultury, z psychologii i medycyny – w salach wynajmowanych przez Polską Szkołę Społeczną im. Ignacego Domeyki w Brześciu.

W dniach 1-2 października 2011 r. członkowie brzeskiego UTW wzięli udział w Grodzieńskich Spotkaniach Klubów Seniora „Złota Jesień”, zorganizowanych przez Związek Polaków na Białorusi. Spotkanie rozpoczęło Mszą świętą w kościele Bernardyńskim w Grodnie. Podczas inauguracji roku akademickiego zaproszonych gości przywitał prezes grodzieńskiego UTW Kazimierz Rosilewicz. Wykłady prowadzili wykładowcy z Białegostoku i Warszawy. Po obiedzie obejrzeliśmy rozmaity program artystyczny, przygotowany przez Renatę Diemiańczyk, wiceprzewodniczącą ZPB do spraw kultury. Swoją twórczość zaprezentował zespół muzyczny z Mińska oraz kabaret z Białegostoku „Szpilki”. Następnego dnia odbyliśmy podróż „Śladami Elizy Orzeszkowej”, oddaliśmy hołd 40 powstańcom 1863 roku. Dzień udał się pogodny, słoneczny. Wszyscy uczestnicy spotkania śpiewali nad Niemnem nasze polskie piosenki. Poznawaliśmy nowe koleżanki i kolegów z innych uniwersytetów i klubów seniora z Białorusi, Ukrainy, Polski. Jesteśmy ogromnie wdzięczni organizatorom tego doskonale przygotowanego spotkania Klubów Seniora, które na długo pozostanie w naszej pamięci, zaowocuje nową współpracą i nowymi doświadczeniami.

Obok uczestnictwa w Grodzieńskich Spotkaniach, celem naszej podróży był udział w konferencji wyjazdowej Towarzystwa Mokotowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku pod kierownictwem dyrektora Zofii Iwanickiej w dniach 2-8 października 2011 r. Program wyjazdu składał się z dwóch części: pierwsza – program edukacyjny, który przywidywał wykłady z nauk humanistycznych. Wykłady z historii prowadził mgr Grzegorz Hanula, z medycyny – prof. Mieczysław Pokorski, z psychologii – mgr Karolina Jurga, z ekologii – dr Inż. Zofia Iwanicka. Wykłady odbywały się w każdej ze stolic krajów nadbałtyckich – w Wilnie, Rydze, Tallinie. Część druga naszego programu – poznawanie zabytków, historii, architektury, wycieczki krajoznawcze – śladami wybitnych Polaków.



2 października odwiedziliśmy Dom Polski w Wilnie, gdzie odbyły się nasze wykłady. W drugiej połowie dnia modliliśmy się przed obrazem Matki Bożej Ostrobramskiej, w pięknym barokowym kościele św. Piotra i Pawła na Antokolu, w kościołach św. Teresy i św. Anny, w Katedrze Wileńskiej. Pokłoniliśmy się sercu Marszałka na cmentarzu na Rosie, i Jego Matce, która wychowała dla Polski Takiego syna. Na terenie Uniwersytetu Wileńskiego zwiedziliśmy tzw. Celę Konrada, w której był więziony młody Mickiewicz. Podziwialiśmy zamek w Trokach i smakowaliśmy kuchni karaimejskiej.

Dzień piąty i szósty spędziliśmy w Rydze. Obecnie tylko 2% mieszkańców Rygi są Polakami, jednak w każdą niedzielę w kościołach jest odprawiana msza w języku polskim. Stara Ryga oczarowała nas. Całkiem młoda, choć posiada jedno z największych w Europie skupisk architektury secesyjnej. Wszystkie zabytkowe kamienice Starówki odnowione, odrestaurowane, zadbane, cieszą oko licznych turystów. Odwiedziliśmy również pomnik we wsi Kirholm w 25 km od Rygi. Wieś ta jeszcze pamięta jedną z naszych największych bitew narodowych z 1605 r., gdzie wojska hetmana Jana Karola Chodkiewicza rozgromiły wojska szwedzkie pod wodzą Króla Karola IX.

O Tallinie można mówić że jest to miasto-muzeum. Przepiękne zabytkowe Górne i Dolne stare miasto zachwycają swoim urokiem. Uliczki Krótka Nóżka i Długa Nóżka wyjaśniają dlaczego o Tallinie mówi się, że miasto „kuleje”. Dzwony Soboru św. Aleksandra Newskiego w ostatnich latach były tylko dwa razy: pierwszy raz – 10 kwietnia 2010 r., drugi raz po tsunami w Japonii. A jeszcze pokazano nam w Tallinie świątynię „do wynajęcia” – wynajmować ją mogą przedstawiciele wszystkich konfesji.

Na pożegnanie wszyscy uczestnicy konferencji wyjazdowej odśpiewali „Sto lat” naszej dzielnej organizatorce – Pani Zofii Iwanickiej, dyrektor Mokotowskiego UTW, dzięki której odbyła się ta niezapomniana podróż, dla wielu było pierwsze spotkanie ze stolicami nadbałtyckimi. Zostały z nami konspekty naszych wykładów, ciepłe wspomnienia ze spotkań z rodakami, pamięć o malowniczych krajobrazach i gościnności gospodarzy. Z całego serca dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do organizacji tak wspaniałego projektu.

Teresa Puńko
Brześć



Dziennik z harcerskiego obozu Ocypel 2011

Od razu powiem, że jadę na taki obóz po raz pierwszy i zupełnie nie wiem, jak to wygląda i co mnie czeka. Zapraszam, by zobaczyć razem ze mną co to takiego obóz harcerski.

26 czerwca (Dzień 1)

Zaczęliśmy drogę do obozu w Grodnie. Stąd o piątej rano wyjechaliśmy na pociąg do Kuźnicy Białostockiej, w której na nas już czekał autokar. Jechaliśmy około siedmiu godzin, ale przyjechaliśmy nie do Ocypła, ale do miejsca pierwszej wycieczki – Grunwaldu. Byliśmy na miejscu tej znanej bitwy, zwiedziliśmy muzeum i oglądaliśmy film „Krzyżacy” zrealizowany na podstawie powieści Henryka Sienkiewicza o takim samym tytule. Z Grunwaldu zostało nam około trzech godzin podróży. Przyjechaliśmy do obozu akurat podczas kolacji. Po kolacji zaczął się podział na zastępy i proces ustawiania namiotów. Do tej pory myślałem, że to nic skomplikowanego, ale straciliśmy około dwóch godzin na ustawienie trzech namiotów, dopiero o dwudziestej drugiej wzięliśmy łóżka-kanadyjki, koce, poduszki i materace z magazynu obozowego. Ale nie mogliśmy od razu iść do łóżka, ponieważ mieliśmy zaplanowany kominek, na którym poznaliśmy się z naszym harcmistrzem-Adamem Czetwertyńskim i dwoma instruktorami: Kubą Kowalskim i Olą Golecką. Druh Adam (druhem czy druhną nazywamy wszystkich harcerzy) powiedział nam plan następnego dnia : poprawienie namiotów, budowa bramy, płotu, suszarni, tablicy ogłoszeń, śmietnika- czyli pionierki (to znaczy z użyciem linki, drzewa, gwoździ i różnego rodzaju podręcznych materiałów dostępnych w lesie). Na początku i na końcu kominka tradycyjnie wszyscy śpiewali „Płonie ognisko”, potem zrobiliśmy krąg, w który druh Adam puścił iskrę przyjaźni (to też harcerska tradycja, która odbywa się w czasie każdego kominka czy ogniska). Na tym skończył się pierwszy dzień obozu.

27 czerwca (Dzień 2)

Dzień zaczął się pobudką o siódmej rano. O siódmej piętnaście odbyła się rozgrzewka. Po rozgrzewce mieliśmy koło czterdziestu minut wolnego czasu na to, żeby umyć się, posprzątać namiot, ubrać się w mundur. O ósmej odbył się apel poranny, na któ-

rym został odczytany rozkaz czyli po prostu krótki plan dnia i został ogłoszony główny instruktor (codziennie zmieniali się tą rolą Ola i Kuba). Po apelu mieliśmy śniadanie, a po nim rozpoczęła się praca, już omówiona w czasie kominka i na apelu. Mój zastęp otrzymał zadanie zrobić bramę w dowolnym stylu. Zaprojektowaliśmy ją w chińskim. Po obiedzie mieliśmy pierwsze zadanie dla zastępów - zwiad miejscowości, odnalezienie dobrego miejsca i zrobienie mapy drogi, żeby inny zastęp mógł zbudować szalę. Potem mieliśmy czas, żeby pójść na kąpielisko. Na końcu dnia znowu mieliśmy kominek, na którym nasze białoruskie drużyny z Brześcia, Lidy, Słonimia i Grodna prezentowały swoją działalność. Myślę, że zaprezentowaliśmy swoją drużynę ciekawie. Skończył się ten kominek, jak i ten dzień, też tradycyjnie.

28 czerwca (Dzień 3)

Dzień, jak zwykle, zaczął się od pobudki o siódmej i rozgrzewki. Potem apel poranny o ósmej z tradycyjnym odczytaniem rozkazu i nagle zaproszenie od zuchów na Gry Olimpijskie obejmujące piłkę nożną, sztafetę, siatkówkę z balonami napełnionymi wodą, grę „Dwa ognie” i kręgle. Uczestniczyłem we wszystkich grach, z wyjątkiem kręgli. Chociaż nie zdobyliśmy zwycięstwa w piłce nożnej, zwyciężyliśmy w „Dwóch ogniach”. W każdym razie wynik Polska – Białoruś 1:1, jak mówimy: zwyciężyła przyjaźń. Po obiedzie odbyło się uroczyste otwarcie obozu: podniesienie flagi państwowej oraz odśpiewanie hymnu ZHP. Po raz pierwszy mieliśmy wolny czas aż do ko-



lacji. Po kolacji były w zastępach gawędy na temat Prawa Harcerskiego. Wieczorem zamiast kominka odbyło się pierwsze prawdziwe harcerskie ognisko. Zostałem wybrany na strażnika ognia i myślę że zrobiłem wszystko dobrze – ognisko paliło się do samego końca. Podczas ogniska zastępy występowały ze swoimi gawędami, potem rozpoczęła się dyskusja o Prawie Harcerskim, podsumowanie dnia. Rozmawialiśmy tak długo, że poszliśmy do łóżka aż po ciszy nocnej, ponieważ mieliśmy zaplanowane opuszczenie flagi państwowej oraz śpiewanie modlitwy harcerskiej (też taka tradycja obozowa).



29 czerwca (Dzień 4)

Zwykle rozpoczęcie dnia, ale ostatnia jego część nie była zwykła. Dowiedzieliśmy się z rozkazu, że będziemy mieli wycieczkę do Malborka -miasta znanego z największego ceglanego zamku w świecie i Pelplina-miasta słynnego ze swojej Bazyliki Katedralnej. Podczas drogi zobaczyliśmy górę Jana Pawła II.

W Pelplinie dowiedzieliśmy się o historii miasta i o historii bazyliki. Nie zdołałem opowiedzieć wszystkiego, o czym dowiedziałem się w ciągu wycieczki, ale powiem, że ta budowla to połączenie wielu stylów architektury, a posiada więcej niż dwadzieścia ołtarzy.

Też nie mogę powiedzieć wszystkiego o Malborku, ponieważ cała historia tego zamku nie pomieści się w jednej książce.

Wróciliśmy do obozu na godzinę przed kolacją. Na ognisku mieliśmy taką grę-quiz zawierającą w sobie pytania dotyczące wycieczki pod Grunwald. Skończyliśmy ognisko piosenką, a dzień modlitwą.

30 czerwca (Dzień 5)

Znowu pobudka, znowu rozgrzewka, ale nie mogę powiedzieć, że to już nudzi, przeciwnie - zaczynam planować swój dzień według tego rozkładu, już można poczuć, co to takiego duch harcerstwa. Na apelu dowiedzieliśmy się, że będziemy mieli gościa – druha Sebastiana.

Po śniadaniu zaczęły się pierwsze lekcje. Pierwsza była prowadzona przez druha Adama na temat „Jak być dobrym drużynowym?”. Podczas lekcji nagle pojawił się druh Sebastian, trochę powiedział o sobie. Niestety, nie było dużo czasu, żeby porozmawiać, dlatego że druh musiał wypłynąć statkiem

na morze następnego dnia. Ale brak czasu nie przeszkodził nam mieć nietypową oraz ciekawą zbiórkę na temat „Zasady dobrego zastępowego”. Za pomocą gier „Sieć” i „Plotkarka” druh pokazał, że łatwiej pracować wspólnie aniżeli indywidualnie.

Wieczorem zamiast ogniska oglądaliśmy film o harcerzach - „Czarne stopy”.

Skończyliśmy dzień modlitwą i opuszczeniem flagi.

1 lipca (Dzień 6)

Na apelu porannym dowiedzieliśmy się że będziemy mieli nowego gościa – druhen Ewę. Otrzymaliśmy zadanie zrobić szałas w miejscach zaznaczonych na szkicach innych zastępów.

Z początku mój zastęp zgubił się w lesie, ale mieliśmy szczęście, że odnaleźliśmy jezioro, skąd zaczęliśmy naszą wyprawę. Niestety, straciliśmy około dwóch godzin. Wybudowaliśmy szałas, ale spóźniliśmy się o godzinę na obiad.

Po obiedzie mieliśmy następną część zajęć na tematy „Jak powinny być zorganizowane zastępy?” (lekcja była prowadzona przez druhen Olę) i „Harcerska metoda wychowania”, która była prowadzona przez druhen Ewę.

Po kolacji znowu robiliśmy gawędę na temat „Duch harcerski”, którą prezentowaliśmy podczas ogniska. Opuszczenie flagi, modlitwa, cisza nocna.

2 lipca (Dzień 7)

W tym dniu rozpoczęła się próba głodu na sprawność „Trzy pióra”(dzień głodu, dzień milczenia, spędzić dzień i noc w lesie). Ja też uczestniczyłem w tej próbie.

Powinniśmy byli uczestniczyć we wszystkich sprawach obozu łącznie z wyjściami do stołówki. Po śniadaniu mieliśmy lekcje na tematy „Cele harcerstwa na Białorusi. Po co działa harcerstwo na Białorusi. Statut harcerski” (była prowadzona przez druha Adama), „Symbolika harcerska i skautowa” (druh Kuba oraz druha Ola). Po obiedzie kolejna lekcja druha Adama „Jak zdobywać stopnie”. Tradycyjne ognisko, opuszczenie flagi państwowej, modlitwa, cisza nocna.

3 lipca (Dzień 8)

Dzień zaczął się nie o siódmej rano, ale o drugiej w nocy. Polscy harcerze zaproponowali grę nocną, według której trzeba było pomóc psychicznie chorym ludziom, którzy zbiegli ze szpitala do lasu. Wszystko było zrobiono na najwyższym poziomie: oni zdobyli specjalne ubranie, zrobili świetny makijaż, krzyczeli jakby naprawdę byli chorzy. Wróciliśmy do obozu koło godziny trzeciej, od razu poszliśmy do łóżka. Już nie będę mówił, że nic nie jadłem od rana poprzedniego dnia.

Na apelu, zgodnie z rozkazem, zaczęła się próba milczenia.

Po śniadaniu poszliśmy na Mszę świętą do kościoła. To był bardzo niezwykły kościół, udekorowany całkowicie przez dzieci.

Po obiedzie zaczęła się lekcja druha Adama „Plan harcerskiej drużyny”. Wykonanie planu pracy drużyny – to było pierwsze „zadanie domowe”, które robiliśmy w czasie wolnym.

Koniec dnia – tradycyjny.

4 lipca (Dzień 9)

Na apelu porannym zaczęła się trzecia próba – wyjście do lasu. Część obozu robiła siedmiokilometrowy „spacer” do miasteczka Kasparus i szesnastokilometrowy powrót do obozu. Nie znam wszystkich szczegółów tej wycieczki, ponieważ w tym czasie robiłem szalę na noc w lesie. Szalę został zatwierdzony przez opiekunów i dlatego kontynuowałem swoją próbę.

Byłem w łóżku już o godzinie siódmej wieczorem. Tak skończył się mój dzień. Niestety bez apelu i modlitwy.

5 lipca (Dzień 10)

Zacząłem swój dzień już o piątej rano. Trzeba było ułożyć namiot i iść do obozu.

Na apelu dowiedziałem się, że zdobyłem sprawność „Trzy pióra” i że mamy wyjazd do Gdańska od razu po śniadaniu. Trzy dziewczyny złożyły przyrzeczenie harcerskie podczas mojej drogi do obozu.

Zaczęliśmy zwiedzanie miasta od „Westerplatte”, na którym zaczęła się Druga Wojna Światowa, a po południu już byliśmy na starówce. Mieliśmy grę „Wiedza o Gdańsku”, według jej reguł trzeba było odnaleźć około jedenastu pomników na terenie starówki.

Zrobić koło nich zdjęcie zastępu i podać odpowiedź na kilka pytań dotyczących danego zabytku.

Wróciliśmy dopiero na kolację. Na ognisku mieliśmy quiz „Wiedza o Gdańsku”, zrobiliśmy podsumowanie wycieczki. Potem nastąpiło opuszczenie flagi, modlitwa.

6 lipca (Dzień 11)

Ja i dwóch chłopców złożyliśmy przyrzeczenie harcerskie o szóstej rano, stąd mam krzyż na swej piersi.

Na apelu otrzymaliśmy niespodziewaną wiadomość: będziemy mieli dziś nocą jakąś niespodziankę, ponieważ to będzie Noc Kupały. Po śniadaniu mieliśmy lekcję „Historia Polski”, a po obiedzie kolejną lekcję „Regulaminy sprawności”. Wieczorem zrobiliśmy ognisko, na którym smażyono kielbaski i skakano przez ogień. O drugiej godzinie zaczęła się gra nocna – poszukiwanie „paparot-kvetki”, ale ta gra miała nieoczekiwany zwrot. Po kolei gubiliśmy wszystkich zastępowych, a potem dwóch instruktorów. Z początku znaleźliśmy Olę, ale w ciągu godziny znaleźliśmy wszystkich i wróciliśmy do obozu.

Na apelu druh Adam powiedział, że na koniec obozu będziemy mieli „Bieg harcerski”.

Bieg zawierał osiem punktów, na każdym z nich trzeba było zrobić jakieś zadanie. Było wszystko: od śpiewania piosenki do rozpalenia ogniska jedną zapalką. Wieczorem, na apelu rozdawano nagrody i prezenty. Skończyliśmy cały obóz trzygodzinnym ogniskiem, na którym podsumowaliśmy program całego obozu.

Na koniec chciałbym od siebie powiedzieć, że obóz harcerski to zupełnie inny świat. To szkoła życia i myślę, że ta szkoła zmieniła nie tylko moje życie.

Stanisław Zamana
Brześć

Polsko-białoruskie związki kulturowe w XIX – pocz. XX w., cz. II

W latach 50. jeszcze bardziej wzrasta zainteresowanie społeczeństwa polskiego białoruskim narodem i jego kulturą, co było uwarunkowane względami nie tylko naukowymi, ale też politycznymi. Najbardziej świątli i przezorni przedstawiciele polskiego społeczeństwa dążą do zjednania niepodległościowej sprawy polskiej ludu białoruskiego, zwracając się nie raz do niego w jego języku i budząc w nim poczucie godności narodowej, odrębnej od rosyjskiej. Warto zatem się zastanowić, dlaczego „tutejsza” szlachta zaczęła przejawiać tak żywe zainteresowanie odrębnością narodową Białorusinów. Niewątpliwie, jedną z głównych przyczyn było pragnienie przybliżenia kultury jej mieszkańców elitom kraju, wzbogacając przez to kulturę ogólnonarodową oraz przyspieszając włączenie chłopstwa do narodowej wspólnoty, rozumianej wówczas raczej politycznie, niż etnicznie. Niemniej, zdaniem niektórych autorów, przyświecały im w niemałym stopniu również cele czysto pragmatyczne, na przykład, dążenie do przeciwdziałania gwałtownie szerzącej się rusyfikacji. Fakt, że pierwsi przedstawiciele inteligencji białoruskiej wywodzili się z polskiego środowiska kulturalnego miejscowej szlachty tłumaczony jest przez niektórych autorów tym, iż w tamtych czasach było ono jedynym posiadającym warstwę wykształconą, historycznie i emocjonalnie związane z ludem, i ziemią przodków.

W połowie XIX wieku na Białorusi żyło i tworzyło wielu polskich pisarzy, wśród których pierwszoplanową postacią dla białoruskiej kultury był Władysław Syrokomla. Jego twórcza spuścizna należy do dwóch narodów – polskiego i białoruskiego. Pisał po polsku, ale jego życie i twórczość na tyle związane były z rzeczywistością białoruską, że można je uznać za zjawisko literatury białoruskiej. Centralną postacią wielu gawęd Syrokomli jest Białorusin. Pisarz opublikował też pracę poświęconą ówczesnej białoruszczyźnie pt. *Krótką rozprawą o języku i rysach poezji Rusinów w powiecie mińskim*, w której dowodził istnienia języka białoruskiego jako całkiem odrębnego w stosunku do rosyjskiego i polskiego. W latach 1855 – 1857 na łamach „Gazety Warszawskiej” i „Kuriera Wileńskiego” publikował Syrokomla artykuły poświęcone działalności literackiej Wincentego Dunina-Marcinkiewicza (1808–1884) i konsekwentnie występował w obronie jego twórczości w języku białoruskim. Dunin-Marcinkiewicz słusznie uchodzi za ojca współczesnej białoruskiej literatury. Jako twórca wywodził się z tradycji literatury polskiej. W literaturze białoruskiej nie ma bodajże innego pisarza tak ściśle związanego z tradycjami piśmiennictwa polskiego. Pisał zarówno po polsku, jak i po białorusku, ale najbardziej

wartościowe pod względem literackim utwory zostały napisane w języku białoruskim. Zapoczątkował też Marciniewicz tworzenie białoruskiego języka literackiego, czego pierwszą próbą był przekład dwu ksiąg *Pana Tadeusza* na ten język. Jego działalność stała się bodźcem dla dalszego rozwoju nie tylko literatury, ale i całej białoruskiej sztuki narodowej, a znajomość pisarza ze Stanisławem Moniuszką zaowocowała współpracą literacko-muzyczną. Badacz jego twórczości Józef Gołąbek uważał, że W. Dunin-Marcinkiewicz był niewątpliwie Białorusinem, przepojonym kulturą polską, jak cała ówczesna szlachta litewsko-ruska, który Polskę, w znaczeniu dawnej Rzeczypospolitej, uważał za własną ojczyznę zarówno dla szlachcica polskiego, jak i kmiecia białoruskiego. Poglądy takie były zresztą w tamtych czasach powszechne. Białoruś, Litwę i Ukrainę uważano za nieodłączne części dawnej Rzeczypospolitej. Fakt narodowej i językowej odrębności Białorusinów nie zaprzeczał temu pogładowi, mającemu swe źródła w przesłankach historycznych, nie zaś narodowo-etnicznych.

Rok 1863 miał tragiczne skutki dla polskiej kultury na kresach i stał się przełomowym w dziejach Białorusi. Klęska powstania styczniowego pociągnęła za sobą ostre represje, całkowitą rusyfikację szkolnictwa i administracji, wzmożoną politykę unifikacji z cesarstwem, przypieczętowując przewagę wpływów rosyjskich we wszystkich dziedzinach życia i redukując polskość do granic dworów, zaścianków i kościołów. W 1866 roku zlikwidowano tu wszystkie polskojęzyczne wydawnictwa. Czasy te, znamionujące też początek planowej polityki rusyfikacji Białorusi, systematycznego przymusowego szerzenia rosyjskiej kultury, stały się jednocześnie punktem zwrotnym późniejszych przemian o charakterze narodowościowym, przekształcania się kultur etnicznych w kultury narodowe. Wtedy właśnie zaczyna słabnąć i kruszyć się „atrakcyjność” polskości, która sama okazała się w stanie zagrożenia. Pod koniec wieku XIX dość wyraźnie ujawnia się postawa autonomiczna, a później i niepodległościowa narodowości niepolskich na obszarze dawnej Rzeczypospolitej.

Bolesnie przeżyła okres popowstaniowy młoda literatura białoruska. W odróżnieniu od lat 40. – 50. XIX wieku inteligencja polska prawie przestała angażować się w sprawę kulturalnego rozwoju białoruszczyzny. W dużym stopniu było to wynikiem represyjnej polityki władz, tłumiących aktywność kulturalną miejscowych i „koronnych” środowisk, likwidujących, likwidujących zarazem białoruski ruch wydawniczy. Pewną rolę odegrało też szerzące się przekonanie, że sami Białorusini nie wiążą szans na swą emancypację kulturalną z ojczystymi tradycją i językiem.

Adam Kirkor, autor licznych prac badawczych dotyczących historii i etnografii narodu białoruskiego, pisał w drugiej połowie XIX wieku: „Białoruś umrzeć musi, jako odrębne, jedno z najstarszych plemion słowiańskich, od wieku IX przeważnie występujące w dziejach Litwy i Rusi, umrzeć w swej narodowej odrębności. Można by się pocieszać myślą, że naród na pozór choć nie zna historii, głęboko ją chowa jednakże w swem łonie. Ale i ta myśl nie da się do Białorusinów zastosować, bo chiński mur podziela już masy ludu od inteligencji krajowej”. W drugiej połowie XIX wieku, a nawet na przełomie wieków XIX i XX, chłop białoruski w oczach ziemian wciąż pozostawał „poddanym”, który chętnie uznaje patriarchalne zwierzchnictwo „pana”, a nawet nie może bez niego się obejść. W sumie opinia owa niewiele odbiegała od tej, która przeważała w pierwszej połowie XIX wieku.

Tymczasem narastał antagonizm kulturalny i polityczny pomiędzy rodzącą się narodową inteligencją białoruską a inteligentnymi sferami polskimi. Było to zjawisko nowe, dotąd nieznanne. Nic więc dziwnego nie było w tym, że strona polska w swoim czasie nie umiała należycie tego docenić. Musiał minąć pewien czas zanim niektórzy przedstawiciele społeczeństwa polskiego, wywodzący się przeważnie z tak zwanego kręgu krajowców, zrozumieli, iż na ziemiach Białorusi i Litwy z dorobku wspólnej historii Rzeczypospolitej zachować należy przede wszystkim doświadczenie jej wielonarodowości. „Dziś już nikt kraju naszego na równi z Królestwem polskim nie nazwie. Nie szlachta i nieliczna inteligencja nadadzą barwę sztandarowi kraju. Przykre to, czy nie przykre, z faktem tym trzeba się liczyć” – pisał w 1905 roku Roman Skirmunt.

Stopniowo słabły wpływy polskie na piśmiennictwo białoruskie, które z biegiem czasu nabierało coraz więcej cech profesjonalizmu i dojrzałości. W bardziej sprzyjających społeczno-politycznych warunkach lat 80. – 90. powstało nowe pokolenie pisarzy białoruskich: Janka Łuczyna (Jan Niestuchowski), Franciszek Bohuszewicz, Adam Murynowicz, Feliks Tapczewski, Olgierd Obuchowicz, Maria Kosicz i inni. Wszyscy pisarze białoruscy końca XX wieku znali język polski, niektórzy z nich posługiwali się nim w swojej twórczości, poświęcając sporo uwagi tłumaczeniu dzieł polskiej literatury klasycznej. Wśród pisarzy białoruskich tamtego okresu z literaturą polską najściślej związany był Janka Łuczyna. Jego twórcza spuścizna w znacznej części składała się z utworów napisanych po polsku lub też tłumaczonych na ten język z białoruskiego. Twórczy charakter miało oddziaływanie literatury polskiej na Franciszka Bohuszewicza. Nie pozostawiła ona, co prawda, u niego tak wyraźnego śladu jak w przypadku Dunina-Marcinkiewicza i Łuczyny. Tym niemniej, w poezji Bohuszewicza dostrzegalne są postacie i myśli przypominające odpowiednie tematy i idee w twórczości Syrokomli i Mickiewicza. Nie mają one jednak charakteru zapoży-

czeń. Poeta utrzymywał przyjacielskie i twórcze kontakty z wieloma polskimi literatami i przede wszystkim z Elizą Orzeszkową. Jan Karłowicz, polski uczony folklorysta, który zebrał i opracował melodie ponad sześćset piosenek białoruskich, pomógł Bohuszewiczowi w wydaniu pierwszych jego książek, wydanych przez krakowskie wydawnictwo Anczyca, będące osobistym znajomym Karłowicza.

Wiele zrobił dla upowszechnienia wiedzy o białoruskiej literaturze w polskim druku przyjaciel W. Dunina-Marcinkiewicza Aleksander Jelski, amator sztuki i zbieracz białoruskich i polskich pamiątek literackich. Na ich podstawie Jelski opublikował kilka prac, wśród których wyróżnia się artykuł *Adam Mickiewicz na Białorusi*. Realia białoruskie stanowiły znaczną część w tematyce utworów literackich Elizy Orzeszkowej. Białoruskimi pod tym względem są jej powieści *Niziny*, *Dzirdziowie*, *Cham*, opowiadania *Obrazek z lat głodowych*, *W zimowy wieczór* i inne należące do rzędu najlepszych utworów pisarki. Na przełomie XIX i XX wieku powstała monumentalna praca Michała Fedorowskiego *Lud białoruski na Rusi litewskiej* (1897; 1902; 1903). Duchową i materialną kulturę narodu białoruskiego badał Jan Karłowicz. Do tejże tematyki zaliczyć można publikacje Jerzego Jankowskiego i Aleksandra Jabłonowskiego. W tym samym okresie tematykę białoruską, w jej aspekcie historyczno-literackim, podejmował też Bronisław Chlebowski. Od końca XIX wieku i do końca okresu międzywojennego polsko-białoruskie związki kulturalne i kontakty literackie były przedmiotem publikacji na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”, „Kuriera Litewskiego”, „Kuriera Wileńskiego”, „Przeglądu Powszechnego”, „Przeglądu Krajowego”, „Wiadomości Literackich”.

Niektóre dziedziny polsko-białoruskiej współpracy kulturalnej mają charakter głęboko zakorzenionej tradycji historycznej. Dotyczy to między innymi teatru na Białorusi oraz jego związków z Polską i polskością, sięgających połowy XVIII – początku XIX wieku. W tym okresie szybko rośnie liczba teatrów miejskich i magnackich. Powstają one w Nieświeżu, Mohylewie, Szklowie, Grodnie, Słoniemiu, Różanie, Dzieżeczynie, Zelwie, Czeczersku, Swistocz, Dukorze, Oswei, Szczorsach i innych miastach i dworach. W pierwszym ćwierćwieczu XIX wieku wszystkie profesjonalne trupy teatralne na Białorusi posługiwały się wyłącznie językiem polskim. Klęska powstania listopadowego wyraźnie skomplikowała działalność polskiego teatru na Białorusi. W warunkach kiedy antypolska polityka paraliżowała prawie wszystkie dziedziny życia społecznego na Ziemiach Zabrzanych, repertuar teatralny zaczęto poddawać ostrej cenzurze, Eliminowani z niego wszystko co, zdaniem władz, mogło sprzyjać szerzeniu „polskich i katolickich wpływów”. Zaostrzenie cenzury w latach 1842–1845 znacznie utrudniało działalność polskich teatrów. Trupy te usiłowały dostosować się do nowopowstałej sytuacji zmieniając swój repertuar i wprowadzając wię-

cej sztuk autorów zachodnioeuropejskich. Działalność ta jednak stopniowo zanikała, a po powstaniu styczniowym ustała zupełnie, gdyż w myśl władz carskich teatr stać się miał narzędziem rusyfikacji kraju.

W tym kontekście na szczególną uwagę zasługują twórcze kontakty Wincentego Dunina-Marcinkiewicza ze Stanisławem Moniuszką. Obydwaj, dramaturg i kompozytor, w twórczości swej starali się jak najwięcej czerpać ze zdobyczy lokalnej kultury ludowej, wprowadzając ją w ten sposób w obieg kultury profesjonalnej. Białoruski koloryt nie tylko jest odczuwalny, lecz czasem dominuje w niektórych wcześniejszych utworach moniuszkowskich. Taka twórcza orientacja kompozytora w całkiem naturalny sposób doprowadziła do zbliżenia z Marcinkiewiczem. Pierwszym doświadczeniem ich współpracy stała się operetka *Pobór rekruta*, wystawiona w 1841 roku w Mińsku. Prawdziwym wydarzeniem w historii polskiej i białoruskiej kultury muzycznej stała się opera Moniuszki i Marcinkiewicza *Sielanka*, premiera której odbyła się w Mińsku w 1852 roku. Po raz pierwszy w dziejach teatru na Białorusi w sztuce polskiej sporą część scen muzycznych i dramatycznych wykonano po białorusku.

Wśród artystów polskich, których w pewnym stopniu zaliczyć można do białoruskiej historii i kultury, znajduje się wiele twórców urodzonych na Białorusi. Albo spędzili oni w tym kraju znaczną część swego życia, albo tematyką swej twórczości byli z nim związani. Do takiej grupy należą niewątpliwie wybitni przedstawiciele wileńskiej szkoły malarstwa Walenty Wańkowicz, Adam Szemesz i Jan Dammel. Wśród innych malarzy wymienić warto krakowianina związanego z Białorusią Józefa Peszkę, batalistę Januarego Suchodolskiego, Kazimierza Olchimowicza, Władysława Dmochowskiego; z artystów przełomu wieków – słynnego w Polsce, na Białorusi i Litwie Ferdynanda Ruszczyca, piewcę ziem kresowych Henryka Weyssenhoffa, grafika Antoniego Kamieńskiego. Pierwszym profesorem rzeźby na Białorusi był znawca sztuki Kazimierz Jelski. W tej dziedzinie wyróżniają się: Jan Ostrowski – twórca rzeźb postaci historycznych Polski, Białorusi i Litwy, Rafał Ślizie – autor płaskorzeźb wybitnych postaci kultury polskiej i białoruskiej swoich czasów, Helena Skirmuntt, Henryk Dmochowski, Wacław Bubnowski. Współcześni autorzy białoruscy zaliczają niekiedy niektórych z wyżej wymienionych artystów do przedstawicieli sztuki białoruskiej stosując przy tym zazwyczaj kryteria miejsca urodzenia lub ewentualnie tematyki ich twórczości, w mniejszym stopniu biorąc pod uwagę przynależność narodową. Przy uwzględnieniu specyfiki i charakteru tego rodzaju sztuki ma to pewne uzasadnienie, gdyż malarstwo i rzeźba są zarówno uniwersalnym wyrazem artystycznym jak i przejawem określonych (w tym przypadku białoruskich) realiów w obrazach. Zauważmy, że polsko-białoruskie związki kulturalne w tej dziedzinie nie są jeszcze ostatecznie zba-

dane. Ważną rolę w ich rozwoju odegrała wileńska szkoła malarstwa, która w dużym stopniu przyczyniła się do rozwoju sztuki plastycznej Białorusi w pierwszej połowie XIX wieku.

Na początku XX wieku w społeczeństwie polskim zaczyna rodzić się świadomość, że obok tradycyjnie postrzeganych białoruskich chłopów powstaje nowa białoruska inteligencja. W tym okresie właśnie, a dokładniej w latach 1904–1906, nastąpiło przeistoczenie się białoruskiego ruchu kulturalnego, które polegało na ostatecznej zmianie jego adeptów z „sympatyków” i „wielbicieli” białoruszczyzny, wywodzących się z grona polskojęzycznych twórców i inteligencji, na budzielski ruch ludowy o charakterze narodowo-białoruskim. Trwająca przez niemal cały wiek XIX polska fascynacja folklorem białoruskim i kulturą ludową Białorusi u schyłku tego wieku wyraźnie wygasa. Zanika również w tym okresie twórczość pisarzy dwujęzycznych, łączących w swej twórczości nurty literackie – polski i białoruski, względnie litewski. Trzeba jednak zaznaczyć, że pojawienie się autentycznych samodzielnych białoruskich dążeń kulturalnych i narodowych nie zdołało odważyć tradycyjnego dla społeczeństwa polskiego obrazu Białorusinów jako nieświadomej narodowo masy ludowej, a ich kultury i piśmiennictwa jako „mogącej zaspokoić bodaj najskromniejsze potrzeby narodu”. Nadal rozpowszechnionym pozostawało mniemanie uznające historyczno-polityczną przynależność Białorusinów do narodu polskiego i nierozzerwalność więzi Białorusi z Polską. Maria Czapska, która dzieciństwo i młodość spędziła na Mińszczyźnie, w swych wspomnieniach odnoszących się do roku 1910 pisała: „Czym był nasz kraj, rodzinna Białoruś, jak nie częścią W. Ks. Litewskiego, przez cztery wieki z Polską połączony, przez Rosję zagarnięty? O budzącej się świadomości narodowej Białorusinów nic wtedy nie wiedzieliśmy. Należało wybierać między Polską a Rosją, a nie wątpiliśmy, że kraj nasz do Polski wrócić powinien, Polski niepodległej, w dawnych przedrozbiorowych granicach”. Głębsze zmiany w obrazie ludu białoruskiego przyniosły dopiero lata 1917–1921, kiedy to ze szczególną ostrością ujawniły się antagonizmy narodowe i społeczne. Po rozpadzie imperium niewolącego oba narody zetknęły się one ze sobą bezpośrednio w próbach zorganizowania własnego bytu państwowego. Mimo, że przeżyły obok siebie wiele stuleci, że miały w przeszłości wspólne, chlubnie zapisać stronicie historii, okazało się, iż te dwa narody niewiele o sobie nawzajem wiedzą. Lecz czasu na zbliżenie się już nie pozostawało. Niebawem granica „ryska” podzieliła ziemie białoruskie na dwie części. Jedna istniała w obrębie II Rzeczypospolitej, druga zaś odcięta była od świata kordonem państwa bolszewickiego. Ciągłość rozwoju Białorusinów znowu została przerwana na długie dziesięciolecia, nawet po połączeniu tych części w 1939 r. Odrodzenie bowiem autentycznie białoruskiej kultury narodowej władze

sowieckie uważały za zjawisko potencjalnie dla siebie niebezpieczne. Od razu po przewrocie 1917 roku działający na terenie Białorusi bolszewicy oświadczyli, że nie uznają Białorusinów za odrębny naród. Ich lokalny „ideolog” Wilhelm Knorin całkiem jednoznacznie charakteryzował pozycję swego kierownictwa w tej kwestii: „Uważamy, że Białorusini nie są narodem, i że te cechy etnograficzne, które różnią ich od pozostałych Rosjan, powinny być stopniowo wyplenione. Naszym zadaniem jest nie tworzenie nowych nacji, lecz niszczenie starych narodowościowych ograniczeń. Białoruski ruch natomiast jest takim właśnie wzniesieniem nowych narodowościowych przeszkód, których dotychczas nie było...” Niemniej jednak, nowa władza początkowo nie mogła się obejść bez wsparcia miejscowej ludności, narodowej inteligencji i musiała je sobie zjednywać. Dlatego pierwszy okres istnienia Białorusi w składzie ZSRR, który trwał do końca lat 20., upłynął pod znakiem „białorusyzacji”. Polityka ta oznaczała nie tylko zjednanie sobie rdzennej ludności republiki przez szerzenie (nieraz nawet nakazowe) języka narodowego we wszystkich sferach życia społecznego. Ukrytym celem tej polityki była szeroko zakrojona sowietyzacja, w myśl leninowskiej tezy o narodowej formie i socjalistycznej treści, oraz wykształcenie nowych lokalnych i lojalnych wobec reżimu kadr. Niemniej Białorusyzacja miała swoje pozytywne strony, w szczególności dotyczyło to rozwoju kultury narodowej. Stopniowo jednak doprowadziło to do wzrostu tendencji separatystycznych wobec Moskwy wśród miejscowej inteligencji, dążącej do uzyskania coraz większej swobody działań, przede wszystkim w dziedzinie kultury. Jednak na przełomie lat 20.–30. państwo sowieckie umocniło się na tyle, że mogło pozwolić sobie na stłumienie narodowo-kulturalnego „izolacjonizmu”. Do połowy lat 30. znacznie poszerzono prawa organów władzy państwowej ZSRS i wzmocniono centralizację państwa związkowego. Jednocześnie przez republikę przeszła fala aresztowań i czystek. Zaczęła się w latach 1928–1929 i trwała przez następne dziesięć lat, przerzedzając kadrę narodową. Zniszczony został wówczas kwiat białoruskiej inteligencji – naukowcy, literaci, artyści. Kultura białoruska poniosła niepowetowane straty, których skutki odczuwalne są do dziś.

Podsumowując można powiedzieć, że w XIX wieku nie istniały właściwie dwupodmiotowe polsko-białoruskie związki kulturalne w sensie tradycyjnych, współcześnie rozumianych kontaktów międzynarodowych. Przez cały prawie wiek XIX natomiast utrzymywała się wspólna przestrzeń kulturowa i geograficzna, gdzie działali twórcy w różnym stopniu łączący w sobie elementy obu kultur. Kształtowanie się nowoczesnej literatury białoruskiej odbywało się w warunkach długotrwałego współistnienia kilku języków i tradycji literackich. Przez cały niemal wiek XIX towarzyszył jej stan bilingwizmu autorskiego, przede wszystkim na podstawie pisanego języka polskie-

go – z jednej strony, i białoruskiego podkładu językowo-folklorystycznego – z drugiej. Historycznie ukształtowana dwujęzyczność pisarska autorów polsko-białoruskich wpływała na charakterystyczne osobliwości artystyczne ich utworów. Twórczości dziewiętnastowiecznych pisarzy polsko-białoruskich z reguły nie wyodrębniano z dorobku wyłącznie polskojęzycznych autorów Białorusi. Były to dwie strony tego samego procesu życia literackiego kraju, z którego stopniowo się wyłaniała nowa literatura białoruska. Jej kształtowanie się było zjawiskiem wewnątrz krajowego polsko-białoruskiego wzajemnego oddziaływania kulturalnego. Jeżeli chodzi natomiast o związki kulturalne w dziedzinie teatru, to wpływy tu były raczej jednostronne – zdecydowanie dominowała kultura polska, gdyż w XIX wieku narodowy teatr białoruski praktycznie nie istniał.

W okresie międzywojennym kontakty kulturalne między Polską i Sowietką Białorusią praktycznie nie istniały. Republiki graniczące z Polską traktowane były przez rząd bolszewicki w Moskwie jako „przedmurze świata socjalizmu”, swoista pierwsza linia obrony przed „kapitalistycznym Zachodem”, „pańska Polska” uchodziła w oczach komunistów za agresora. Odrębnym tematem jest funkcjonowanie białoruskiej kultury na etnicznie białoruskich ziemiach w granicach II Rzeczypospolitej. W okresie tym w Polsce wydane zostały między innymi następujące publikacje poświęcone tematyce białoruskiej: Aleksandra Brucknera *Z niwy białoruskiej* (1918), polskojęzyczne wydanie *Krótkiego zarysu literatury białoruskiej* (1921) Maksima Hareckiego oraz *Zarys literatury białoruskiej* (1921) Bohdana Żyranika, szkice Leona Wasilewskiego *Litwa i Białoruś. Przeszłość – teraźniejszość – tendencje rozwojowe* (1921). Nieco później ukazały się prace Józefa Gołąbka *Początki dramatu białoruskiego* (1925) i *Wincenty Dunin-Marcinkiewicz poeta polsko-białoruski* (1932), pierwsze tego typu studium poświęcone poecie i jedna z pierwszych prac badawczych z zakresu polsko-białoruskich związków literackich, oraz szkic *Literatura białoruska* zamieszczony w Wielkiej literaturze powszechnej Trzaski, Everta i Michalskiego (t. IV, 1933). W 1936 roku wyszła praca Marii Rudzińskiej-Froelichowej *Uwagi nad literaturą Białorusi* i ukazała się w Wilnie obszerna i wartościowa rozprawa Stanisława Stankiewicza *Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej*.

Druga wojna światowa na długo przerwała wszelkie badania naukowe. Wzajemne kontakty zaczęły się powoli odradzać dopiero po śmierci Stalina, lecz w bardzo zmienionej postaci, jako stosunki peerelowsko-sowieckie, w ramach „obozu socjalistycznego” pod auspicjami Moskwy.

Jerzy Waszkiewicz
Mińsk

Drodzy Czytelnicy,

Mamy przyjemność zaprezentować Państwu fragmenty unikalnej książki - pracy zbiorowej naukowców, inżynierów, dziennikarzy brzeskich pod redakcją dyrektora poddyrekcji brzeskiej inż. Oktawiana Nelard „Polesie Ilustrowane”, wydanej w 1923 r. w Brześciu w drukarni „Orka Brygada”. O autorze wiemy niewiele, że był także redaktorem miesięcznika krajoznawczego „Ziemia”, a w latach 30-ch został kierownikiem Ekspozytury Dyrekcji Francusko-Polskiego Towarzystwa Kolejowego w Gdyni. Będziemy wdzięczni naszym Czytelnikom za wszelkie informacje o inż. Oktawianie Nelardzie, dzięki któremu możemy pogłębić naszą wiedzę o Polesiu - ludności, historii, przyrodzie, kulturze, sytuacji gospodarczej, szkolnictwie, harcerstwie. Pełna wersja książki zostanie zamieszczona na naszej stronie internetowej www.echapolesia.pl w wersji PDF. W numerze 32 i 33 „EP” publikujemy ważniejsze rozdziały tej pracy, które na pewno zainteresują wszystkich miłośników Polesia, badaczy, dawnych i obecnych mieszkańców.

Polesie Ilustrowane.

Praca zbiorowa pod red. Nelarda, Brześć n/B 1923 Drukarnia „Orka Brygada” s. 131

ROZDZIAŁ II.

LUDNOŚĆ.

Dział V. Zabytki wieku kamiennego, wykopaliska, plemiona przedhistoryczne zamieszkujące Polesie, plemiona słowiańskie, kultura ich na zasadzie zabytków archeologicznych, mitologia, obyczaje, obrzędy, język i pieśni mieszkańców Polesia. Rysy odrębności Polesia.

Na całej przestrzeni Poleskiej niziny znajdowano narzędzia, należące do wieku kamiennego. Narzędzia te były dwóch rodzajów: z kamienia naturalnego, nieobrobionego, a nawet nieociosanego, pierwotne, należące do wieku paleolitycznego, kiedy to człowiek zbierał kamienie, znajdujące się na powierzchni i jako tako przystosowywał do swych potrzeb życiowych i narzędzia z krzemienia obrobionego, ujętego już w pewne określone formy, dobrze oszlifowanego, które to narzędzia należy zaliczyć do wieku późniejszego — neolitycznego. Narzędzia te wskazują na pewny już rozwój kultury w owym okresie. Sądząc, na podstawie porożrzucanych narzędzi, które znajdowano czasami jako pojedyncze okazy, niekiedy zaś w większych grupach, należy przypuszczać, że niektóre plemiona prowadziły życie koczownicze, posuwając się w pewnych odstępach czasu z miejsca na miejsce, inne zaś, osiadłe, trudniły się nie tylko wyłącznie pasterstwem, lecz i uprawą roli. Człowiek wieku kamiennego posiadał już narzędzia różnego rodzaju: jako broń do walki z dzikim zwierzęciem, do polowania, łuki, strzały, topory, przyrządy do łowienia ryb i narzędzia rolnicze w postaci sierpów, żaren i t. p. Z zabytków tej epoki widać, że ówczesne plemiona prowadziły handel ziemienny, gdyż znajdowano tu rzeczy takie, jak: paciorki, muszle i narzędzia wyrobione z innych materiałów, dowodzące pochodzenia z odległych miejscowości.

Człowiek późniejszego wieku kamiennego posiadał już pewne zaczątki pojęć religijnych, gdyż grzebał swych umarłych, budując im mogiły z płyt kamiennych. W Europie i Azji po wieku kamiennym nastąpił wiek brązowy, a potem dopiero wiek żelazny. Na obszarze Polesia zabytków z wieku brązowego nie spotykano, a tylko odrazu znajdowano narzędzia żelazne, z czego można wyciągnąć dwa wnioski: że plemiona tu zamieszkujące odrazu przeszły do używania narzędzi żelaznych, lub też, że plemiona te były wyparte przez inne, które używały już narzędzi żelaznych.

Wogóle był to okres czasu, kiedy stopniowo jedne plemiona, idąc z południa, wypierały poprze-

dnie, które ustępowały dalej na północ lub na wschód. Część tych ostatnich pozostawała, asymilowała się z najeźdźcami, zatracając często pierwotny swój charakter, przyjmując obyczaje i zwyczaje zwycięzców. Trudno powiedzieć coś pewnego o mieszkańcach Polesia z owej dalekiej, zamierzchłej przeszłości; należy wszakże przypuszczać, że Polesie zamieszkiwały plemiona słowiańskie Polan, Drewlan, Krzywicz, Dregowicz, i Radzimicz, które z czasem zjednoczyły się, tworząc jeden lud, t. j. białoruski. O przedhistorycznych dziejach tego ludu coś nie coś mówią tylko zabytki, wykopaliska i kurhany. Przedmioty znajdowane w kurhanach każą domyślać się, że plemiona te nie były wojowniczo usposobione, gdyż broń spotykano w niewielu grobowcach.

Człowiek spokojny, łagodnego usposobienia, nie potrzebował zabierać ze sobą na tamten świat broni, by i w życiu pozagrobowym prowadzić nadal walki, a zabierał tylko takie przedmioty, które na tym świecie służyły mu do zdobywania codziennej egzystencji. Za to znajdowano narzędzia rolnicze, często nawet wagi, świadczące, że handel w tej epoce kwitł już w całej pełni i że rzemiosła również były im znane. Plemiona te uprawiały rolę, trudniły się hodowlą bydła na większą skalę i rzemiosłami. Z rzemiosł znane im było tkactwo, bednarstwo i garncarstwo. Najczęściej wydobywano z kurhanów różnego rodzaju upiększenia, naszyjniki, które nakładano na szyję zmarłym. Wyrabiano je ze srebra, brązu, szkła, ametystów i innych drogich kamieni, a w wykonaniu widać już pewną technikę i znaczny rozwój estetycznych pojęć. Nierzadko też znajdowano pierścionki, bransolety, świadczące o dobrobycie mieszkańców. Niektóre przedmioty, naprz. paciorki, wykonane ze srebra i brązu, są tak misternej roboty, wykonane z takim gustem i poczuciem piękna, że dzisiejsze tutejsze wyroby przy porównaniu z zabytkami przeszłości tracą i mówią na niekorzyść teraźniejszego gustu i estetyki miejscowej ludności.

Godnem podziwu jest to, że w wykopaliskach trafiamy na przedmioty do dziś dnia używane przez przeciętnego poleszuka. Człowiek z epoki kurhanowej

nosił pas skórzany, do niego przytwierdzał nóż, woreczek skórzany, w którym skrętnie chował krzesiwo, krzemień i hubkę; obecny poleszuc ncsi taki sam pas, tylko że przyczepia oprócz noża i woreczka, ale już z tytuniem, krzemieniem i hubką — szpikulcem do czyszczenia fajki. Upiększenia ceramiczne również prawie że nie uległy żadnej zmianie, zarówno pod względem sposobu wyrobu jak i formy. Nieme kurhany, jak żywi ludzie, świadczą o rozwiniętych wówczas pierwiastkach uczuć religijnych o rytuałach, zwyczajach i obrządkach człowieka kurhanowej epoki, które mimo wielowiekowej odległości czasu i mimo chrystianizmu do dziś dnia pozostawiły niezatarte ślady, wyrażające się w zabawach, w gusłach, zabobonach i zwyczajach miejscowej ludności.

Należy przypuszczać, że w zaraniu chrześcijaństwa, by nie odpychać pogan od chrystianizmu, a naodwrot rozszerzać swe dobroczynne wpływy, patrzono z pobłażliwością na wszelkie niewinne obrządki pogańskie, nie noszące zbyt widocznych cech bałwochwalczych, a nawet starano się do pewnego stopnia przystosować je do świąt i obrządków chrześcijańskich. Żeby uwidocznic sobie jak głęboko zakorzeniły się pojęcia, podania i obyczaje pogańskie u ludu już chrześcijańskiego, zacznijmy je rozpatrywać i porównywać po kolei od świąt Bożego Narodzenia aż do końca roku. Od dnia 24 grudnia do 1-go lub 6-go stycznia obchodzono koladę, radosne święto wiosennego obrotu słońca. Dnie zaczynają się już robić dłuższe, światło zwalczyło ciemność i narodziło się nowe bóstwo, niosące ludzkości jasność, ciepło i nadzieję. Pierwszy radosny dzień zwiędstwa słońca, ku czci którego, t. j. Ko Lady stanowczo zabijano wieprza lub prosię. Obecnie to samo słowo kolęda oznacza święta Bożego Narodzenia, a dary, które wręczają się księdzu lub popu, objeżdżającemu swą parafję podczas świąt B. Narodzenia, nazywają się kolędą. Dlatego też mówią „ksiądz jedzie po kolędzie”. Kolędą również nazywają się dary, które gospodarz obdarowuje swą czeladź w dniu wigilijnym, opuszczając służbę lub zawierając nowe umowy, gdyż i ten prastary zwyczaj pozostał, że czeladź w dniu 26-go grudnia opuszcza lub pozostaje nadal na tem samem miejscu. Stąd też powstało przysłowie „Na św. Szczepan każdy se pan”, a właśnie w dniu 27 grudnia przypada św. Szczepana. Najcharakterystyczniejszymi doku-

mentami święta Kolady mogą służyć pieśni, śpiewane podczas trwania świąt Bożego Narodzenia zwane również kolędami. Stopniowo zatracają one swe pogańskie pochodzenie i przeistaczają się w pieśni, wychwalające i czczące Narodzenie Pańskie. Chociaż i w terażniejszych kolędach występują zwierzęta, odgrywające w świetle pogańskim wielką symboliczną i mitologiczną rolę.

W końcu grudnia, kiedy mrozy dochodzą do swego kulminacyjnego punktu, kiedy wiatr dmie i z całym rozpędem hula wspólnie ze śnieżycą, kiedy wichry wyją jak zgłodniałe wilki, czające się i podchodzące do samych domostw, a strach ogarnia nie tylko dziecko, ale i duszę dorosłego człowieka, mieszkający głębokich, nieprzebytých puszczy i lasów, upatrują w tych zjawiskach walkę zła z dobrem, jasności z ciemnością, walkę na życie i śmierć — to bóg zła pan i władca swego królestwa podziemnego — to Ziuzia, rozkazujący mrozom skuwac wszystko w więzy, szaleć wichrom, zwalczyć boga Peruna — bóstwo Jasności i Dobra. Ziuzia wie, że żona Peruna, Kolęda, ma narodzić nowe bóstwo, Dażboga, czyli słońce, ale Ziuzia chce walczyć do ostatka sił swoich. Przemienia się więc w niedźwiedzia, zaprasza z sobą całe gromady wilków i wspólnie puszczają się w pogoń za Kolędą, ale Kolęda szczęśliwie ukrywa się w zaroślach i tam rodzi się Dażbóg.

Zwierzęta oznaczają: Koza — uosobienie samej kolędy, czyli bogini gromownicy, niedźwiedź — bóstwo zła — Sitiwrat lub Ziuzia. Niedźwiedź w dzień zwrotu słońca ku wiosnie, ma o tym czasie z wyczać obracać się w barłogu z jednego boku na drugi; wilk — to demon czyhający na życie Dażboga. Wiadomo nam, że właśnie 2 lutego, na Matkę Boską Gromniczną przypada chwila, kiedy wilki gromadzą się i chodzą całymi stadami. Przy spotkaniu świąt Kolady musiała zawsze figurować świnia, którą zabijano jako ofiarę i składano Bogu-słońcu. Obecnie również w święta Bożego Narodzenia, czy to pod strzechą włościańską, czy też pod dachem obywatelskiego dworku, lub pańską rezydencją niejeden wieprz pada ofiarą, co prawda z innych pobudek, lecz również jako ofiara naszych żołądków. Podczas świąt Kolędy, jak i podczas świąt wiosny w noc świętojańską wszystkie czarownice, wiedźmy i czarnoksiężnicy zlatują się na Łysą Górę, stanowczo na łopatach lub



TYPY POLESZUKÓW.



TYP ŻYDA POLESKIEGO.

miotłach, gdyż innej lokomocji nie uznają i tam w towarzystwie djabłów i demonów zaczynają swój sabat, bachanalje, flirty, tany i różnego rodzaju djabie uciechy. Obecnie na Polesiu panuje zwyczaj spotykania świąt Bożego Narodzenia w ten sposób: W Wigilię, t. j. dnia 24 grudnia, każdy stara się być w łaźni i czysto, odświętnie ubrany, z chwilą ukazania się na horyzoncie pierwszej gwiazdy, zasiada do wigilijnego stołu. Stół ten pokrywa się białośnieżną serwetą, pod którą kładzie się garść siana, jako symbol, że Syn Boży narodził się w ubogiej stajence, pozatem kładzie się na stole opłatki i kucja. Kucja jest to potrawa przyrządzona z pszenicy, jęczmienia, grochu, żyta i miodu. Przedewszystkiem gospodarz domu dzieli się z gospodynią opłatkiem, składając sobie wzajemne życzenia, wszelkiej pomyślności, potem pokolei dzieli się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi domownikami. U bogatych na ucztę wigilijną podaje się ryby, u biednych mniej wykwintne potrawy, lecz jak u jednych, tak i u drugich są to potrawy postne i muszą figurować w daniach wszystkie jarzyny, owoce i płody ziemne.

Jak poganie przy ucztach swych dzielili się strawą, aby zaszkodzić sobie łaski groźnego Złuziu, tak i chrześcijanin poleszuk rzuca łyżkę kucji do kąta lub zostawia jej trochę niedojedzonej w misie, lub stawia w sieni dla dusz zmarłych swych praociców, szepcząc „Dziady, dziady, chodźcie kucju jeszcze”. Podczas wieszery wyciągają siano z pod serwetki jako wróżbę. Jeżeli wyciągną długą trawkę, oznacza to dobry znak, urodzaju lnu, krótka naodwrot — oznacza, że len nie urodzi. Po wigilii wychodzą na podwórze patrzeć czy jest przedeptana dróżka i czy ślady są białe, czy też przedeptane aż do czarna. Jeżeli czarne — wróżba to dobrego urodzaju grekczy. Patrzą również na niebo, czy dużo gwiazd, większa ilość ma wróżyć o dobrym mnożeniu się bydła w nadchodzącym roku. Oglądają gałęzie drzew; gałęzie pokryte szronem wróżą o obfitym urodzaju owoców. O ile w dzień wigilijny jest odwilż, to wiosna będzie wczesna. Starsi ludzie w dniu tym wy-

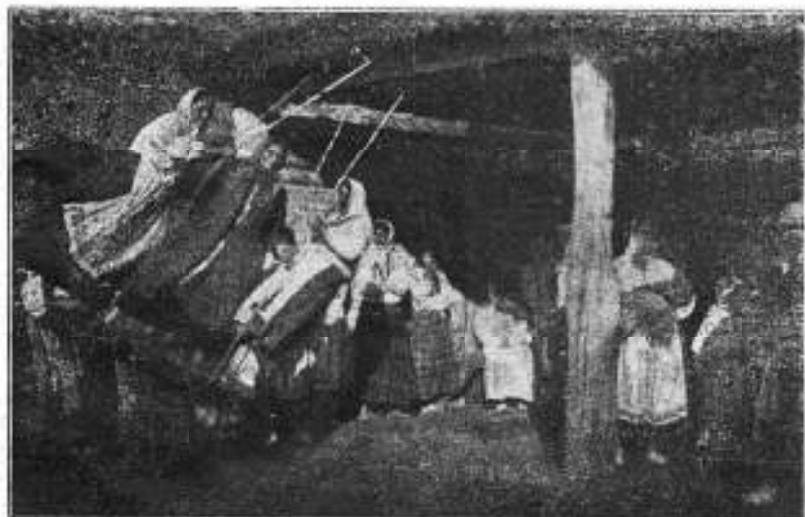


TYPY WŁOŚCIANEK.

ciągają różne wnioski i wróżby o urodzajach, o pogodzie, a dziewczęta o swatach. Dziewczęta wybiegają na podwórze i nadsluchują skąd słyhać szczerkanie psów — z tej strony przyjadą swaty. Podsluchują pod oknami sąsiadów rozmów prowadzonych, a z usłyszanych słów wróżą o swojej przyszłości. Dobrą i wesołą jest wróżba usłyszeć słowa: „Idźcie bracie, dosyć już siedzieć” — wróży to wyjście za mąż jeszcze w tym roku. Smutno i niemiło usłyszeć zdanie: „Proszę, posiedźcie jeszcze trochę” — jest to perspektywa pozostania starą panną, a jak gromem rażą zasłyszane słowa „ksiądz, świeca, deski” — pewna to śmierć i to w tym roku podsluchującej, lub też jej ukochanego. Dziewczyny, które nie mogły podsluchać żadnej rozmowy, wróżą znów w inny sposób. Po demku chwytają naręcz drzewa lub też rozpostartymi rękami obejmują plot, a potem liczą ile objęły kołków, lub ile przyniosły polan. Liczba parzysta oznacza wyjście za mąż, nieparzysta przepowiada jakieś nieszczęście. W wieczór ten związuje nogi u stołów, aby bydło nie wchodziło w szkodę, a także aby pszczoły z ulów nie uciekały. Kobiety w tym czasie związują kłębki nici i czem większy kłębek i czem ciśniej związany, stanowczo ma to wpłynąć na przyszły urodzaj kapusty. Czyj kłębek będzie ściślej związany, tej gospodyni kapusta będzie miała wielkie głowy i ściśle. Nieporządne i niedbałe związanie pozbawiają wołów siły w nogach, a młodzież w tym roku urodzona będzie miała krzywe nogi.

W tym dniu nie wolno robić pomiotła do wymiatania węgla z pieca, bo może wywołać pożar lub też piorun uderzy w dom. Siano, które leżało na stole wigilijnym i resztki niedojedzonego jedzenia oddaje się bydłu, a znalezione ziarenka skrzętnie się chowa i dodaje do wiosennych posiewów, by uchronić kłosy od gnicia.

W dzień Trzech Króli, kiedy już poświęcą krede, każdy bierze po kawałku



NA HUŚTAWCE.



WIEŚ POLESKA

kredy święconej i pisze na wszystkich drzwiach w mieszkaniu i wszystkich budynkach trzy litery: K + M + B, co oznacza Kasper, Melchior i Baltazar — Trzech królów, którzy przyszli z darami oddać pokłon i cześć Panu. Napisy te, a również pokropienie wodą święconą mieszkań i budynków, chronią od czarów i zapewniają zdrowie domownikom. Kreda święcona przechowuje się przez cały rok, a zmieszana z winem jest doskonałym środkiem przeciwko różnym dolegliwościom żołądkowym. Okres od 25 grudnia do Trzech Króli uważany jest jako świąteczny i po zachodzie słońca przerywa się wszelka praca.

Każda pora roku ma swoich protektorów, swoich królów, lub królowych; naprz. wiosna — Lale, lato — Ciocię, jesień — Zycenie, a zima — Złuziu. Po świętach Kołedy następował obchód świąt w cześć błyskawicy, letnicy, gromownicy, żony Peruna, czyli Cioci, który przypadał drugiego lutego, w dzień obecnego święta Matki Boskiej Gromnicznej. W dzień ten poświęcają się gromnice, czyli duże świece woskowe. Świeca taka powinna być w każdym domu pobożnym chrześcijańskim, gdyż świecę tą zapaloną podaje się w ręce konającego. Z gromnic wyciągają również różne wróżby; czyja gromnica prędzej zgaśnie przy opalaniu w kościele, ten człowiek prędzej umrze. Jeżeli w dzień gromniczny jest silny mróz, to będzie prędką wiosna, ale mało dobrego obiecująca; lato również nie przyniesie pożądanych plonów. Czarownice nienawidzą gromnicy i przy pierwszej sposobności, gdzie tylko mogą ją znaleźć — gryzą i szarpią na kawałki, ale zarazem i boją się gromnicy.

Gromnica pomaga w wypadkach moru bydła, podczas burzy chroni od pioronów, wogóle przypomina to kult ognia czasów pogańskich. Zatem następują saturnalia lub bachandje, zakończenie świąt Kołedy — czyli zapusty. Świąta te u pogan wyrażały się w nadmiernym jedzeniu i piciu, tak też i obecnie, niestety, zapusty wyrażają się wielką obfitością jedzenia, zabaw, maskarad, tańcach i w kuligach t. j. w odwiedzaniu się wzajemnie, w zbiorowym towarzystwie. Kulig jest to wesoły, huczny napad gości

na sąsiada, porwanie go z całym zebrem towarzystwem by dalej znówjechać, hulać, pić i tańczyć od sąsiada do sąsiada. Po dniach nadzwyczajnej wesołości, opilstwa i obżarstwa następują dni postu, pokuty, umartwienia i skrucy — to jest Wielki Post. Wielki Post niegdyś był bardzo ściśle obserwowany. Poszczono z całym oddaniem się umartwieniu, to też z niewysłowioną radością oczekiwano radosnego dnia Zmartwychwstania Pańskiego — dnia Wielkiej Nocy. Na dzień ten przygotowuje się tradycyjne święcone. Święcone nieodzownie musi zawierać takie potrawy: jajka gotowane na twardo i farbowane, kielbasę, ser i ciasto. Ma się rozumieć, ilość i jakość gatunków różnych przysmaków zależną jest od stopnia zamożności gospodarzy. Gospodynie mają niemały kłopot, wysilając się jedna przed drugą, aby wszystko było smacznie przyrządzone i ładnie ozdobione, gdy będzie to stanowiło chlubę i sławę gospodyni. Święcone to

w niewielkiej części niesie się do kościoła, u prawosławnych do cerkwi, gdzie bywa poświęcane zaraz po nabożeństwie. Przed zaczęciem spożywania święconego, przedewszystkiem wszyscy dzielą się święconem jajkiem, pokrajanem na kawałki, a potem już zabierają się z zapalem do potraw mięsnych święconego. Święta Wielkanocne trwają 4 dni. W każdej wsi, w dzień ten muszą być urządzone huśtawki, na których młodzież od samego rana do późnego wieczora używa tak milej, a ulubionej przez siebie rozrywki, mającej poważniejsze znaczenie — jako doskonały środek przeciwko komarom. Zatem zabawiają się tulaniem jajek. Parobcy zbierają się parami, śpiewają, grają na skrzypcach i białajkach, chodząc od domu do domu, gościnnie częstowani święconem. Zabawy te trwają aż do 23 kwietnia, do dnia św. Jerzego. W czasach pogańskich w tym czasie przypadało święto przebudzenia się całej natury z długiego letargicznego snu zimowego — święto radosne. Paganie łączyli święto wiosny ze świętem wspomnienia o umarłych swych praojcach i o bliskich krewnych. Chodzili na mogiły zmarłych, nosili im



WŁOŚCIANIE W OKOLICACH PIŃSKA W PODRÓŻY.

jedzenie, by zmarłe dusze miały również się czymś pokrzepić. U prawosławnych zwyczaj ten i do dziś dnia pozostał, w katolickim kościele święto zmarłych, czyli Dzień Zaduszny przeniesione zostało na 2 listopada. Tu do dziś dnia czczą pamięć zmarłych, pokrzepiając ich siły dobrą jajecznicą ze słoniną, wódką, blinami i innymi potrawami, które ustawiają w pustym miejscu na cmentarzu lub w ruinach kościoła, kapliczki, gdziekolwiek, aby tylko w bliskości cmentarza, gościnnie zapraszając na ucztę dusze zmarłych swych ojców, krewnych i przyjaciół. Są to tak zwane Dziady, z takim arcyzmem opisane w przepięknym poemacie Mickiewicza pod tytułem „Dziady”. W domu również wypominają się dusze

zmarłych. Do tego obrzędu konieczne są potrzebne bliny. Kiedy przynoszą i podają do stołu bliny, wtenczas głowa rodziny wstaje i przy ogólnym, nadzwyczaj poważnym, nastroju i ciszy, wywołuje po imieniu dusze zmarłe; po wywołaniu każdego imienia, rzuca po jednym blinie pod stół. Jedzenie pozostałe rozdaje się biednym, którzy w dniu tym masami chodzą po wsiach. Jajko u wszystkich plemion słowiańskich odgrywało wielką rolę w dzień świąt Wielkanocnych. W Krakowie na trzeci dzień świąt, cała ludność miasta idzie na kopiec Krakusa, skąd rzucają jajka chłopcom, otaczającym górę. W Czechach również lud na mogiłach pogańskich tłucze i rzuca jajka. Wogóle w starożytności jajko miało symboliczne znaczenie nie tylko słońca, ale zarazem wyobrażało świat cały. Czerwony kolor farbowanych jajek miał wyrażać jasne, ciepłe promienie wiosennego słońca.

Tuż za świętem wiosennym, dnia 22 kwietnia następowało u pogan święto bogini wiosny, zwanej u poleszuków boginią Lalą, a ogólna nazwa słowiańska była bogini wiosny—Łada. Święto to nazywano Lalnik i obchód jego zaczynał się w ten sposób: z całej wsi zbierały się dziewczęta na łąkę. wybierały z pośród siebie najładniejszą, ubierały ją w białą koszulę, ozdabiały całą zielenią, na głowę kładły jej wianek ze wszystkich wiosennych kwiatów. Tak przyozdobiona dziewczyna siadała pośrodku łąki, a w koło niej zastawiano moc różnego jedzenia: mleka, chleba, bułek, jajek, masła, sera i śmietany. Dziewczęta chwyciły się za ręce i zaczynały kręcić się dookoła siedzącej pośrodku dziewczyny, wyobra-

żającej boginię wiosny Lale, czyli Ładę. Śpiewając chórem różne pieśni, zaklinają boginię, aby zesłała dobre urodzaje. Bogini w dowód wdzięczności oddaje dziewczętom nagromadzone jedzenia, które wszystkie razem spożywają, a wianek i trawy, które ozdabiały boginię przechowują się aż do następnego Lalnika. Po święcie wiosny czczono syna jej Dażboga, czyli słońce—Jaryłę. Ślicznego młodzieńca, jadącego na białym koniu, w białym płaszczu, z wiankiem na głowie, trzymającego w rękach kłosy—to bóg zmysłowej miłości, bóg urodzajów. U chrześcijan św. Jerzy również na białym koniu, w białym płaszczu z rozkazu matki swej otwiera wrota niebieskie i zjeżdża na

ziemię, a ze pojawieniem się jego zaczyna się prawdziwa wiosna. W dzień św. Jerzego wypędzają pierwszy raz bydło na łąki, krojąc je przedtem wodą święconą. Byki zawsze były poświęcane Jaryle. Święta te ciągnęły się aż do końca kwietnia. Jak w dzień Lalnika tak i w dzień Jaryły wybierają najpiękniejszą dziewczynę, ozdabiają ją kwiatami i sadzają na białego konia. Wtedy otacza go, czyli Jaryłę, rój nie tylko dziewcząt, ale cała ludność wioski w wiankach na głowie i wszyscy idą za Jaryłą na zasiane pola z pieśniami i wesółmi okrzykami, a gdzie tylko stanęła stopa konia Jaryły, tam miał być nadzwyczajny obfity plon. Jako bóg miłości, Jaryło pobażliwym okiem spogląda i nadzwyczaj jest wyrozumiały na wszelkie wykroczenia miłosne, podczas ob-



ŻYDZI POLESCY NA MODLITWIE.

chodu jego świąt popelniane. Prawdopodobnie w pogaństwie w dzień ten mężczyźni porywali dziewczyny na przyszłe swe żony. Po św. Jerzym następują Zielone Świątki, czyli dawny Sejmik. Znowu święto zieleni, ciepła i światła. Ciocia i Lala zwalczyły wszystkie złe, nieczyste siły, które schowały się gdzieś głęboko w podziemiach, a teraz panuje jasność, ciepło i słońce. Każdy dom w dniu tym upiększa się zielenią. Nie tylko domy, ale i bydło przyczepiają zielone gałązki do rogów, lub kwiaty, ozdabiają pojazdy majówkowiczów, każdy stara się mieć jakiś kwiatek, zieloną gałązkę symboliczną dnia Zielonych Świątek. Przed czterdziestu laty jeszcze był zwyczaj na Białorusi, że na drugi dzień Zielonych Świątek zbierały się dziewczyny, wogóle młodzież obojga płci, szli do lasu by w cieniu drzew, nad brzegiem rzeki lub jeziora obchodzić święto rusalek.

Powtarzały się te same śpiewy, płasy, zdobienie się kwiatami, zakochani zamieniali się pierścionkami. Dziewczęta wiały wianki i zawieszały je na gałęziach drzew, a po tygodniu ta sama młodzież przychodziła oglądać swe wianki. Wianki niezeschnięte przepowiadały długie życie, uschnięte rzucano do wody; jeżeli wianek zaraz tonął, był to znak niechybnej śmierci w tym roku; wianek, który jeszcze pływał na powierzchni wody, wróżył bardzo krótkie życie. Rusalki w pojęciach ludu były to małe dziewczynki, zmarłe bez chrztu św., których przeznaczeniem jest stałe zamieszkiwanie rzek i jezior, chociaż czasami zdarza się, że zjawiają się i na gałęziach drzew leśnych by nęcić swym śpiewem i zapraszać do swego towarzystwa, lecz przeważnie zwodnice te królują w przestworzach wodnych, wysuwają się z wodnych swych przestrzeni, szczególnie przed wschodem lub zachodem słońcem, by wabić w swe ponętne objęcia przechodniów, lecz błąda śmiałkowi, który da się skusić i uwieść, a poddać rozkoszom ich pieśczętom — schwycą w swe objęcia, uwiodą na dno niedostępnych otchłani, a tam zaleczą na śmierć.

Doświadczeni starzy ludzie wiedzą jak należy odstraszać rusalki. Jedyny i nieomylny środek jest to pokazanie kawałka stali, a w tej chwili pierzchną bez śladu i znikną jak ta mgła nadwodna. Rusalki noszą miano Goplanek w Wielkopolsce od jeziora Gopło, w Młńszczyźnie — Switezianek od jeziora Swież. Przepiękne to jezioro, nad którym całymi godzinami przesiadywał wieszcz Mickiewicz, i tu na łonie natury, w niezamąconej ciszy, patrząc na te wiekowe dęby, na te iwy płaczące, zwieszające się konarami swych gałęzi nad tonią jego wód, odzwierciadlające się w niej jak w tafli lustrzanej, szukał natchnienia i tu stworzył swą przepiękną „Switeziankę”.

Z główniejszych pogańskich świąt, których tradycja do dziś dnia nie zaginęła — jest święto Kupały, przypadające w wigilię św. Jana Chrzciciela, 24. czerwca, obchodzone mniej więcej w ten sam sposób, jak i wszystkie pogańskie święta. Z wieczora dnia 23-go cała wieś zbiera się razem i wszyscy wspólnie idą nad rzekę, jezioro, lub ostatecznie nad strumyk; wybierają sobie odpowiednie miejsce, wbijają w ziemię

wysoką żerdź, do której przywiązują sноп słomy, pod którą układają chróst, słomę, drzewo i zapalają wspalone ognisko. Młodzież pełna uciechy skacze przez ognisko, to znów bierze się za ręce, kręci się po trzy razy dookoła ognia, dorzucając długie gałęzie i śpiewając „Aby len wyrósł, aby len wyrósł taki długi, jak gałąź rzucona do ognia”. Dziewczyny wiają wianki i puszczają na wodę i z wianków tych wróżą o swym przyszłym losie, o przyszłym przeznaczonym, a nieznanym, o szczęściu lub nieszczęściu. Ma się

rozumieć, że przy tej sposobności zjada się moc różnych potraw i wypija się niemniejszą ilość napojów wysokowych.

Pełną tajemnic, uroku, a zarazem nieopisaną zgrozę jest Świętojańska noc. W noc tą rozkwita kwiat paproci, kwiat samego Peruna; promień ognia Perunowego, który zabłyska raz jedyny o północy na wysmukłych liściach paproci, by się już podczas całego roku więcej nie pokazać. Kto znajdzie i zerwie kwiat paproci, jest panem wszystkich tajemnic, ukrytych skarbów, a zresztą skarby te o północy same wychodzą na powierzchnię ziemi i kto trzyma w ręku jarzący się płomyk kwiatka, może sobie je brać pełnemi garściami. Niestety — nie jest to łatwym zadaniem, gdyż kwiatka strzegą wszystkie moce piekielne. Żadne pióro nie jest w stanie opisać tej zgrozy. Jaką przeżywa śmiałek, udający się w



TYP POLKI Z PIŃSKA.

gąszcze leśne dla zdobycia upragnionego szczęścia.

Cisza — ale jakaś złowroga, od której włosy na głowie powstają. Raptem rozległ się głos pułacza, zawtórowały mu jakieś jęki, szlochy, nie to łkanie, nie to głos ludzki, to znów przeraźliwy szatański chichot, coś zadzwoniło wdali, jakby rozklekotane szkielety i znów zamarło i znów cisza. Ale coś się czai, coś czyha, aby znów wybuchnąć piekielnym chichotem. Tuż, tuż, krążą całe chorowody upiórów, to podpełzają i chwytają cię za nogi, to znowu diabła chloszczą cię swemi ogonami po twarzy, szarpią za włosy, wpijają się pazurami i w takich to okropnościach trzeba iść i zrywać upragniony kwiat, a wracać jaknajprędzej i niech Bóg broni, nie oglądając się za siebie, bo całe zabiegi obrócić się w niwecz. Nieraz zdarzyło się spotykać śmiałka, który przechwalał się, że na własne oczy widział piekielnego

potwora, olbrzymiego wzrostu z ogromną głową, mającego zamiast nosa jeden wielki róg, jarzące się oczy, bez uszu, a na ich miejsce widniały dwa puste otwory. Piersi pokryte długim włosiem, a całe ciało łuską rybią; zamiast nóg i rąk potwór ten uzbrojony był w końskie kopyta. Czarownice w noc Świętojańską również odbywają swe schadzki na Łysej Górze i starają się w rozmaity sposób napsocić w tą noc ludziom, by potem przechwalać się jedna przez drugą, jak to mleko odebrała krowie, a jak konie uwiiodły, tak że w noc tą przezorny gospodarz nigdy koni nie wypędza na łąkę, a nawet przy wrotach stajni zawiesza gromnicę, żeby wiedźmy nie miały dostępu, a nazajutrz znajduje gromnicę całą pogryzioną zębami. Noc Kupały jest pełna czarów, dziwów i niespodzianek, to też każdy młody, czy stary powinien uczcić ją należycie, aby uniknąć sprowadzenia na siebie lub swych bliskich jakiegoś strasznego nieszczęścia.

Podczas tej nocy kwiaty, drzewa, grzyby i cała roślinność schodzą ze swych miejsc, gawędzą ze sobą, składając wzajemne wizyty, a zwierzęta porozumiewają się ludzkim głosem, ale słyszeć to i widzieć może tylko ten, kto ma przy sobie kwiat paproci. Nawet rzeki mają inny jakiś srebrzysty blask swych toni. Cudną i uroczą jest ta Świętojańska Noc.

Święta wiosenne, pełne poezji, wesołości i pustoty, nie mają tego poważnego nastroju, co święta jesienne, naprz. Peruna — Gromowładcy, przypadające na dzień 20. lipca. W dzień ten prawosławni obchodzą św. Eljasza. Perun, mężczyzna wspaniałego wzrostu, czarowłosy, z dużą złotą brodą, jeździ sobie po niebie, w przepysznej płomienistej kolasie, trzymając w jednej ręce młot kamienny, w drugiej łuk napięty, a strzały jego — to błyskawice. Groźny to bóg, ale sprawiedliwy i miłujący człowieka. W ciągłej walce z bóstwami podziemnymi, które z nienawiści do ludzkości, starają się zgromadzić chmury, ażeby swą czarnością zakryły ludziom ożywcze słońce. Nie dać im światła, odebrać im wodę, ale nic z tego — Perun jednym uderzeniem młota rozbija chmury i na ziemię spada ożywczy napój, napój życia — woda. Zastępy szatańskie, widząc, że Perun miłuje człowieka, chcą się ukryć w jego domostwie, by przyczaić się, przeczekać, a potem jeszcze z większą siłą i mocą iść w zapasy z bogiem — gromowładcą. Perun nie szczędzi wtedy nawet i domostwa człowieka, razi go piorunem, a gdy nawet padnie w tej walce ofiarą i sam człowiek, to go w pozagrobowym życiu czeka wielkie szczęście. To też do dziś dnia na Polesiu niechętnie gaszą pożar, powstały

od pioruna, a nawet nie odważają się ratować człowieka, porażonego piorunem.

Słyszysz się nieraz takie przekleństwa „ażeby cię piorun trzasł” „a cóż tam do pioruna”. Duchy piorunowe z szybkością błyskawicy, na rącznych koniach objeżdżają pola i łąki, by walczyć z wrogiem i siłami Czarnoboga, który ze swej strony wypuszcza całe zastępy swych podwładnych sług, w postaci ptactwa drapieżnego. Podczas burzy u ludu panuje nadzwyczaj poważny nastrój i trwoga przed piorunami, to też przy błyskawicy każdy pobożnie się żegna, modlą się zapalają gromnice i wystrzegają się spać podczas burzy.

Zakończeniem szeregu świąt jest święto Żyńca. Staruszek to niewielkiego wzrostu, o szczupłej, ściągłej twarzy i długich włosach, coś w rodzaju łagodnego elfa, a jednak o srogim wyrazie twarzy, zamiast dwóch, posiadający troje ocz, by lepiej widzieć i obserwować, gdyż zadaniem jego jest śledzić jak też to pracownicy kmiotkowie uprzątnęli swe pola, czy żyto czy-
sto zebrane, czy też może dużo kłosów porzucanych pozostało na polu. Gdy zobaczy pole byle jak uprzątnięte, wnet sam zabiera się do pracy, wiązuje z pozostałych kłosów snopy, przenosi je na pole gospodarza pracowitego, ale nie dość na tem — na przyszły rok gospodarz niedbały będzie jeszcze srodzej ukarany, gdyż niwa jego nie przyniesie mu żadnego plonu. Żyńiec czasami przybiera postać żebraka, staje na drodze z dużą sakwą i grozi palcem przechodzącemu. Znak to



ZIMOWĄ PORĄ W LESIE PRZY OGNIU.

że będzie nieurodzaj i głód.

Końca nie byłoby w wyliczeniu wszystkich bóstw, zabobonów, gusiel i podań o diabłach, demonach czarownicach, wiedźmach, o tych duszyczkach potępionych, o upiorach straszących po lasach, rusałkach, najadach. A czy znajdzie się człowiek, któryby nie widział w życiu swym jakiegoś widma lub którego by zło nie wodziło, że drogi do domu znaleźć nie mógł. A te przeróżne bajki o zaklętych królewnach, wróżkach, wynagradzających cnotę, a karzących występki; to o babie Jadze w swej rezydencji na koziej nóżce, a o wszechwładnych i potężnych czarnoksiężnikach. Tomy można by było pisać o tych legendach i podaniach, pełnych rzewnej poezji, które lud do dziś dnia przechował tak jasno odzwierciedlające ich pojęcia, często nadzwyczaj naiwne, a nieraz zawierające głębszą myśl.

Do uzupełnienia charakterystyki tutejszego ludu mogą służyć niżej przytoczone pieśni Polesia.

Inżynier Nelard.

RYSY ODREBNOCI POLESIA.

Polesie od wieku trzynastego wchodzi w granice lub zakres wpływów Wielkiego Księstwa Litewskiego. Granice Litwy przed unją i po unii z Polską ulegały poważnym wahaniom głównie ze stron: wschodniej i południowej. Ziemie, które zostały ujęte pod zaborem rosyjskim, w ramy sześciu guberni: Kowieńskiej, Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej i Mohyłowskiej, stanowiły z nieznacznie zmianami na krańcach północnych i wschodnich jej nienaruszalny ośrodek państwowy. Ziemia poleska stanowiła południową jej rubież ku Wołyniowi.

Myśl dziejowa W. X. Litewskiego, po zachwianiu się potęgi rosyjskiej, została w zarodku zwinęta przez wicherzenie separatystyczne Litwy Kowieńskiej.

Przy nieszczęsnym rozbiciu kraju na trzy, czy na cztery części nierówne, na udział Polski przypadły: tylko zachodnie skrawki Białej Rusi i zachodnia połowa Polesia.

Łączność

Polesia z Kijowem, luźna w najodleglejszych czasach historycznych, ustaje zgoła od wieku trzynastego. Drehowiczanie zamieszkujący w czasach najdawniejszych nad Prypecią, są praojcami dzisiejszych Poleszuków. Plemię to było pokrewne północnym sąsiadom Krywiczom, od których pochodzą białorusini, i południowym Drewlanom i Polanom, ale zgoła od nich odrębne. Ubóstwo kraju w czasach, gdy lasy i łąki nie posiadały wartości, jego nieprzystępność czyniły go mniej pożądaną zdobyczą dla najeźdźców, mniej pożądanym polem, dla przedsiębiorczych osadników. Dlatego lud miejscowy zachował wiele cech odrębnych, swoistych, które zanikły tam, gdzie stosunki ze światem dalszym, były żywsze i dogodniejsze. Należy wszakże zaznaczyć, że obcowanie z wojskami, które w czasie wielkiej wojny zatrzymywały się na ziemiach poleskich przez lat wiele — uczyniło pod tym względem znaczny wyłom.

Znany Koryfeusz megalomanji Ukraińskiej, prof. Michajło Hruszewskij na mapie rozsielenia narodu Ukraińskiego, zagarnia w te granice (razem z Chełmszczyzną, po Międzyrzec) większą połowę Polesia, wschodnią jego część po Prypeć, zachodnią aż na północ od Brześcia po Kamieniec Litewski i Prużanę. Są to niedorzeczne roszczenia nieposiadające uzasadnienia, ani w warunkach etnograficznych ani w rozwoju dziejowym, ani w dążnościach i nastrojach chwili obecnej.

Niemcy w czasie okupacji Polesia sprowadzali tu całe rzesze agitatorów ukraińskich wyszkolonych w niemieckich obozach koncentracyjnych. Zachody były daremne. Ludność przyjmowała wymowę importowanych młojców z lodowatą obojętnością. Obca myśl, obca mowa, barwne stroje uszyte w Berlinie, podług scenicznych wzorów z Natałki-Połtawki, nie czyniły żadnego wrażenia.

Profesor Karskij znawca Białej Rusi, zakreślając granice osiedlenia ludności białoruskiej, jest podobnie skłonny do przesady, jak Hruszewskij na korzyść Ukrainy. Na północy i wschodzie sięga on aż po krańce gub. Pskowskiej i Kijowskiej, wszakże Polesie Pińskie, Kobryńskie i Brzeskie wyklucza, zgodnie z Hruszewskim, z obszaru ziemi Białoruskiej.

To samo czyni prof. Downar-Zapolskij białorusin. W dziele swoim pod tytułem „Białoruś i Polesie” (stanowiącym jeden tom zbiorowego dzieła „Rossja” o ziemiach należących do b. Imperjum rosyjskiego) rozdziela on te dwa kraje i opisuje odrębnie.

Posiadamy tedy trzy dosyć zgodne świadectwa uczonych o odrębności Polesia od sąsiadów z północy i z południa.

Pożądlliwość prof. Michajły Hruszewskiego, który część jego wkłucha do Ukrainy jest łatwą do obalenia. Za wyjątkiem mowy Poleszuk jest raczej więcej zbliżonym do Białorusina niż do Ukraińca.

Liczbowość Poleszuków jest mniejszą, niż ich wyżej wspomnianych sąsiadów.

Nie wykazali też dotychczas dążności do samostności, która w jaskrawy sposób zarysowała się na Ukrainie, a w nieco skromniejszych zarysach powtórzyła się na Białej Rusi. Charakter, typ zewnętrzny, odzież, odróżniająca ich od białorusinów są wyraźne. Mniej żywi, mniej mówni, niż ci ostatni posiadają naturę pozornie potulną, ale twardą, skrytą, zawziętą. Do ruchów zbrojnych nie są skłonni. Tradycji Kozaczyzny nie posiadają. Fale buntu Chmielnickiego, które rozlały się od południa aż po bory i bagna Poleskie, nie wywołały tu żywszego echa, za jednym jaskrawym wyjątkiem o którym poniżej opowiemy. Wszakże pozory potulności bywają złudne. Doznana krzywda, uporczywy odpór wywołać może zachłanność, pobudzić do czynów nieodpowiedzialnych, zachwianie wszelkich pojęć i podstaw spowodowane przez zawieruchę wojenną, wytrąciło z równowagi w wielu wypadkach i odpornego na nowinki Poleszuka. Szczególnie za starą linią bojową niemiecką, gdzie wicherzenia bolszewickie przez czas dłuższy szerokie miały pole do popisu.



PORZECZE.

W roku 1919 wsie w okolicy Telechan, wsie Kraje, Waliszcze i inne przedstawiały twardy orzech do zgryzienia dla następujących wojsk polskich. Dowódcy oddziałów nie znający ludzi, wierzyli, że serce jego zdobędą przez, jak się im zdawało odpowiednio zredagowane odezwy. Załoty te nie wywołały dodatniego wrażenia, opór trwał, aż działa zagrały.

Uporczywe walki staczane wówczas przez ludność z wojskiem polskim, nie należy kłaść na karb sympatii do „matki Rosji”. Był to owoc posiewu, systematycznej, a wytrwałej pracy, dobrze wyszkolonych agitatorów bolszewickich. Wojskowi rosyjscy, którzy trwali w bagnach poleskich w ciągu lat kilku naprzeciw okopów niemieckich, odzywali się z niechęcią lub oburzeniem o obojętności miejscowego ludu wobec wielkiej ojczyzny rosyjskiej i pytania o ostatecznym wyniku wojny.

Pojęcie własności jest w Poleszuku silnie rozwinięciem. Broni jej uporczywie dla siebie. Nie jest skłonny do naruszania jej wobec bliskich sobie. Pod tym względem możemy przytoczyć przykłady (nieliczne wprawdzie) z czasów wojny, zdradzające rysy wcale szlachetne. Wobec obcych jednak, zachłanność i chęć łatwego zysku, bierze w nim częstokroć górę.

Swoboda i poufałość wśród młodzieży w stosunkach płci obojga jest dosyć znaczną, wszakże tylko do pewnych granic. Dziewczyna, która dziewictwa nie dochowa nie jest zjawiskiem powszednim. Zbyt wesoła niewiasta może się cieszyć powodzeniem wielkim, ale męża łatwo nie znajdzie, najtrudniej we wsi własnej. Zwyczaj wspólnego noclegowania na wypasach, gdzie bardzo bywa wesoło, lub wspólnych wycieczek przy spławie drzewa na tratwach, gdzie się sypia pod jednym szalasem,



MOŁODOWO.

potrzeby jego są zaspokojone mniej się do niej garnie. Pod dobrym kierunkiem—bardzo dobry robotnik, pod lichem tylko czas zabijać będzie. Rolnik zamiłowany, pola swoje uprawia starannie, hodowca mniej dobry. Skłonny do trzymania nadmiernej ilości bydła, którą mu nikła tylko korzyść przynosi.

Obfitość wód czyni go od dzieciństwa poufałym z tym żywiołem. Połów ryb lubi namiętnie, pływa jak bóbr, wioślarz doskonały. Moknąć w wodzie, ścinającej się lodem, bywa dla rybaka fraszką. Natomiast woda jako środek utrzymania czystości jest mu zdumiewająco obojętną. Łaźnie, rozpowszechnione po wsiach białoruskich, na Polesiu są rzadkością.

Wielką jest odporność jego na znoję i chłód.

Jako wymowny przykład odporności jego na mróz, należy zaznaczyć, że podobno żaden Poleszuc nie zmarł w czasie silnych mrozów jesienią 1921 r. w nieopalanym na Kresach Wschodnich wagonach P. K. P.

Przeciętny wzrost jego jako średni określić wypada, budowa jego ciała silna, włosy koloru kasztanowego, w związku z tem, nawet przy czarnych włosach oczy często bywają błękitne.

Strój ludowy latem stanowią spodnie i koszula z płótna domowego przepasana barwnym pasem i kapelusz słomkowy z szerokim brzegiem okolony czarną, a częściej czerwoną wstążką, oraz siermięga długa po kolana z polami z długiego brunatnego sukna, zwy-



KAPLICA W MOŁODOWIE.

kle też w domu utkanego. Zimą kapelusz zastępuje czarna czapka barania, która zresztą i latem bywa przeznaczona do chronienia porosłej bujnym włosem głowy od skwaru słonecznego. Lżejsze części ubrania pokrywa kozuch barani i siermięga. Nogi chronią „nohowicy” czyli spodnie z grubego sukna samodziałowego i długie buty.

Ustrój wsi, budowa chaty, rozkład budynków gospodarczych przypominają nieco wieś białoruską, a zgoła odmiennie od tego, co widzimy na Ukrainie.

Natomiast mowa bardzo się różni od języka białoruskiego. W czasie spisu ludności cesarstwa rosyjskiego w 1897 roku została zwołana do Pińska Komisja do ustalenia pewnych wytycznych, by uniknąć chaotyczności, która spis podobny wadliwym uczynić może. Obradowano nad tem jak określić język poleszuków. Po dokładnem omówieniu pytania ze strony rosyjskiej zaproponowano określić go ułożoną nazwą „małorusko-polsko-białoruski”. Osta-



KANAL OGÓŃSKIEGO.

SPŁAW BUDULCA.

tatecznie zatrzymano się na określeniu „białorusko-malorusyjski”. Nikomu z obecnych nie przyszła na myśl jedynie właściwa nazwa „Poleski”.

Przy spisie ludności w 1921 r. większość spisujących kierowała się własnym natchnieniem, jeden nazywał język miejscowym, polskim, inny białoruskim inny poleskim, znowu inny rosyjskim i t. d. Takie improwizowane określenia, mogą stworzyć obraz podobny do

weneckiej mozaiki, ale nie do prawdy. Ścisła znajomość stosunków kresowych nie należała nigdy do wysokich zalet, sfer rządzących w Warszawie. W roku 1920 wydano rozporządzenie drukowania ogłoszeń rządowych na Polesiu w językach: polskim i białoruskim niezrozumiałym dla większości Poleszuków. Mowa ich jest już więcej zbliżoną do ukraińskiej, choć różni się poważnie od tej ostatniej.

Na zakończenie, jak wzory mowy i charakteru poezji, przytaczamy kilka pieśni Poleskich.

Na tychomu Dunaju
Jasio koni polt
Mołodu Hanulku
Sobl namówyt:
Ty Hanulka pani
Da chodyz ty z nami
Ne suszy serdeńka
Czornymi browami
Matusia dumala
Szczu Hanulka spała
A Hanulka z Jasiom
Siu nocz wandrowala
Wandrowala noczku
Wandrowala druha
Od haju do haju
Do zelonocho-luhu

Prywendrowały
K tychomu Dunaju
„Dunaju Dunaju
Ja tebe ne znaju
A teper poznała
Jak prywandrowała”.

Uział Jasio Hanulku za bity borki
I kinul diwczynu
W Dunaj szyroki
„Pływy Hanulka
Od hatu do hatu
Bo tam leżał czetyre
A ty budesz piata.

DIALOG HUMORYSTYCZNY.

II.

Lasoczka
Hdy buła
U popa
Szczu robyła?
Kusok sała
Hde podiła?
Sama zjela
A czemu mnie nie dała?
A czemu mnie nie dała?

III.

Szczupak u mori
Huluje do woli
A u wdowi odin syn
Da nie dał Boh doli

Wyszou za worota
Stał jak syrota
Nech jaho nie znaje
Bo doli nie maje
Prodał maty konia
Konja woronoho
Da ożeny maty syna
Syna młodoho
„O nie budu synku
Konja prodawati
Zapysały z maleńkości tebe u soldaty”
„Niechaj matko pyszut
Ja ne bojusia.
Koń woronyj
Sam moloďy
Pojdu wysłużusia”

Maty syna oddaje
 Słozami obliwaje
 Letyt woron z czużych stron
 I toho pyta
 „Oj czy czasto
 Moho syna
 W wojsku widzisz?
 „Oj czy czasto
 Czy nie czasto
 Nie budu kazaty
 Sercu Twomu

Oddać ściśle mowę ludową literami polskimi lub rosyjskimi jest trudnem. T' należy wymawiać miękko jak n wobec ŋ. Wyrazy nocz, twój, bywają wymawiane jakąś samogłoską jakby pośrednią między ǫ i y. W wyrazach kinul i stał „l" się nie wymawia, mówi się stau, kinuu połykając drugie u.

Czystość mowy zachowała się głównie u kobiet. W mowie mężczyzn, którzy służyli w wojsku lub często mieszkali w miastach i urzędem dają się zauważyć moc naleciałości rosyjskich.

Swiatyj Andreju
 Swiatyj Boboli
 Uczynili nam radu
 W swoim winohradu.
 Jechały kozaki
 Welykie swywojniki
 Najstarszy kozak
 Kozackij ataman
 Zabywały w palcy
 Smolany stycy
 Wytiaichły języka
 Skroś po tyłonku
 Toj czas wzlałe mene.
 Na mohyłońku
 Zasnuł ja smaczno

Werneńkomu
 Żalu zadawaty
 Twój synoczek
 W stepu spoczywaje
 Na nim sydyt
 Jasny sokół
 Hołowku styskaje
 Woron pryletuje
 Smerti dohladuje
 Bile tiło obdiraje
 Kosti pokidaje.

Mimo rusyfikatorską działalność szkoły za czasów rosyjskich, w pieśniach i po domach utrzymały się tradycje z dawnych czasów Rzeczypospolitej. Jako osobliwy przykład tego należy wymienić pieśń o błogosł. Boboli umęczonym przez kozaków pod Janowem (pow. Kobryńskiego) w r. 1648. Pieśń ta przechowywała się nawet wśród ludności prawosławnej.

Usim ludziom wybaczo
 Spał ja sam jeden
 Sto lit i siedem
 Chatońku budujcie
 Mene wystawujcie
 Sakrament dawajcie
 Mene weliczajcie
 Ń ja was budu
 Zausze ratowaty
 U szczastju neszczastju
 Rodu dawaty
 U welykom chrasunku
 Zausze doznajesz
 Moho ratunku.

R. Skirmunt.



R. SKIRMUNT.

Dział VI. Zarys historyczny, zmiany polityczne.

Wpływ kultury Polskiej, unja Brzeska, rozbiory.

Nadzwyczaj trudnem jest uchwycić historyczny zarys prawnikowej przeszłości Polesia i ująć go w pewne ramki chronologiczne. Wiemy, że przesuwały się tu stopniowo różne plemiona słowiańskie, dążące z południa ku północy i wschodowi, część których pozostawała w danej miejscowości, asymilowała się z plemionami, które już zastała osiadłymi; następni najeźdźcy znów pozostawiali garść swoich współrodaków i tak stopniowo, pomału zgromadziła się większa ilość ludności; formowały się osady, które wybierały sobie władcę, by rządził nimi, bronił od najeźdźców i prowadził ład między nimi. — Czasami sprytniejsi o umyśle więcej rozwiniętym ponad tłum, a silniej i nieugiętej woli, sami umieli ująć ster władzy w swoje ręce i zakładali swe udzielne Księstwa. Księstwo takie zależnie od warunków i zdolności swego władcy, rozkwitało rosło w bogactwo i dobrobyt, wzbudzając zazdrość i zawiść sąsiednich książąt. Czasami naodwrot przez niedołęstwo i nieudolność swych panów, biedniało, malało i stawało się łupem silniejszego. Krew lała się strumieniami, w ciągłych walkach i zataргach padały miasta, z takim mozołem wybudowane, padały wsie i osady. Lud trzymał się swego pana, dopóki widział go moźnym i silnym i dopóki mógł mu imponować swą bezwzględną siłą. Z chwilą zachwiania się jego potęgi bez najmniejszego żalu przechodził pod panowanie silniejszego. Herodot wspomina, że nad morzem, do którego wpadały cztery wielkie rzeki: Oar — obecny Horyń, Siurgis — obecny Styr, Lik — Stucz, zamieszkiwało plemię Budynów lub Wudynów. Nestor zaś w swoich latopisach podaje, że w 983 roku Włodzimierz Wielki wojował z plemieniem Jadźwingów lub Jatiągów, które zamieszkiwało między Niemnem i Narwią i rozciągało się aż do okolic Nowogródka i Brześcia.

Ostatecznie w X wieku na terenach Polesia ustalały się następujące księstwa: Mińskie, Turowskie, Druckie, Słuckie, Nowogrodzkie, Nieświeskie, Pińskie, Swisłockie i inne. Stopniowo silniej zaczynają się zarysowywać dwa potężniejsze księstwa: na północo-zachodzie księstwo Połockie i na południo-zachodzie księstwo Kijowskie. Dwóch rywali starających się zjednoczyć i ująć pod swą władzę drobniejsze okoliczne księstwa. Od 1003 roku do 1068 r. panują nieustanne walki między temi księstwami. Szala zwycięstwa przechyla się to na jedną, to na drugą stronę. To góruje książę kijowski — Iziaslław, to znów książę połocki — Wsiesław. Wsiesław stopniowo jednoczy pod swą władzę księ-

stwa: Mińskie, Witebskie, Orszańskie, Druckie, Słuckie i inne. Lecz następcy jego mniej szczęśliwie prowadzili wojny. Książę Wsiesław zwyciężył nawet księcia kijowskiego i zasiadł na tronie kijowskim, lecz nie na długo, gdyż król polski Bolesław Chrobry pomógł księciu Kijowskiemu Iziaslawowi, pobił Wsiesława w bitwie pod Bugiem, w okolicach Brześcia, i powrócił Iziaslawowi tron kijowski. Książę Kijowski wzmocnił się, podjął znów szereg walk. Gorzały miasta, wsie, pustoszało wszystko naokoło, nieszczęsna ludność pozbawiona mienia szła w jarzmo niewoli, sprzedawano na targach. Walki te trwały bezustannie aż do 1132 roku.

Na tronie połockim zasiedli książęta litewscy. Pierwszym z nich był Mingajło, którego sami połoczanie wybrali w 1190 roku, zatem panowali jego synowie, jeden z których, Borys, żonaty był z córką księcia pomorskiego Bolesława — Świętochną, katoliczką, wyróżniającą się nadzwyczajną pobożnością. W końcu księstwo połockie zupełnie upada i około 1238 roku władza przechodzi do księcia Nowogrodzkiego Mendoga, który jednoczy ziemię Smoleńską, Turowską, Pińską, Drucką, Połocką, Witebską i t. d. I sam już naznacza książąt panujących w podbitych ziemiach. Ostatnim księciem Witebskim był Jarosław Wasilkowicz, z którego córką Marią ożenił się książę Olgierd w 1318 roku, a po śmierci Jarosława w 1320 r. Olgierd oddzielił Witebsk, a zatem już były przyłączone księstwa Turowskie i Pińskie. Namieśnikiem księstw Turowskiego i Pińskiego Giedymin naznaczył swego syna Narimunda, namiestnikiem zaś Mińska i Iziaslawa został naznaczony książę Wasyl. Ostatecznie jako centrum władzy rządzącej i stolicą księstwa litewskiego staje się Nowogródek, a z czasem stolica przenosi się do Wilna.

Książęta, umierając, dzielili swe ziemie między swymi synami, drobiąc w ten sposób państwo i wywołując waśnie i wojny domowe między niezadowolonymi z podziału braćmi i znów następował szereg walk, niszczących dobrobyt ludności. W 1377 roku książę Olgierd, umierając, rozdał swym synom jako namiestnictwa księstwa swe, ale książę Jagiello ujął w swe ręce władzę i zawładnął tronem książęcym, co naturalnie musiało wywołać oburzenie braci, a również i szereg walk, nawet z udziałem krzyżaków, którzy wszelkimi siłami starali się zwiększać swe wpływy i pobudzać waśnie. Jagiello walczył ze stryjcem swym Kiejstutem, zatem z synem jego Witoldem, przelewa się dosyć



A. SKIRMUNT.



CERKIEW PRAWOSŁAWNA.

krwi, aż nareszcie godzą się dwaj książęta i w roku 1386 jadą do Krakowa z licznym poczem panów, aby przyjąć chrzest i wiarę katolicką.

Nareszcie nastal spokój, ład i porządek, zaczynają rozkwitać miasta i życie mniej więcej wchodzi w tory normalne. W tymże roku nastąpiła koronacja W. Księcia Jagiełły na króla Polski, zostało zawarte małżeństwo z Królową polską Jadwigą oraz podpisana unia Krewska, na mocy której Litwa i Ruś zespoliły się z Polską w federację, a elekcja Jagiełły była z prawem dziedziczności tronu. W ten sposób Jagiełło był założycielem dynastii jagiellońskiej. Podczas panowania Kazimierza Jagiellończyka rozwój życia ziemskiego więcej się jeszcze rozwija dzięki nadanym szlachcie przywilejom w 1457 roku, zwalniającym ją od danin i ciężarów (dziakła i srebrszczyzny) przez co król zrównał ją pod względem podatkowym ze szlachtą polską. W 1492 roku wydaje ustawodawstwo, tak zwane nieszawskie, przeważnie zwrócone przeciw możnowładcom. Niewolno było karać bez dochodzenia sądowego, sędziowie mianowani byli z wyboru. Ziemianstwo przedstawiało z każdego powiatu czterech kandydatów, król



WYRÓB POSTOŁÓW

zaś mianował jednego z nich sędzią. Dzięki ustawodawstwu, ziemianstwo uzyskało wpływ na politykę, a jako organ wykonawczy jego władzy miał służyć Sejm. W miastach wprowadzano prawo magdeburskie. Handel w całej pełni zaczął rozkwitać, nie tylko z pobliskimi miastami ościennej Rosji, jak z Moskwą, Nowogrodem, ale nawet wysyłano stąd za granicę smołę i воск. Królowie Aleksander i Zygmunt I-szy wprowadzali stopniowo nowe statuty i ustawy, które stanowią podwaliny w rozwoju instytucji politycznych. W 1588 roku wydano jeden ogólny statut pod kierownictwem W. Kanclerza Leona Sapiehy, do którego weszły wszystkie poprzednie. W 1500 znikają zupełnie księstwa udzielne, oraz tytuły księstw,

wzmacnianych, których powstają województwa. I tak powstają Województwa: Połockie z głównym miastem Połockiem i innymi jak: Dżisna, Drysa, Lepel, Głębokie itd. Nowogrodzkie z miastami Nowogrodkiem, Nieświeżem, Mirem, Kleckiem, Slonimem, Sluckiem, Stołpcami i innymi. Witebskie z ziemią Orszańską, Mińskie z miastami Mińsk, Kojdanowo, Mogilno, Radoszkowice, Bobrujsk, Roha-



DOMEK KOŚCIUSZKI W MERECHOWSZCZYŹNIE.

czew, Swisłocz i inne. Mścisławskie z miastami Mścisław, Mohylów, na Dnieprze, Klimowicze i t. d. W 1558 roku Inflanty poddały się całkowicie Zygmuntowi Augustowi, który wcielił je do Litwy i powstało województwo inflanckie z miastami Dyneburgiem, Krajburgiem, Lucynem, Marienhauzem i t. d. I województwo Brzeskie, do którego wcielone były księstwa Pińskie i Turrowskie. W 1659 roku na Sejmie Lubelskim była przeprowadzona unja lubelska, wcielająca Litwę do Korony. Ziemianstwo chciało zupełnego wcielenia Litwy do Polski. Magnaci zaś litewscy, jak Radziwiłłowie, Chodkiewiczowie sprzeciwiali się unji w obawie utraty swych stanowisk w zarządzie księstwem i swych dochodów. Nareszcie unja doszła do skutku, przy następującym kompromisie: t. j. wspólnego sejmiku, z zatrzymaniem udziału władz i urzędów, czyli odrębnego rządu polskiego i litewskiego. Odtąd więc miał być wspólny król, wspólna elekcja, wspólny sejm, wojna i przymierze i wspólna moneta, tylko obok ministrów koronnych utrzymały się i ministerstwa litewskie: kanclerz i podkanclerzy, dwaj marszałkowie i podskarbi. Było to ustępstwo na rzecz możnowładców li-



KOŚCIÓŁ W OKOLICACH PORZECZA.



DOMOWA PRZĘDZALNIA.



CEMENTARZ ŻYDOWSKI.

tewskich, którym też zagwarantowano nietykalność dóbr i posiadanych majątków. Na miejsce wspólnych obrad sejmowych, wyznaczono Warszawę, która od tego czasu zaczyna nabierać znaczenia stolicy zjednoczonych krajów Korony i Litwy.

Za panowania Zygmunta Augusta Polska i Litwa prowadziły wojnę z Moskwą z różnym powodzeniem. W 1553 r. Iwan IV zdobył Połock, zaś w 1564 roku Mikołaj

Rudy Radziwiłł pobił na głowę Piotra Szujskiego pod Czasnikami, gdzie padło moc wojska moskiewskiego, książąt i bojarów, były wzięte obozy i artylerja, zatem wypędził ks. Srebrnego z Orszy, który sromotnie uciekał, niszcząc i paląc wszystko po drodze, zabierając spokojną ludność do niewoli. Po śmierci bezdzietnego Zygmunta Augusta w 1572 roku, nastaje bezkrólewie, zatem elekcja Henryka Walezego, ucieczka tegoż z Polski i znów bezkrólewie. Następnie wstępuje na tron Polski w 1575 roku miesiącu grudniu Stefan Batory, panowanie Jego było mądre, energiczne, uwieńczone szeregiem zwycięstw nad Moskwą. W 1580 roku Stefan Batory zakłada pierwsze kolegium jezuickie w Połocku. Takie same kolegium założone zostało przez ks. Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła w Nieświeżu w 1585 roku w Orszy i Dynaburgu w 1600 r.

a w 1616 r. w Mścisławiu przez Piotra Paca. W 1635 r. przez księcia Stanisława Albrechta Radziwiłła w Pińsku, a w następnych latach w Witebsku przez Gąsiewskiego i w Mińsku w 1657 roku przez biskupa ks. Hieronima Sanguszkę. W Słucku przez Stanisława Leszczyńskiego w 1696 r. Wszystkie te kolegia miały mniej więcej jeden i ten sam system wykładowy z kursem pięcioklasowym z klasami: infima, gramatyka, syntaktyka, poetyka i retoryka. W trzech niższych klasach głównych przedmiotem wykładowym była łacina i grecki. Był to system szkół świeckich, gdyż szkoły duchowne, przygotowujące przyszłych duchownych, miały kurs siedmioletni, t. j. trzy lata filozofii, a cztery lata były specjalnie poświęcone teologii. W wiekach siedemnastym i osiemnastym przy kolegiach jak również przy jezuickich rezydencjach były zakładane szkoły, jak w Bobrujsku, Mołohowie, Słonimie, Borysowie, Jurewiczach i wielu innych miejscowościach. Można powiedzieć, że w XVII wieku, a szczególnie w II-jej połowie prawie wszystkie wyższe i średnie szkoły znajdowały się w rękach jezuitów, chociaż oprócz jezuitów zakładali swe szkoły i gimnazja sześcioklasowe i inne zakony. Szkoły te przetrwały aż do 1831 roku. Karmelici mieli swą szkołę w Głębokiem, Piłajrzy w Lubieszowie, które to kolegium można wskazać jako wzór i ideał dzisiejszej szkoły, zaczerpnięty z najnowszej pedagogiki angielskiej. Kolegium to zbudowane było na wsi, posiadające konwikt dla biednej młodzieży, swoją własną stolarnię, tokarnię, kuźnię, młyn, deptak, łaźnię, browar piwny i t. d. Gabinet fizyczny ze zbiorami narzędzi do fizyki i chemii, wspaniałą bibliotekę szkolną. Przed klasztorem rozpościerał się ogród botaniczny z oranżerią większą i mniejszą cieplarnią. Nieopodal od klasztoru nad rzeką Stochodem rozciągał się ogród owocowy, poprzecinany zarybionymi kanałami, przedzielony żelaznymi kratami od rzeki. Jeden kanał wychodził bezpośrednio na rzekę, od której oddzielał się bramą kratową i stanowił przystań, w której były utrzymywane czółna dla młodzieży. Uczniowie klas starszych z nauczycielem geometrii musieli robić pomiary okolicy, rysować plany i wszystko to na świeżym powietrzu, na łonie natury. Dziś o takich szkołach z takim urządzeniem i pieczą, jaką była otaczana młodzież szkolna, nawet pojęcia nie mamy, a szkołę Lubieszowską, szkołę, zapadłego kąta pińskiego, moglibyśmy postawić sobie jako wzór i ideał.

Ludność Polesia w I-jej połowie wieku XVI była

mieszana nie tylko pod względem etnograficznym, ale i wyznaniowym, część jej przyjęła chrzest i obrządek katolicki, część zaś obrządek wschodni. W XVII wieku zaczęło się szerzyć sekciarstwo, przeważnie kalwinizm i arjanizm i to wśród szlachty ruskiej wyznania wschodniego. W celu pozyskania rusinów dla katolicyzmu powstało hasło unii, czyli jedności kościoła t. j. połączenia się dwóch obrządków w jednym kościele katolickim rzucone przez księży jezuitów ks. Skargę i ks. Herbsta. Na synodzie w Brześciu Litewskim w 1595 roku nastąpiła unia 2-ech kościołów. Naprzeciw unii pozostała prawowita wiara „błahocześnie”, która znów skupia się i organizuje od roku 1620 w odrodzonej metropolii kijowskiej. Rząd Polski kwestią narodowościową zupełnie się nie zajmował. Było to pozostawione naturalnemu biegowi rzeczy, stosownie do tego, co wypadnie z pracy kulturalnej, z jej rozwoju lub też zaniedbania. Wówczas szkół rządowych, ani państwowych

przepisów językowych nie było, a językiem wykładowym w szkołach był język łaciński, tak, że społeczeństwo miało zupełnie wybór wyznania i narodowości. Kto chciał, mógł zakładać szkoły jakie tylko mu się podobały, nie było tu żadnej oficjalnej propagandy katolickiej i żadnego przymusu. Druga połowa XVII wieku, to okres ciężkich klęsk dla Rusi: wojny kozackie, najazdy moskiewskie pustoszą wsie i niszczą kraj. Kraj ubożeje, a



BIAŁOWIEŻ.

JELENIE.

po tylu wichurach i przejściach stopniowo zaczyna chylić się i kłonić do upadku. Dopomaga mu w tym, w całej swej potęgze zawiść ludzka, prywatna, możnowładztwo i warcholstwo. Pierwszym krokiem do utraty samodzielności Państwa Polskiego było wezwanie pomocy z Moskwy przez Augusta II. W roku 1717 dnia 30-go stycznia odbył się Sejm t. zw. niemy i głuchy i został podpisany traktat warszawski, co było już faktycznym końcem naszej niepodległości. Panowanie Stanisława Leszczyńskiego i Augusta II zbawić kraj już nie mogło. Ostatni król polski Stanisław August wstępuje na tron w 1764 r. i po szeregu wysiłków, walk i upokorzeń podpisuje pierwszy podział Polski dnia 25 lipca 1775 r. Na zasadzie traktatu rozbiorowego Województwa Połockie, Witebskie, Mścisławskie i Inflanckie odchodzą do Rosji. Drugi podział Polski następuje 27 marca 1793 r. podług którego Rosja otrzymuje Województwa: Mińskie, Nowogródzkie i część Województwa Brzeskiego. Ostatecznie o losach reszty kraju miał zdecydować ostatni Sejm

Rzeczypospolitej, zwołany w Grodnie na czerwiec 1793 r., najpierw zjazd rozpoczął się w Brześciu Litewskim, a potem przeniósł się do Grodna i przeciągnął się aż do 23 września i wtedy to właściwie został podpisany traktat podległości Rzeczypospolitej w stosunku do Rosji. Po fakcie tym zawrzało w całym kraju, utajona niechęć względem najeźdźców miała wkrótce wybuchnąć w całej pełni, zaczęły tworzyć się patriotyczne związki, mające na celu przygotowanie Insurekcji. W 1794 r. dnia 24 marca na rynku Krakowskim Tadeusz Kościuszko ogłosił się Naczelnikiem wojska Polskiego i złożył przysięgę, że władzy swojej użyje dla odzyskania niepodległości i ugruntowania wolności powszechnej. Powstał szereg walk, szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Zwycięstwo pod Dubienką, Racławicami, porażka pod Maciejowicami. Ostatecznie Kościuszko poniósł klęskę i dostał się do niewoli. Suworow przypuszcza szturm do Pragi, którą zdobywa, a mieszkańców

przedmieścia, niszcząc nawet starców, kobiet i dzieci, wycina w pień, wyrzyna również i jeńców. 20.000 trupów zasała ulice Pragi. Cmentarz taki wołał o pomstę do Boga. Warszawa kapitulowała 5 listopada. Tak dokonał się trzeci i ostatni rozbiór Polski. Wymazywał on w całości Rzplitą z liczby mocarstw europejskich. Stanisław August wyjechał do Grodna, a po śmierci Katarzyny II do Petersburga i zakończył swe

życie nad Nową w 1798 r. Najobszerniejszy zabór rosyjski był podzielony na gubernje, już po pierwszym rozbiórce, Katarzyna zastosowała system rusyfikacji i nawracania na prawosławie unitów. Nawracano chłopów i szlachtę białoruską siłą i przymusem, prześladowano i wprost tepiono. Ludność kraju zabranego podciągnięto pod prawa i ciężary obowiązujące w Państwie rosyjskiem, a szlachtę pod prawa i przywileje stanu dworjańskiego. Były to rządy okrutne, despotyczne i wszechwładne. Życiilwsem dla Polaków było panowanie Pawła I, a jeszcze dalej posunął swą życzliwość Aleksander I-szy. W kraju panował upadek ducha, dusze zalewała rozpacz, a rządy najeźdźcze nabierały coraz większej siły. Zato na emigracji zaczęły kielkować plany podniesienia hasła walki poza granicami kraju. Henryk Dąbrowski tworzy legiony. Na horyzoncie zabłysła i wschodzi gwiazda Napoleona. Powstaje twór francuski — księstwo Warszawskie w roku 1807, dające nam podział administracyjny wzorowany na ustroju francuskim, wprowadza nowe prawo — kodeks cy-

wilny Napoleona. I znów przelewa się polska krew pod sztandarami francuskimi. Następuje rok 1812. Gaśnie gwiazda Napoleona, a z nią przygasają nasze nadzieje i zachwiewa się wiara w prędkie odzyskanie wolności.

Traktat wiedeński przyznał największy i najważniejszy dział Polski cesarzowi Rosji. W 1815 roku dnia 20 czerwca urzędowo ogłoszono Królestwo Polskie, dano mu herb Orła Białego, ale rozpiętego na piersiach dwugłowego rosyjskiego orła czarnego. Na pozór wszystko zostało przytłumione, zaciężło, niby zamarło. Następuje cały szereg prześladowań i tropienia ducha narodowego. W 1831 roku po rewolucji 29 listopada wybuchła kampanja polsko-rosyjska, toczy się szereg walk. Bitwa pod Stoczkiem 14 lutego skończyła się klęską Rosjan, zwycięzcą był generał Dwernicki. Pobito Rosjan pod Wawrem, pod Dębem Wielkim. Na Litwie szerzyło się powstanie pod kierownictwem Żaluckiego, w Miń-

szczyźnie Radzi-szewskiego, na Żmudzi — Jace-wicza, a w Piń-szczyźnie — Ty-tusa Pusłowskiego. Akcja powstańcza była tu dość późno podjęta, prawdopodobnie z chęci wyczekania odpowiedniej chwili, gdy do walki również staną i sąsiednie powiaty. Wskutek tego Pińszczyzna nie brała udziału w najgłośniejszych walkach i dopiero wieść o zbliżeniu się Dembińskiego, który przy odrocie swoim zaczął o Nowogródek, a do którego



INWAZJA BOLSZEWICKA.

POLOWANIE PODCZAS OFENZYWY.

przyłączył się oddział partyzancki Józefa Koszycy, ośmieliła powstańców pińskich do czynnego wystąpienia. Do oddziału Pusłowskiego, zorganizowanego w majątku ojca swego, w Plantach, ściągali powstańcy z różnych dalszych i bliższych okolic, ze Słonimskiego, z Nowogródzkiego, a nawet z Wołynia i z Wileńszczyzny; w chwili, gdy po nieudanej wyprawie litewskiej, Chłopowski i Szymanowski, przeszli już na terytorjum pruskie. Pusłowski przede wszystkim skierował się ze swym oddziałem na Łohiszyn do pow. Słonimskiego zatem do Kobryńskiego, zajął stację pocztową w Drohiczyźnie i szedł do powiatu Kowelskiego. Po drodze przyłączali się do niego i inni powstańcy, tak, że siła jego urosła do 1000 ludzi z górą. Lecz akcja trwała zaledwie parę tygodni; wojska rosyjskie zaczęły forsownie ścigać powstańców, Pusłowski zmuszony był cofać się z powrotem do pow. Pińskiego, przeprawiać się przez Pinę, gdzie znosi za sobą most i staje obozem we wsł Konczycach, lecz pod naporem przeważają-



DELEGACJA LIGI NARODÓW W BARANOWICZACH.

cej siły wojsk rosyjskich, pod dowództwem Dutowa, zmuszony jest cofać się aż do Newła, położonego nad Prypecią. Zająwszy dogodną pozycję Pusłowski postanowił czekać tam na nieprzyjaciela. Po zaciętej, krwawej walce, szyki Pusłowskiego zostały złamane. Część powstańców rozpieczęła się, część dostała się do niewoli i została przewieziona do więzienia Bobrujskiego, skąd wzięto ich w rekruty, niektórych jak np. kleryka klasztoru Kartuzów w Berezynie — Kamińskiego zwolniono, niektórych zaś wysłano w głąb Rosji, na osiedlenie. Sam Pusłowski, zawdzięczając

razem z koniowi, uszedł szczęśliwie z ośmiu towarzyszymi, najpierw na Wołyń, a stamtąd po upadku rewolucji wyemigrował zagranicę. Bitwa pod Newłem była ostatecznym ciosem powstania pińskiego. Organizowały się jeszcze drobne partje, aż pod Łunińcem, ale na wieść o porażce Newelskiej same się rozeszły, lub były rozproszone przez wojsko rosyjskie.

Powstanie kłoniło się ku upadkowi. Dnia 6-go września rozpoczął się szturm Warszawy przez rojan od strony Woli, bronionej przez gen. Sowińskiego, który poległ tutaj, wysadziwszy redutę w powietrze.

Królestwo, po zgnieceniu rewolucji 30/31 r., było oddane na łaskę i nienadanie Rosji. Zniesiono konstytucję 1815 r. skasowano wojsko polskie, zniesiono Sejm i koronację, w 1833 r. ogłoszono stan wojenny, który formalnie trwał przez cały czas w Polsce, ograniczono wolność słowa i prawo nietykalności osobistej. Posypały się kary, konfiskaty, więzienia, zamknięto uniwersytet, a jego miejsce zajęła cytadela. Zaczął się cały szereg martyrologii polskiej. Panowanie Aleksandra II-go złagodziło nieco ucisk rosyjski w Królestwie. Amnestja otworzyła dla wielu wrota więzień i cytadeli, odżyło cokolwiek życie publiczne. Chociaż Aleksander II-gi podczas pobytu swego w Warszawie w 1856 r. zaznaczył wyraźnie, iż stoi w polityce na stanowisku swego ojca i zakończył swą mowę słowami pod adresem



PREZYDENT MINISTRÓW PONIKOWSKI W PIŃSKU.



REPARTJANCI W BARANOWICZACH.

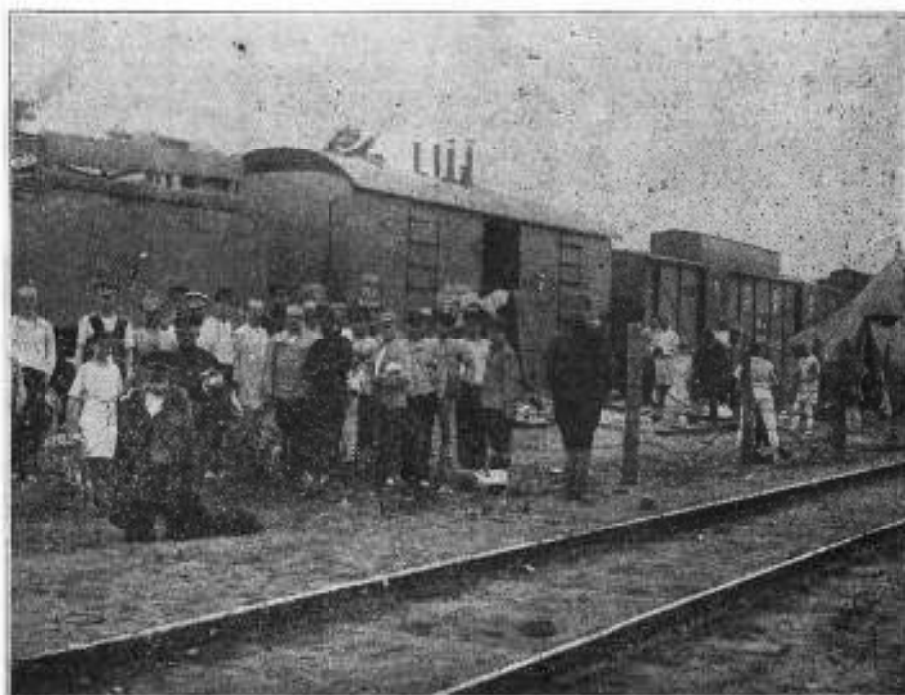
W SIERPNIU 1921 R.

palaków „Point des rêveries”, precz z marzeniami. Jeszcze raz z orężem w dłoni miał dochodzić praw swoich rozszarpany naród, jeszcze raz usiłował zrzucić z siebie hańbiące jarzmo niewoli. W 1863 r. w nocy z 22 na 23 grudnia wybuchło powstanie, zduszone ostatecznie przez moskali w 1865 r.

Powstanie 1863 roku nie pozostało również bez oddźwięku i tu na Kresach. Romuald Traugutt, ziemianin z pod Brześcia nad Bugiem, były podpułkownik wojsk Rosyjskich zostaje powołany na dowódcę powstańców powiatu Kobryńskiego, odznacza się jako jeden z lepszych partyzantów. W lasach nad rzeczką Temrą Traugutt organizuje i ćwiczy powstańców. Tuż niedaleko, na trakcie, prowadzącym z Kobrynia do Pińska pod wsią Horkami 17 maja odbyła się pierwsza potyczka z Moskalami, w której rota moskali i ćwierć sotni kozaków wycięto w pień. Zatem następuje cały szereg walk z Moskalami, prowadzonych ze zmiennym szczęściem. Ostatecznie powstanie było kompletnie stłumione.

Popowstaniowa reakcja była jeszcze gwałtowniejsza, aniżeli Mikołajewska, bezwzględna, bezlitośna i najsrożej dała się odczuć na Litwie i Białej Rusi. Rząd moskiewski nie uznawał ani Litwy, ani Białej Rusi, nie liczył się ani z religią,

ani z narodowością. Zamykano kościoły, kaplice, zakazano budowy kościołów, a nawet stawiania krzyżów. Drobna szlachta zagrodową wysiedlano całymi wsiami na Syberję, nastąpił szereg konfiskat, przymusowej sprzedaży majątków i to tylko w ręce rosyjskie. Wyszło prawo, zakazujące polakom nabywania ziemi na własność. Nałożono kontrybucję w wy-



REPARTJANCI W BARANOWICZACH.

W LIPCU 1921 R.

sokości 10 proc. dochodu rocznego od osób pochodzenia polskiego. Skasowano wszystkie instytucje oświatowe i kulturalne polskie. Zakazano używania języka polskiego w szkołach i urzędach, a zakaz rozciągnął się w końcu i na wszystkie miejsca pu-

bliczne. Nazwa Królestwa Polskiego stopniowo zostaje wyrugowana, a w papierach urzędowych zaczynają używać nazwy Prywislinja, czyli kraju Nadwisiańskiego.

Inżynier Nelard.

Dział VII. Wojna światowa, inwazja bolszewicka, czasy obecne.

Stan taki trwał do 1914 roku, to jest do chwili wybuchu światowej wojny, dnia 1 sierpnia. Wojna ta miała mieć dziejowe znaczenie dla kraju. Położyła ona kres naszej 120-letniej niewoli. W 1915 roku rosjanie mieli szerokie pole jeszcze raz przejawić swój duch niszczycielski. Uchodzące przed Niemcami wojska rosyjskie, niszczą kraj w najstraszniejszy sposób, palą miasta, osady, wsie, ewakuują przymusowo ludność, wywożąc ją w głąb Rosji, skąd wielu nie sądzono było powrócić choćby na zgłiszczą swych miejsc rodzinnych.

Polska zostaje zajęta w 1915 r. przez Niemców, którzy stopniowo posuwają się aż do Orszy i rządzą niepodzielnie krajem do roku 1918. W tym roku zostaje podpisany w Brześciu-Litewskim traktat pokojowy między Niemcami i Rosją bolszewicką, na mocy którego powstaje nowa Rzeczpospolita Ukraińska, do której zostaje przyłączone całe Polesie

z Chełmszczyzną włącznie. Była to tylko niemiecka mistyfikacja, gdyż w rzeczywistości żadnej władzy ukraińskiej na Polesiu nie było, oprócz tak słabej dekoracji, jak paru milicjantów ukraińskich, wałęsających się po ulicach, a mających zaakcentować rząd ukraiński.

Ostatecznie osłabieni do reszty Niemcy zostali wyparci z Polesia w początku 1919 roku, to jest dnia 18 lutego do Brzeskiej twierdzy wkroczyły pierwsze oddziały wojsk polskich pod dowództwem generała Listowskiego, do miasta zaś szwadron ułanów rotmistrza Dąbrowskiego. Zawrzała walka, Niemcy cofnęli się ku stacji kolejowej, skąd z pancernego swego pociągu zaczęli ostrzeliwać miasto. Jednakże nie przyczynili wielkiej szkody. Ofiar było niewiele: kilka zabitych osób ludności cywilnej, kilka ofiar żołnierza i kapitan Steckiewicz broniący dzielnie ulicy prowadzącej z pieszego wiaduktu kolejowego. W cześć



V-ty BRON KOLEJOWY W OGNIU. KPT. GŁRZEK.

jego pamięci nazwano tę ulicę imieniem Steciewiczza, postawiono skromny pomnik na miejscu, w którym poległ, obecnie zaś pomnik został przeniesiony na cmentarz miejscowy. Stopniowo Niemcy opuścili całe Polesie i na koniec Nemezis dziejowa zatryumfowała w całej pełni. Rzeczpospolita Polska zmarła, twych powstała. Zrzuciliśmy wiekowe jarzmo, narzucone przez przemożących sił trzech ościennych sąsiadów. Zawrzało od gorączkowej pracy organizacyjnej. Zaczęły powstawać budzić się do życia już polskie różnorodne instytucje, lecz nie sądzono, że tak prędko zapanuje spokój, ład i dobrobyt. Jeszcze jedna, krwawa próba naszego hartu, wytrzymałości i bohaterstwa. W lipcu 1920 roku pojawia się nowy wróg — nawała bolszewicka. Wróg ten tem straszniejszy, że to nie wojsko regularne, karne, a wprost lawina ludzka, bezmyślna, zgłodniała, oberwana, tocząca się z szaloną zawrotną szybkością, w celu tylko ograbienia, zniszczenia i zdruzgotania wszystkiego tego, co spotka na drodze. I znów powtórzyły się tragiczne chwile, pierwszej ewakuacji, tylko że już nie przymu-



PRZEMARSZ NASZYCH WOJSK PODCZAS INWAZJI BOLSZEWICKIEJ.



POŻAR WIOSKI PODCZAS OFENZYWY.



ZAJĘCIE LUNIŃCA PRZEZ NASZE WOJSKO.

sowej, a z własnej woli i w odwrotnym kierunku na zachód. Nareszcie i ta szarańcza zwycięsko została odparta po rozstrzygającej bitwie 15 sierpnia pod Radzymi-
nem. Z niemniejszą szybkością w beładzie odpływała ta fala ludzkiego mrowia. Ostatecznie zostaje podpisan traktat polsko-bolszewicki w Rydze 12 października 1920 r. mocą którego

Polesie zostaje przywrócone Rzeczypospolitej Polskiej.

Obecnie spada na nas rola podźwignięcia kraju, usunięcia tych gruzów, rumowisk i zgłiszcz, zagrożeń tych ran i blizn, pozostawionych nam w spuściznie przez czasowych, a bezwzględnych władców — niszczycieli tego, cośmy wiekami budowali i wynieśli do potęgi i świetności. Bodajbyśmy z zaparciem się siebie, z zapomnieniem o jakichkolwiek partjach politycznych, wadach i prywatnie, zjednoczeni we wspólnej pracy dążyli do jednego, jasno i wyraźnie wytkniętego celu — do odbudowy Państwa mocnego, silnego, rozwiniętego ekonomicznie, mogącego stanąć w szeregu wybitniejszych państw europejskich.

Wacława
Wiesiołowska.

ROZDZIAŁ V.

O życiu społecznym.

Dział X: Martyrologia wojenna ziemianstwa kresowego.

Głuchy, daleki grzmot dział obleganego przez Niemców Dębłina i Osowca, jak echo nadciągającej burzy budził wczesnym świtem nas rolników z okolic Brześcia nad Bugiem do pracy na roli, a często i w ciszy nocnej, spokojnej wsi poleskiej sen spędzał z powiek — w pamiętnym lecie 1915 roku.

Oddany spokojnemu, ale żmudnemu zawodowi pracowity rolnik poleski z trwogą nastawiał ucha na zachód i północ, skąd ten złowrogi grzmot dochodził i z troską o swą rodzinę i od wieków osiadły kąt rodzinny kład się do zasłużonego po znoej pracy spoczynku; z troską też wstawał do trudów swego zawodu, bo intuicyjnie przeczuwał że nadciągająca burza wojenna nie ominie i jego pól, ostępów, mszarów i błot poleskich.

Jakoż bliżej Brześcia osiadli, już wczesną wiosną pamiętnego 1915 r., poculi pierwsze tchnienie dalekiej jeszcze od nas wojny: w rejonie brzeskiej twierdzy, oddanej pod dyktando Komendanta Lajminga i jego zastępcy dla spraw cywilnych — Sokołowa, rozpoczęły się rekwizycje podwód, robotnika, inwentarza i zboża. Brzeska twierdza nie odpowiadająca warunkom nowoczesnej techniki wojennej, kosztem poważnej, na owe czasy sumy piętnastu milionów rubli przebudowywała się do gruntu. I zawrzała w niej, jak i we wszystkich kilkunastu okalających ją fortach gorączkowa i olbrzymia praca przy budowie kolosalnych betonowych blindażu, okopów i drutów kolczastych, którymi do połowy lata obetonowano, okopano i odrutowano Brześć w dziedziścioworostowym promieniu.

W połowie lata poczęto gromadzić zapasy żywności.

Brześć gotował się do oblężenia i miał być kresem zwycięskiego pochodu, posuwających się

wciąż naprzód nieprzyjacielskich armii Niemiec i Austrii.

Dla nas rolników — profanów w sztuce nowoczesnej strategii — ta olbrzymia twierdza, która pochłonięła taką moc pracy i pieniędzy, wydawała się czymś rzeczywiście niezdobytem i mocnym poparciem twierdzenia, pełnego animuszu wojennego komendanta: „niemców za Bug ni szagu nie pustim”.

Twierdzeniu temu każdy chętnie dawał wiarę, bo Niemcy za Bugiem to ruina, to zburzony spokój pracowitego żywota, to niepewne jutro, w które każdy z punktu widzenia swoich codziennych kłopotów, spoglądał z troską i niepokojem, choć śmieli optymiści już wówczas wróżyli z tej pożogi wojennej lepszą przyszłość dla nas.

Ale ktoż nie wierzył? Chyba tylko entuzjazmujący się sierpniową odezwą Naczelnego Wodza rosyjskiego, zwolennicy tej orjentacji. Ale i tych szeregi topniały w miarę posuwania się Niemców na Wschód.

5-go sierpnia 1915 roku jak grom uderzyła w nas wiadomość o kapitulacji Warszawy, potem Dębłina i wreszcie 23 sierpnia o 50 km. szerokim półkolem nieprzyjacieli obchodził tą ważną i na ówczesne pojęcia trudną do zdobycia twierdzą.

W połowie sierpnia wojska niemieckie poczęły zbliżać się do linii Bugu. Animusz wojenny pana komendanta nie opuszczał. W twierdzy zarobiło się jak w ulu od podwód ze zbożem, tysiącnych stad bydła i koni — wszystko z rekwizycji na skutek „przekazów i cyrkularów, które jak z rogu obfitości sypały się na okoliczne gospodarstwa, a z których najgroźniejszy z dnia 27 czerwca 1915 r., skierowany do zastępcy komendanta dla spraw cywilnych, dosłownie brzmiał:

„Po połączeniu Wami mojego rozporządzenia ob



TEODOR TOLLOCZEK
1-szy PREZES T-wa ROLNICZEGO.

ewakuacji nasilenia pierwa krie postnogo otdiela wysielit, pogolowno wsio nasilenje, a wsia kowo roda imuszczestwo, ostawszejesia pośle uchoda nasilenja i nierekwizirwannoje — unicztioit“.

Krótko i węziowato, a w skutkach wykonania jak straszne, przekonała nas przyszłość najbliższa.

Około 20 sierpnia pojawiły się nad Brześciem pierwsze jaskółki wojenne — aeroplany niemieckie, na które niezdobyta twierdza, jakoś słabym reagowała ogniem. Prawy brzeg Bugu zaroił się od cofającej się armii rosyjskiej. Pamiętam wkroczenie takiego pierwszego oddziału do swojego domu.

Upalne sierpniowe popołudnie. Gorączkowa i już podniecona praca wre jeszcze w polu. Naraz kilku jezdnych artylerzystów rosyjskich staje przed gankiem dworu. Upzejmie, z rozbrajającą uprzejmością proszą o pozwolenie rozlokowania parku artyleryjskiego, zapewniając nienaruszalność i całość mienia. Jako dobre przykrycie dla armat wybierają cienistą aleję parkową i po pół godzinie zaroiło się od ludzi, koni, wozów i armat, a po godzinie nie było już i śladu owców, warzyw i płotów, które trzeszczały rozbierane na ogniska.

Było to pierwsze na nasze Polesie tchnienie wojny. Tchnienie, z którego niszczącej potęgi nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy. Zaczęła się gospodarka cofającej się i niszczącej wszystko armii. Teoretyczne i zdawało się niewykonalne „przykazy” o wysiedleniu i niszczeniu zaczęto realizować z całą mongolską perfidią, przynagając ociągających się kozakami nahaikami. Boczne drogi zaroiły się od wyruszających na wschód obozów, podwód włościańskich i taborów dworskich. Szosy stały się wezbraniami rzekami od mrowia ludzkiego, podwód z pochwytanymi naprędce ruchomościami i inwentarzem żywym. Rzeki te, o wartko płynącym prądzie, wzbierały coraz bardziej i wylewały się na brzegi, a nowe ich dopływy, nie mieszcząc się w głównym korycie, rozlewały się szeroko, coraz szerzej, przydrożnymi rowami, potem polami. W te wolno płynące nurty, wpadał od czasu do czasu, jakiś cofający się pośpiesznie oddział wojskowy, spychając marudzących cywilów do rowów, na pola, które coraz dalej od szos i głównych arterii pustoszały jak po przejściu szarańczy i nie mogły wyżywić przeciągającego mrowia ludzkiego i zwierzęcego.

Pojawiły się pierwsze trupy konskie, a potem i krzyże na mogiłach pierwszych nieszczęśliwych ofiar tej drogi krzyżowej.

24 sierpnia, na parę dni przed kapitulacją Brześcia, wypadło mi z tej drogi zboczyć i wstąpić do Brześcia dla likwidacji rachunków z Intendenturą. Miasto już było z cywilnej ludności najdokładniej wysiedlone. Literalnie ani jednego cywilnego mieszkańca. Pijane żołdactwo kończyło rabunek resztek niewywiezionego mienia i towarów. Najbardziej na zachód wysunięty fort pomrukuje czasem rzadką kanonadą artyleryjską, a wewnątrz fortecy robi wrażenie mrowiska, w które rzucono kamień: kilometrowej długości magazyny pełne zboża, słoniny, soli, cukru, upręży, amunicji i wszelkiego zaopatrzenia wojennego, stoją otworem. Kto chce, bierze ile udźwignąć zdoła. O ewakuacji tych zapasów, liczących na tysiące wagonów, nikt już nie myśli. Intendentura już dawno w drodze, a twierdza maskuje obronę, aby dać możliwość wycofania się rozlokowanej w Brześciu i okolicy armii.

Pozostawanie w Brześciu w tych warunkach dłużej niemożliwe i niecelowe. Trzeba ciągnąć za wszytkimi na Wschód. Drogi już prawie puste, bo ludność wyparta poza linie przypuszczalnego terenu operacji wojennych. Zrzadka przeciąga wywiadowczy oddział kozacki, podejrzliwie badający — jednego cywila-marudera.

Po dwudniowej podróży spotykamy się ze swoimi obozami w Prużanie. Projekty zapadnięcia gdzieś w błota, lub puszcze, celem przepuszczenia nawały wojennej — upadają, bo każda najbardziej zapadła dziura pełna wojska i myszkującego kozactwa, a zresztą ogłuszający, wstrząsający zdawałoby się z posad ziemię, huk wysadzanej w powietrze twierdzy brzeskiej i fortów — rozwał ostatecznie te cywilno-strategiczne kombinacje.

Od tej chwili, od chwili tych wybuchów, zaczęła się dopiero martyrologia prawdziwa tysięcy, a potem i milionów ludzi, zadowolonych, osiadłych na ogromnej przestrzeni od prawego Brzegu Wisły i puszczy Kurpiowskiej, aż hen po wody Dźwiny, Niemna, Szczary, błot Pińskich i Stochodu.

Ani ostępy puszczy Białowieskiej, ani błota Pińskie nie dały schronienia, starającej się w te zacisza zapaść istocie ludzkiej. Nieubłagana stopa wojny wszędzie, w najdalsze ostępy, w najnieдоступniejsze bagna dotarła i zewsząd ociągających się i pragnących powrotu wyparła.

Odtąd i na całe lata musieliśmy się stać kozaczownikami po bezbrzeżnych terenach całej Rosji, dokąd rozlała się olbrzymia fala przymusowego uchodźstwa sięgająca za Ural, do Akmolnińskiej Oblasti i dalej za Bajkał.

Uprowadzone przed pożogą tabory trzeba było likwidować, bo utrzymywanie koni i ludzi wyczerpywało ostatki zasobów pieniężnych, a nadciągająca zima groźnie szczyrzyła zęby.

To też pierwszy większy etap tego nieszczęśliwego mrowia ludzkiego w Mińsku grozą przejmujący przedstawiał widok.

Tysiące ludzi ładowano do wagonów dla wysyłki, nikt nie wiedział gdzie: Może do Centralnej Rosji, może do Wschodniej, a może i dalej na Syberję, bo Rosja długa i szeroka, a miejsca w niej dosyć, aż za dużo dla tych bezbronných istot ludzkich, które jak bydło pędzono, ładowano i wywożono niewiedomo za co, po co. Wymagała tego bezwzględna, z niczem nie licząca się strategia mongolska, dla której najtańszym produktem jest człowiek. Jeżeli nawet z tego inwentarza państwowego jeden, drugi milion zginie, toć jest go dosyć, oszczędzać niema potrzeby. I gęsto też znaczyły krzyżami po drodze zasady tej strategii, nieszczęśliwe ofiary swych władców mongolskich, a w Mińsku tym czasem ładowano i ładowano pociągi, wywożąc jak mierzwę na Wschód — ludzi. Dla koni i rzeczy miejsca niema, więc kto nie zdołał za 5 — 10 rubli sprzedać swojego konia z wozem, rzucał go na los szczęścia przy stacji kolejowej i setki takich błagających się podwód, o koni bez właścicieli, włóczyło się po polach miejskich.

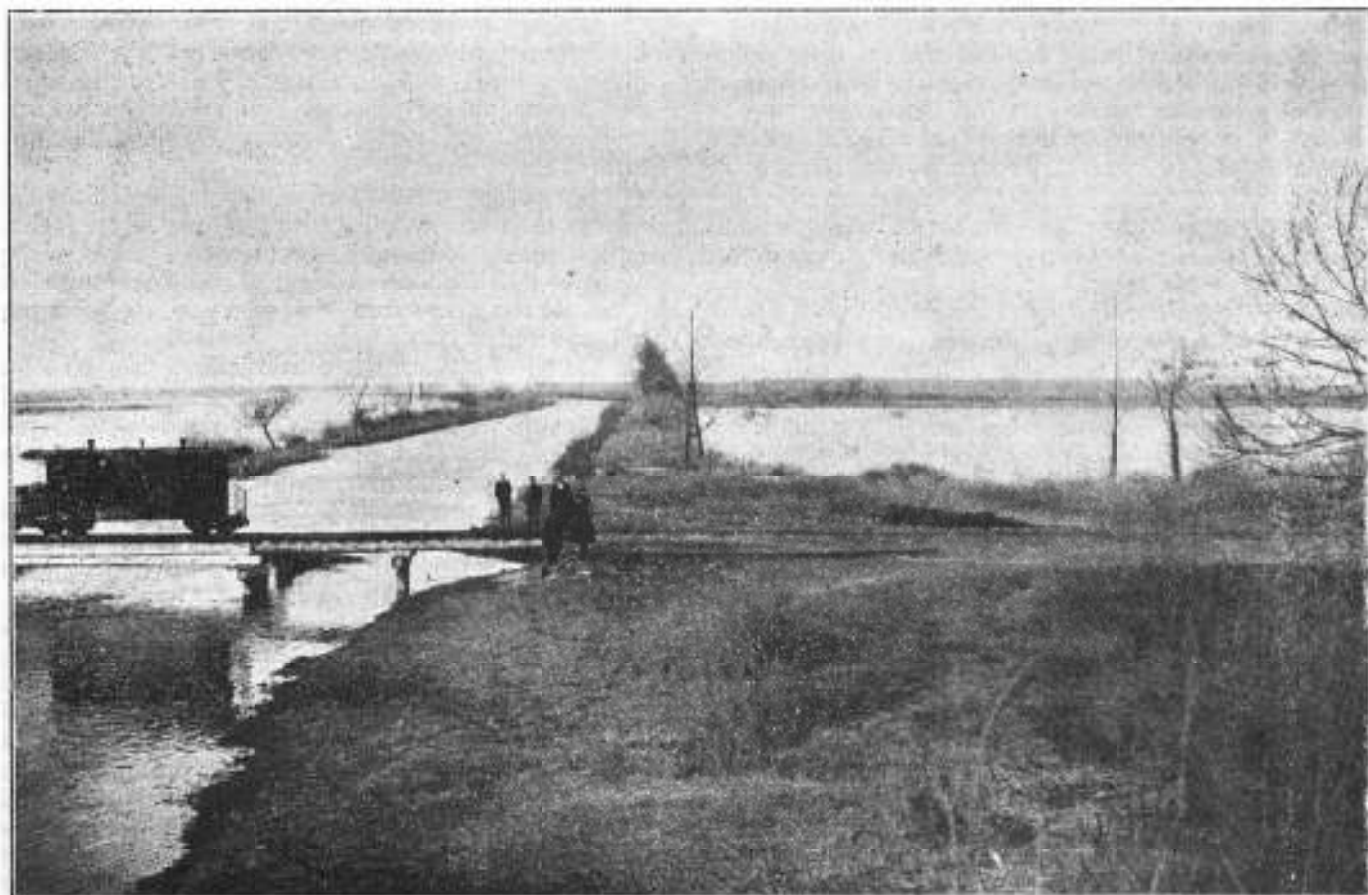
Większa własność osiedliła się w bliższych miastach, ludząc się stale nadzieją rychłego powrotu i możliwością odzyskania strat wojennych. Zabezpieczwszy jako tako rodziny, zaczęła się wędrówka po różnych urzędach wojennych, skoncentrowanych najpierw w Mińsku i Smoleńsku, a potem w Moskwie i Petersburgu. Ale tym nie spieszo było z realizacją

w kłopotliwych warunkach zaciągniętych obietnic. Cel już osiągnięto. Na lep gołosłownych obietnic i początkowo ułatwionych wypłat za straty wojenne całe masy ludności ruszono z ich osiedli, kraj spustoszone i przygotowane bezludny teren dla wygłodzenia armii nieprzyjacielskiej, która jak francuz pod Moskwą miała wyginąć od głodu i chłodu. Rachuby te zawiodły a miliony ludzi unieszczęśliwiono.

Staraniem o odszkodowania wojenne dodały bodźca wersje, oczywiście przesadne o uzyskaniu ogromnych sum przez wybrańców ludu. Zaczęły się nieskończone wędrówki pomiędzy Mińskiem, Smoleńskiem, Moskwą i Petersburgiem. Kaługą i Bóg wie gdzie porozrzucanych urzędach i urzędnikach, którzy mieli wydawać najrozmaitsze zaświadczenia, no i do-

tach pińskich i Stochodzie, jak "chińskim murem" oddzielał nas od rodzinnych siedzib. Nadzieja rychłego powrotu choćby na zgłiszczą, byleby własne, pierzcha. Trzeba było przystosować się do swych nowych warunków życia koczowniczego. Wielu urządziło się przy rozmaitych organizacjach wojennych i „sojuzach” miejskich i ziemskich zjadliwie przezwani „ziemgusarami” dla ich mocno wojowniczego umundurowania i uzbrojenia, inni trudnili się na własną rękę najprzeróżnorodniejszymi spekulacjami, a większość tułała się do końca po większych i mniejszych miastach rosyjskich, przejadając resztki własne i wreszcie kołując go różnorodnych instytucjach zapomogowych.

Ciężkie to były warunki dla ludzi, wdrożonych



KANAŁ KRÓLEWSKI OKOŁO KOŻELICZYNA.

brze przytem czuli się i bawili, a biedna ofiara tłukła się tysiące wiorst po wagonach i przejeżdżała resztki zasobów pieniężnych na te wycieczki i sute libacje.

Dopiero powstanie Komitetu Obywatelskiego w Petersburgu z hr. Czesławem Krasickim na czele i eskpozycją w Mińsku, kierowane przez nieustrudzonej energii, dziś już nieżyjącego ś. p. Juliusza Tołłoczko — cokolwiek te sprawy uporządkowało i przyczyniło się do uzyskania choć pewnych, nieznacznych zaliczek, dających możliwość egzystencji nieszczęśliwym ofiarom wojny.

Komitet ten przetrwał i skutecznie działał do czasu zupełnego bolszewickiego rozgromu Rosji i wielu od zguby ostatecznej uratował.

Z kraju nie dochodziły nas żadne wieści. Front wojenny ustalony na Dźwinie, Niemnie, Szczarze, blo-

do osiadłych warunków bytowania, nie znających poza rolnictwem innego fachu i przyzwyczajonych do pewnych warunków kultury i życiowego komfortu. Głównymi osiedliskami tych nieszczęśliwych parjasów losu stały się Moskwa, Petersburg i południowe miasta rosyjskie, z których najliczniejsza kolonia polska osiadła w Kijowie, gdzie też względnie najznośniejsze ułożyły się dla tej kolonii warunki.

Ale i to trwało niedługo. Przyszła kotłowanina bolszewicka, która jakkolwiek mało nas przymusowych emigrantów dotyczyła, jednak materialnie znowu rujnowała, boć mimo, że „bieżency” należeliśmy do zniechęconej klasy burżuów i zresztą przybyła nam konkurencja w nowych fałach towarzyszy niedoli, wyrzuconych na bruk miejski ze swych siedzib Ukrainy, Podola i Wołynia.

I to przetrwalimy, choć nie wszyscy, bo starsze

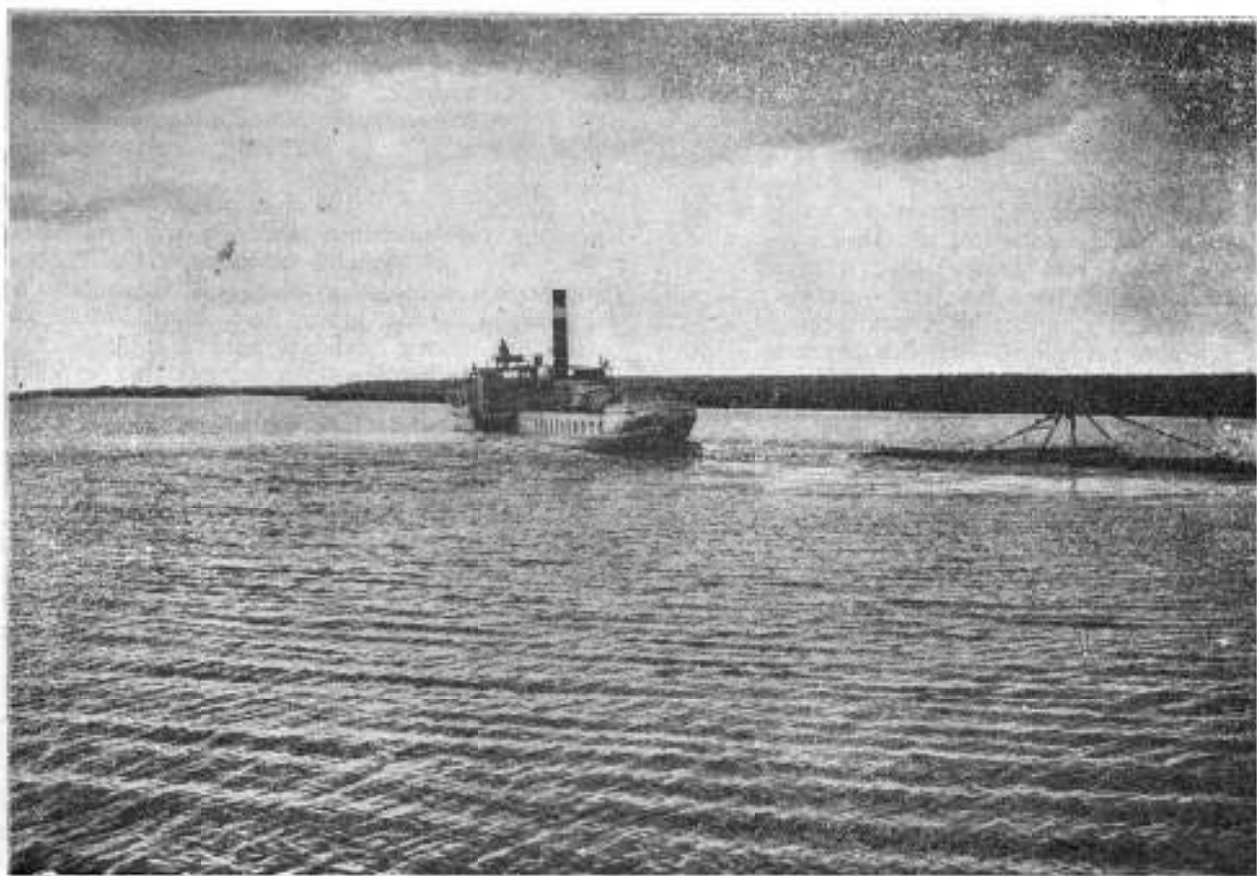
pokolenie gęsto zaludniało obce cmentarze. Przetrwaliśmy w piwnicach dziesięciodniowe bombardowanie przez bolszewików Kijowa (w lutym 1918 roku) potem trzytygodniowe w tym mieście ich bandyckie rządy, aż wreszcie doczekaliśmy się wyzwolenia z tej mongolskiej niewoli przez Niemców, których z ulgą na sercu, jak wybawców ujrzeliśmy 3 marca na ulicach Kijowa.

Wreszcie jesienią tegoż 1918 roku, zaczęliśmy ścigać na zgłiszczą rodzinne. Cały kraj od Baranowicz do Brześcia — to jedna bezludna pustynia. Miasta w gruzach, słabo zaludnione żydami, którzy pierwsi powrócili z wojskiem niemieckim, którego gospodarcze oddziały, zrzadka rozrzucone po niedo-

dobitków służby dworskiej, którzy pod nieobecność przysięgli, co się dało i nie zdradzają entuzjazmu z powodu powrotu właścicieli.

Również nie z otwartymi rękami przyjmują „rückwandererów” rozsiadli po opuszczonych dworach Niemcy, jakkolwiek godzą się z faktem dokonanym i nawet przy pewnych okolicznościach okazują drobną pomoc przy uruchomieniu gospodarstwa, ku czemu ogólnie warunki niezbyt zachęcające ani ludzi, ani inwentarza, ani narzędzi, brak ziarna do siewu i często budynków do zamieszkania, ale za to pola zarośnięte lasem i stepem.

Wielu kapitulowało przed temi przeciwnościami i albo siedzieli w nędzy czekając zmiłowania Bożego,



HOLOWNIK NA RZECIE PINIE.

palonych wsiach i dworach, z których większości nie pozostało i śladu, i chyba tylko bruk porośnięty trawą, lub samotna studnia — znaczą miejsce wsi dawnej, albo szczątki murów, lub jakiś sterczący komin po zburzonej gorzelni świadczą o istnieniu niegdyś bogatego dworu. Szczęśliwie wyjątki, bardziej oddalone od większych arterii komunikacyjnych zostały szczątki budynków. O zasiewach ani mowy, chyba na dobrych ziemiach i w wyjątkowo dogodnych warunkach — słabe usiłowania zagospodarowania przez Niemców. Z ludności autochtonicznej — na kilka kilometrów jeden niedobitek, starzec porzucony przez rodzinę przy wysiedlaniu jako uciążliwy balast w drodze, a na kilkadziesiąt dworów — jeden w wyjątkowych okolicznościach zawieruchy wojennej zamieszany właściciel, zresztą b. słabo czujący się, w przeciwieństwie do pozostałych w opuszczonych dworach nie-

albo jechali w świat szukać chleba, większość jednak, nie zrażając się i tymi warunkami, zakasywała rękawy i brała się szczerze do odbudowy i pracy.

Polityczną sytuację dzierżyła wtedy bezwzględna pięć pruska. Wszystko było „verboten”. Kraj podzielony na nowe „becyrki”, a nawet nowe państwa, których granice dzieliły nieraz pojedyncze folwarki na dwie połowy. Od Mielnika nad Bugiem biegła taka granica pomiędzy nowym państwem ukraińskim i litewskim przez Wysokie-Litewskie, Kamieniec i gdzieś dalej na Wschód.

Obok żandarmów pruskich zjawily się jakieś indywidua cudaczne, o gwarze ukraińskiej, w pojęciu Niemców, miejscowej, który jednak zdumiony mieszkaniem autochton nie rozumiał, jak również nie orjentował się, w jakim celu tymi dziwotłogami kraj zaludniano i oddawano im kościoły katolickie na cerkwie unickie.

O przedostaniu się do Warszawy, gdzie był podobno jakiś rząd Polski, jakaś Rada Regencyjna — ani mowy. W wypadkach tylko ciężkiej choroby z trudem uzyskiwało się pozwolenie na wyjazd do specjalisty lekarza. Tylko żydzi, ciesząc się pewnymi u Niemców względami cyrkulowali bez przeszkód po Kraju i robili dobre interesy, które pozwoliły im przeobrazić się w dawnych faktorów i pachciarzy, w nowych wojennych milionerów.

Ale i w tych warunkach, nie wypieszczony nigdy ubogą glebą, ziemianin poleski począł dawać sobie jakoś radę. Znalazła się wreszcie możliwość przedostania się do Brześcia, a z czasem nie całkiem legalnie i do Warszawy. Tam dopiero człowiek poczuł się między swymi i nabrał otuchy i przekonania, że jeszcze nie wszystko przepadło, że nie przyszła na nas jeszcze ostatnia godzina, ale przeciwnie — polityczne horoskopy naszego państwa rozjaśniają się, a materialne ofiary i klęski wojenne nie pójdą zupełnie na marne.

Zorientowawszy się w ten sposób w sytuacji ogólnej w Warszawie, poczęliśmy na miejscu pomalutku i konspiracyjnie organizować się i pod wielkim sekretem przed żandarmami pruskimi i milicjantem ukraińskim. A była nas garstka: kilku mieszczan, paru ziemian, rzemieślników i kolejarzy — wszyscy w najlepszej harmonii, zjednoczeni przez pełnego zapалу i wiary w lepszą przyszłość — księdza Szczerbickiego — kładliśmy podwaliny pod przyszłą społeczną i państwową pracę polską na Polesiu. Do czynniejszych członków tej organizacji należeli z Brześcia pp. Lachowski, Michałowski, Górski, Wiszniewski, Piotrowski, Poznański, Skok, Porowski, Zdański z Szumina, p. Romerowa z Wistyc, Kuczewski z Krzyczewa i niżej podpisany. Cicho jak myszy pod miotłą, zmieniając codziennie lokal, utworzyliśmy w połowie września 1918 r. z tych osób Komitet Obywatelski, który w połowie października wysłał do Rady Regencyjnej odezwę, a później do arcybiskupa Kakowskiego delegację w sprawie zwrotu zabranego przez Niemców i oddanego ukraińcom kościoła Brzeskiego, w którym już ksiądz unicki odprawiał msze unickie, pomimo zupełnej nieobecności wiernych tego wyznania. Dzięki pomocy jednak niemieckiego kapelana wojskowego udało się nam 14 listopada kościół odebrać. Na początku listopada założyliśmy pierwszą, oczywiście również tajną szkołę polską.

Tymczasem idylla niemiecko-ukraińska wyraźnie psuć się zaczynała. Dochodziły słuchy o rzeziach Niemców na Ukrainie, co potwierdzał, stale wzmagający się ruch pociągów z Ukrainy przez Brześć, Białystok i Grajewo do Vaterlandu. Pociągów tych, ładownych pszenicą i bydłem z każdym dniem przybywało, aż wreszcie pojawiły się i eszelony wojskowe. Ruch tych pociągów stawał się coraz bardziej nerwowy, a wśród wojska niemieckiego począł się uwidaczniać pawien ferment, dyscyplina słabła, ale powstały zato „soldatenrathy”, żywcem wzięte od bolszewików „Soldatskije sowiety”. Rządy twardej pięści pruskiej na Polesiu poczęły słabnąć, aż wreszcie 11 listopada 1918 roku jak grom wiosenny buchnęła wieść z Warszawy, że tam już rozbrajają okupantów.

W miarę zbliżania się tej akcji ku nam, poczęliśmy i my, choć bezsilni w morzu zalewającej nas niemczyzny, przygotowywać się do czynnego wystąpienia, licząc na pomoc poznaniaków z armii niemieckiej i włościan z za Buga, którzy mieli ogromny

apetyt na zrabowane przez Niemców zapasy zboża, bydła i narzędzi rolniczych i t. p. Akcja ta jednak szybko zlikwidowana została, gdyż powierzchownie tylko zrewoltowana armia niemiecka, rychło do dyscypliny wojennej z powrotem wdrożona została i srogo byśmy te nasze przedwczesne próby wyzwolenia odpokutowali, gdyby nie masowy już odwrót Niemców z Ukrainy, wypędzenie ich z Kongresówki i pewne, wynikające stąd zamieszanie w miejscowej administracji niemieckiej.

Atmosfera jednak coraz bardziej zgęszczała się dla Niemców, a rozjaśniała dla nas i przyglądając się tym nieprzerwanym pociągom niemieckim, wywożącym nasze dobro, postanowiliśmy prosić o pomoc Warszawę w przeszkodzeniu temu pustoszeniu Kraju.

A tam już poczęła kielkować przeciw armii Polska. Zjechał z więzienia magdeburskiego dzisiejszy Naczelnik Państwa — Piłsudski. Do niego zwróciliśmy się o pomoc.

Niezatarte wrażenie pozostawiła na nas ta pierwsza audjencja u tego skromnego, a zarazem wielkiego obywatela i patrioty.

Skromne prywatne mieszkanie przy ul. Mokotowskiej. Na schodach warta z młodych skautów i niezwykle ruch gońców wojskowych. W poczekalni parę osób z najbliższego otoczenia Naczelnika, a między innymi doktor, który nam komunikuje, że Naczelnik jest chory i tylko w sprawie szczególnej wagi może nas przyjąć. Pomimo wszystkich, po kilku minutach zostajemy wprowadzeni do skromnej sypialni, w której na łóżku leży człowiek zmierzowany, widocznie strasznie wyczerpany i jakby wielce stroskany, z głęboką zadumą na czole. Po przedstawieniu się wymieniamy cel naszego przybycia, obrazując panującą na Polesiu wówczas stosunki i możliwość przeszkodzenia Niemcom w wywożeniu bogactwa krajowego, stosunkowo nieznacznymi siłami. Naczelnik słucha nas z wielką uwagą i rzucając pytania, zdradzające zainteresowanie naszą misją i znajomością stosunków miejscowych. Po paru kwadransach udziela nam wyjaśnień, że jakkolwiek w obecnej chwili nie może być mowy o jakiejś poważniejszej akcji zbrojnej przeciwko skoncentrowanym w Brześciu znacznym siłom niemieckim, to jednak po paru dniach udzieli nam odpowiedzi, co w tej mierze przedsięwziąć będzie można.

W umówionym czasie zawiadomiono nas, że ekspedycja wojskowa wyruszy do Brześcia dnia następnego. O 10t-ej z rana tegoż dnia zastajemy na dworcu Głównym, wówczas mało jeszcze ożywionym ruchem niezwykły. Do podstawionych kilku wagonów towarowych i osobowych ładują kilkudziesięciu wojskowych z bronią, amunicją i prowiantem i wszelkimi zaopatrzeniami wojennymi. Szarży rozróżnić nie można, bo poubierani ci wojacy bardzo różnorodnie, ale widać, że wśród tej garści jest dużo inteligentnych. W drodze dopiero, a wyruszyliśmy około południa, w stronę Brześcia, wyjaśniło się, że to są przeważnie niedawni bohaterzy fortu Berga z Brześcia, oficerowie legionów, których na tę wyprawę wysłano jako znających dobrze lokalne warunki. Duch w tej kompanii podniosły, ale ciało słabe, wycieńczone więzieniem i słabo od zimna zabezpieczone wiatrem podszytymi szynelami. Na dobitkę po paru godzinach podróży, gdzieś za Miłosną nasi bohaterzy zaczynają zdradzać poważne objawy, panującej wówczas w Kraju hiszpanii, która na tych

wycieraczonych organizmach znajduje pomyślnie dla siebie podłoże i od Łukowa, dokąd dotarliśmy przed wieczorem opanowuje na dobre kilkunastu naszych towarzyszy podróży.

Stosownie do otrzymanej instrukcji, dowodzący wyprawą pułkownik porozumiewa się telegraficznie z najbliższym posterunkiem niemieckim, stacjonowanym wówczas w Międzyrzeczu (między Łukowem i Międzyrzeczem była wówczas polsko-niemiecka linia demarkacyjna). Wkrótce otrzymuje odpowiedź, że wysłano trzech przedstawicieli dla porozumienia się i po paru godzinach przyjeżdża parowozem do Łukowa dwóch niemieckich żołnierzy i jeden oficer z niemieckiego „Soldatenrathu”. Po wyjaśnieniu sprawy, komunikują, że zdecydować sami przepuszczenia naszego oddziału do Brześcia nie mogą, ale nadeszłą bezzwłocznie rezolucję w tej sprawie swojego sztabu. Po nowych paru godzinach zawiadamiają telegraficznie, że zdecydowano dalej nas nie przepuszczać, a wszelkie kroki agresywne traktować jako nieprzyjaelskie i odpowiednio na nie reagować.

Nasz pułkownik zasięga znowu instrukcji dla siebie z Warszawy, a tymczasem poważnie już chorych kilkunastu swoich podkomendnych rozlokowuje w szpitalu łukowskim, skąd po kilku dniach przenoszą dwunastu z tych bohaterów na cmentarz, gdzie złożyli swoje strudzone bojami o niepodległość Ojczyzny nasłużone kości.

Wobec nieprzewidzianej zwłoki, a z drugiej strony konieczności dotarcia do swych siedzib za Bugiem, gdzie została na łasce losu i ciąganych w odwrocie Niemców rodzina i szczątki mienia — postanawiamy samowtór z dzielną siostrą Romerową wyruszyć dalej koni. Trudności zrealizowania tego projektu, przejazdu granicy niemieckiej bez przepustek, bez własnych koni i w okolicach, gdzie huzarzy śmierci grasują stale, dokonywując egzekucji za zbrojne występowanie miejscowej ludności — zdawałoby się to niepokonalne, przewyciężamy i po dwu dniach kolowania bo bocznymi drogami, ażeby nie natknąć się gdzie na ekspedycję karną docieramy wreszcie za Bug.

Tutaj skutkiem odwrotu Niemców widoczne już w całej pełni: po dworach rabunki, w Brześciu ewakuacja gorączkowa. Wywożą co się da, a resztę palą i wysadzają w powietrze, co robi wrażenie obłąkania. Po drodze z Brześcia na Białystok pełno pieszych i konnych oddziałów, do złudzenia przypominających obrazki z odwrotu w 1812 roku francuzów z pod Moskwy: kawalerzyści na zszerszuwających od piekielnego mrozu koniach, okutani w cywilne futra, słomę i worki. Piechurzy również przypominają wyglądem bandę, a wszystko to brnie po śniegu, klnie na czem świat stoi i pyta o drogę „nach Białystok”. Z lepszym koniem, lub w cieplejszym przyodziewku, niebezpiecznie tej kompanii w drogę wlać, a mieszkanie w tych warunkach na bezludnej wsi i przytem o własnym chłodzie i głodzie staje się z rodziną niemożliwe, a że dochodzą nas wieści, że nasze wojska zajęły już w naszej okolicy linję Bugu, więc bez dłuższych namysłów zapakowujemy rodziny i mizerne szczątki ruchomości i po raz drugi opuszczamy nasze kąty rodzinne, ale tym razem w kierunku przeciwnym na zachód, za Bug do swoich do Warszawy.

Było to w styczniu 1919 roku kiedyśmy przebyli niebezpieczny Rubikon most na Bugu pod Prahlinem, często przez nalatujące samochody niemiec-

kie pancerne ostrzeliwany. — Kamień, zdawało się spadł nam z serca, kiedyśmy na szosie ujrzeli pierwszego patrolującego żołnierza polskiego, lzy radości wyciskał nam z oczu ten obraz. W Białej Podlaskiej załadowaliśmy się do polskiego już pociągu i tym dotarliśmy do Warszawy, która po piekle niemiecko-bolszewickim wydała nam się jak Eldorado.

Ale długo napawać się rozkoszą przebywania wśród swoich i wśród kulturalnych warunków bytowania nie mieliśmy prawa, bo wracać trzeba było tam, gdzie wołał obowiązek i gdzie trwać na stanowisku przykazywały nam nasze tradycje wiekowe, gdzie poła do pracy, poza własnym warsztatem rolnym jest moc bezmierna, bo zanim tą ubogą ziemię poleską krajać na dobre plugami zaczniemy, należy z powrotem po wiekowej niewoli, odrobić ją znowu na polską.

To też zabezpieczywszy znowu jako tako w Warszawie rodziny, wracamy, co odważniejsi, na swoje śmiecie i tam przygotowywaliśmy grunt dla wkroczenia Armii Polskiej.

Dnia 3 lutego 1919 roku nad ranem, od zachodniej strony wkroczyły pierwsze oddziały polskie pod dowództwem gen. Listowskiego do twierdzy Brzeskiej, a od wschodu obchodząc Brześć, szwadron ułanów rotmistrza Dąbrowskiego — do miasta.

Niemcy, wycofując się z miasta ku stacji kolejowej, na której jeszcze stały ostatnie ich pociągi z jedną pancerką, razili z niej miasto gradem pocisków, od których zginęło kilka osób z ludności cywilnej, a z wojskowych kapitan Steckiewicz, wypierający ostatni oddział niemiecki z kolejowego wiaduktu pieszego, na którym ulokowali się Niemcy z koloniatami. W miejscu bohaterskiej śmierci kapitana Steckiewicza, ustawiono pomnik, a ulicę której tak walecznie bronił nazwano jego zasłużonym imieniem.

Nad ranem 10 lutego ostatni pancerny pociąg opuścił Brześć, szercząc jeszcze po drodze do Białegostoku śmierć i zniszczenie po okolicznych wsiach i dworach.

Nie przebrzmiało jeszcze nad Brześciem echo niemieckiej kanonady, a już życie polskie, którego siła jest większą ponad wszelką moc i przemoc, poczęło się budzić z wiekowego letargu. Słaba, bo krępowana przez wrogich nam okupantów, nasza organizacja, poczęła rozwijać się i rozrastać w różnorodne instytucje. A więc najpierw, że to żołądek zawsze pierwszy upomina się o swe prawa, uruchomiona została „Pierwsza Kooperatywa Chrześcijańska”, potem „Towarzystwo Rolnicze”, a dalej szkoły, klub obywatelski i wiele innych instytucji i organizacji społecznych.

W miarę posuwania się wojsk naszych na Wschód władze w kraju zmuszony był obejmować cywilny zarząd polski i jakkolwiek szło to ciężko, mozolnie i przechodziło różne fazy, wśród których rządy prof. Kolankowskiego trochę dłużej nami administrowały, to jednak doczekaliśmy się wreszcie bardziej ustalonej formy rządu, który przez 1½ roku pod mianem Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, a kierunkiem komisarza Generalnego p. Osmałowskiego władzę administracyjno-państwową w tym kraju sprawował. Była to władza daleka od doskonałości w pojęciu np. uregulowanych stosunków Zachodu, ale w naszych warunkach powstawania z wiekowej niewoli, najzupełniej zadawalniająca, a że mniej skomplikowana i zależna jak Centralna władza Warszawska, więc i więcej sprężysta i bardziej do miejscowych

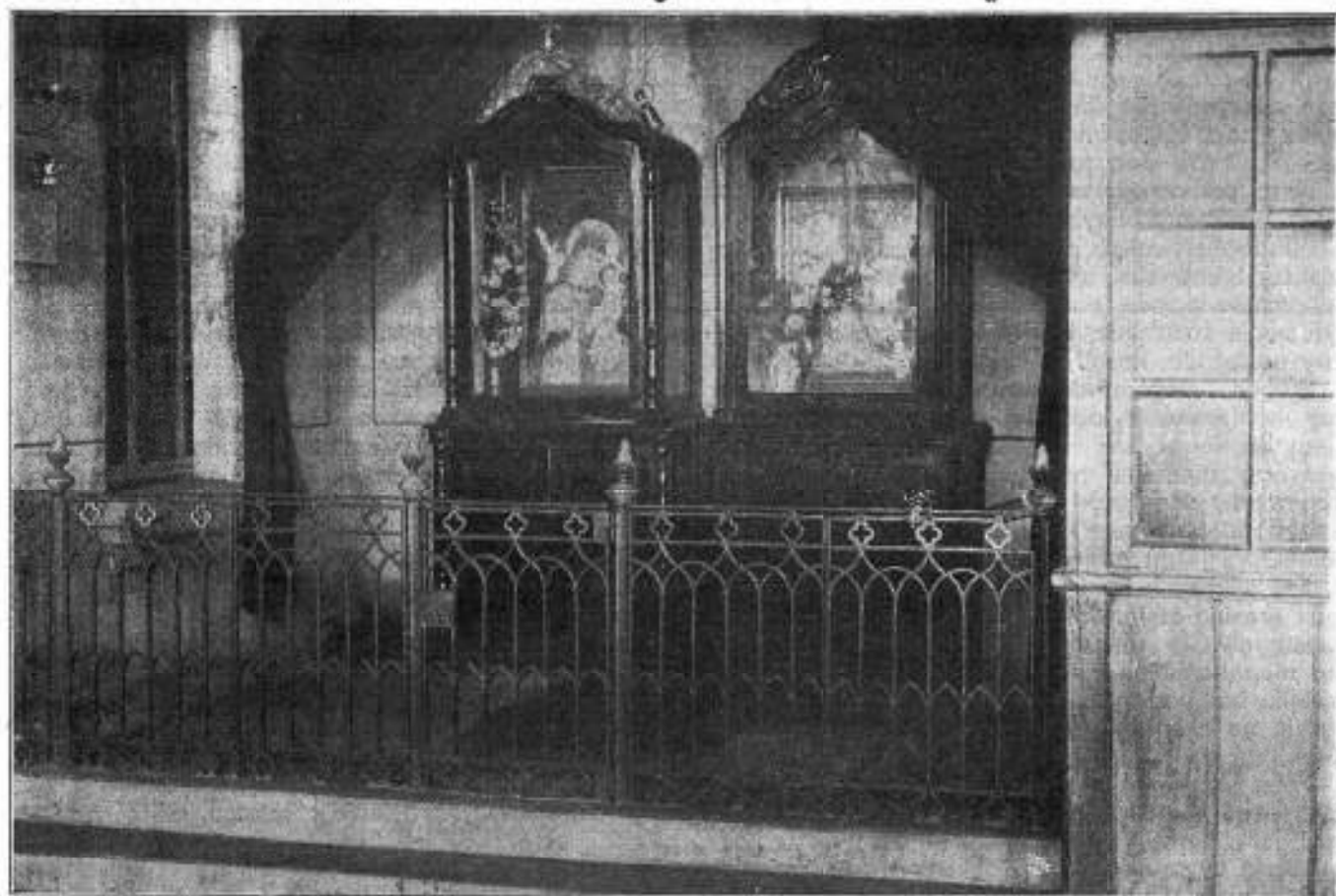
warunków przystosowana, niż ta pierwsza. Współpraca chętnych i lojalnych obywateli, znajdowała u tej władzy chętnie i skuteczne poparcie, a przynajmniej ta instytucja, która nas najbliższej jako zawodowa interesowała — Brzeskie Towarzystwo Rolnicze, dużo zawdzięcza życzliwego poparcia tak od b. Komisarza Generalnego p. Osmałowskiego, jak i wojewody Jeśmana i wreszcie Naczelnika Departamentu rolnego p. Czerwijowskiego, którzy przez tę instytucję zrujnowanemu rolnictwu kresowemu znaczną, a wydatną pomoc okazać zdołali, gdyż te syzyfowe współpracy słabego jeszcze wówczas naszego Rządu i jeszcze słabiej zorganizowanego społeczeństwa, dały możliwość zmniejszenia ilości zalegających kraj odłogów z 95%

grozą i klęską wojny, ratując już tylko życie, bo uratowaniu jakiegokolwiek dorobku z takim wysiłkiem zdobytego nie było mowy.

Musiał on zostać na pastwę pozostającej ludności — szarańczy nieprzyjacielskiej.

Znowu drogi i szosy zarośli się nieszczęsnymi uchodźcami, aż z pod Mińska i znowu zdawało się, że Bug będzie kresem tego najścia Hunnów. Oparliśmy się za Wisłą, a wielu i dalej na Pomorzu.

Okres piekła bolszewickiego żywo wszyscy mamy w pamięci, a szczególnie ci z nas, którzy zajmując odpowiedzialne stanowisko rządowe, czy też społeczne, obok ewakuacji rodzin mieli na głowie i to drugie i trudne i ważne zadanie.



KAPLICA KATOLICKA I PRAWOSŁAWNA W LUNIŃCU.

na 65—70% całej przestrzeni gruntów ornych. Jeżeli się uwzględni brak jeszcze wówczas 70—80% miejscowej ludności, brak inwentarza pociągowego i narzędzi a wreszcie nasion i środków na ich zakupienie, a przytem kolosalne, nie mające sobie równego w całej Europie zniszczenie tego kraju przez wojnę, to trzeba przyjąć do wniosku, że jednak ta polska administracja państwowa w pierwszych stadiach swego rozwoju nie była tam najgorsza i gdyby nie nowy kataklizm, który jej ewolucję przerwał, dzisiaj byłaby już znacznie ten Kraj w restytucji dawnego dobrobytu posunęła.

Ale nie sądzonem było jeszcze mieszkańcom tej nieszczęsnej krainy zaznać spokoju, bo oto w połowie lipca 1920 r. spadł nań nowy kataklizm — inwazja bolszewicka.

I znowu po raz trzeci trzeba było uchodzić przed

Jak zwykle, w trudnych warunkach najtrudniej było o zgodną i harmonijną współpracę, czy to jednostek, czy też różnych urzędów; antagonizmy pomiędzy władzą cywilną i wojskową, a także pomiędzy temi obydwoma i kolejową do tego stopnia zaostrzyły się, że właściwie nic się nie przygotowywało na wypadek już niedwuznacznych ewentualności. W kraju podniosły głowy elementy polskości wrogie, które celowo szerzyły zamęt we wszystkich dziedzinach życia, a szczególnie hamowały wszystko, co zmierzało celowo do ewakuacji. Ludzie niezainteresowani w antagonizmie różnych urzędów władz i instytucji społecznych, widząc grożącą katastrofę, zorganizowały się w Komitet Pogotowia Narodowego, złożony z 5-ciu osób: 3-ch inspektorów wojewódzkich p.p. Czerwijowskiego, Wolbeka i Pęskiego, sędziego Dmowskiego i prezesa T-wa Rolniczego Tołłoczko.

Do Komitetu tego władze cywilne, wojskowe i kolejowe delegowały po jednym przedstawicielu.

Prace Komitetu dążyły do skoordynowania działalności tych trzech władz i w tym celu wyjednały u Rady Ministrów delegowanie jednego z ministrów z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami Naczelnika Państwa, w celu urzeczywistnienia na miejscu tej koniecznej koordynacji. Dalo to niespodziewanie dodatni rezultat i odąd ewakuacja poszła szybkim i skutecznym tempem. W wypadkach przeoczenia, lub niewykonania jakichś niezbędnych zarządzeń, Komitet przeprowadzał je na własną rękę, przy pomocy własnej drużyny bojowej, pieszej i konnej, złożonej ze zmobilizowanych w tym celu obywateli i urzędników, oraz skautów.

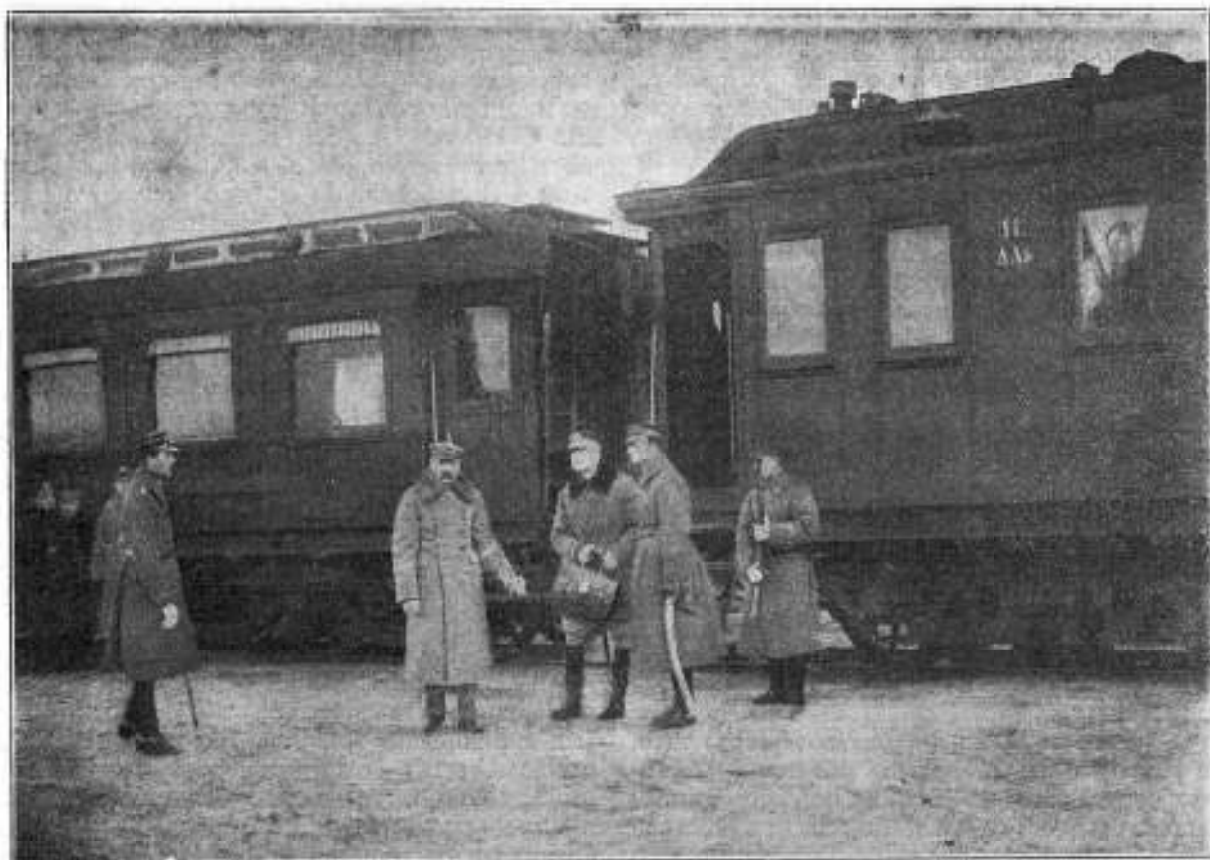
Dzięki tej pracy, ewakuacja przeprowadzona

szawska. Około 6-ej przed wieczorem forsowna strzelanina bolszewicka ustała i niczem niezamącona cisza zapanowała na całym froncie Brzeskim. Cisza ta jednak zdenerwowała bardziej od kulomiotów i huku artyleryjskiego i robiła wrażenie momentu zaczajania się jakiegoś wielkiego drapieżnego zwierza. Przyroda zdawała się być w tą niezamąconą ciszę jakby zasłuchaną, a echo ostatnich salw kulomiotowych płynęło po wodzie, do złudzenia naśladowując rehotanie chóru żabiego.

Napięte nerwy jednak oczekiwały lada chwili czegoś nadzwyczajnego.

Wróciwszy do Białej około 8-ej wieczór zastaliśmy tam już telefoniczną wiadomość, że wojska nasze, już Brześć opuściły.

Dalsza droga do Warszawy po szosie zapcha-



NACZELNIK PAŃSTWA w BRZEŚCIU.

została niespodziewanie dokładnie, i bolszewicy zajmując Brześć, w sierpniu nie bardzo się pożywili.

Miałem możność stwierdzenia tego naocznie, powróciwszy z drogi do Warszawy z powrotem do Brześcia z Białej na półtorej godziny przed wejściem doń band bolszewickich.

Był to śliczny, spokojny i pogodny wieczór lipcowy, po kilkunastu ulewnych deszczach, fala naszej cofającej się na Zachód armji i uchodźców spłynęła już za Białą Podlaską. W Brześciu pozostała część armji gen. Sikorskiego, a z ludności cywilnej prawie, wyłącznie żydzi. Główne siły bolszewickie, formowały już linję Bugu, sięgając Mielnika i oczywiście silnie na Brześć od północy, stojąc we wsi Rzeczycy od wschodu na cmentarzu miejskim, a od południa, opierając się o linję kolejową chełmską. Nasze wojska miały odwrót tylko szosą i kolejną War-

nej cofającą się armją i uchodźcami nie należała do przyjemnych, a grasujący w pojedynkę i kupami maruderzy mocno i nieprzyjemnie ją urozmaicali.

D. 2 sierpnia dotarliśmy do Warszawy, która znowu nas—losowych parjasów gościnie i po macierzyńsku pod skrzydła swe przyjęła.

Tu prawie wszystko, co zdolne do noszenia broni wstępuje do armji, a jeszcze ochotnicy ci, dla których karabin na ich młodociane siły i jeszcze ostatnie tabory pociągają w odwrocie przez mosty pontonowe na Wiśle, a już szykują się nowe i świeże siły zbrojne dla dania odporu wrogowi i nie wpuszczenia go do naszej ukochanej, a tak przez te żdzi-czałe i zgłodniałe hordy, upragnionej stolicy.

Rozstrzygająca bitwa pod Radzyminem (15 sierpnia) siły nieprzyjacielskie łamie i zaczyna się nasz zwycięski pochód na karkach dziczy bolszewickiej,

oszałalej z trwogi i nieoczekiwanej przez nich klęski, znowu dążymy w ślad za naszą Armją, po ciepłych jeszcze śladach bolszewickich, niedopałonych ogniskach, obozowych.

Drogi, dróżki i miejsca postojów tych dzikusów niemożliwie zaśmiecone, zagnojone i zasypane ich wstrętną i głupią bibulą propagandową. Dwory porabowane, ze smutkiem skonstatować należy nietylko przez dzikiego wroga, w wielu wypadkach i co dziwniejsze i smutniejsze, że to po tej stronie Bugu, szczególnie na tak zwanym Podlasiu, miejscowa ludność widocznie otumaniona propagandą bolszewicką, przyjaźnie witała ich dzikie hordy i razem z nimi, lecz wielokrotnie ohydniejszej dopuszczała się zbrodni rabowania własnych współobywateli.

Nasi zabużni włościanie, choć zdawało się mniej oświeceni, jednak krytyczniej zapatrywali się i na zwycięski pochód armji bolszewickiej i na szerzone przez nich hasła „swoboda”, to też skutki zniszczenia Polesia przez pochód bolszewicki stosunkowo mniejsze, może dlatego, że tam niszczyć nie było co jeszcze.

W każdym razie zastajemy na miejscu, tylko niebo, ziemię i budynki; o ile te nie rozebrano na opał lub mosty, czyli znowu kto silny duchem, a wytrwały w pracy, zaczyna od początku jak nowonarodzone dziecko. Mamy już koniec września, nasi koledzy po plugu z za Wisły, kończą siewy jesienne, a u nas nic jeszcze pod te zasiewy nieprzygotowane, konie wycieńczone, kilkaset wiorstową peregrancją i pola zorane latem, znowu zarośnięte i ziarna na siew niema i obroku i siana dla tych koni ani śladu, i ludzi niema czem żywić. A jednak i z tych opresji dźwigamy się jakoś i choć po kilka morgów zasiewamy przed mrozami, albo i w czasie mrozów oziminy, i cały Kraj z podziwu godną zawziętością zaczyna znowu mozolnie dźwigać się z nowej strasznej klęski.

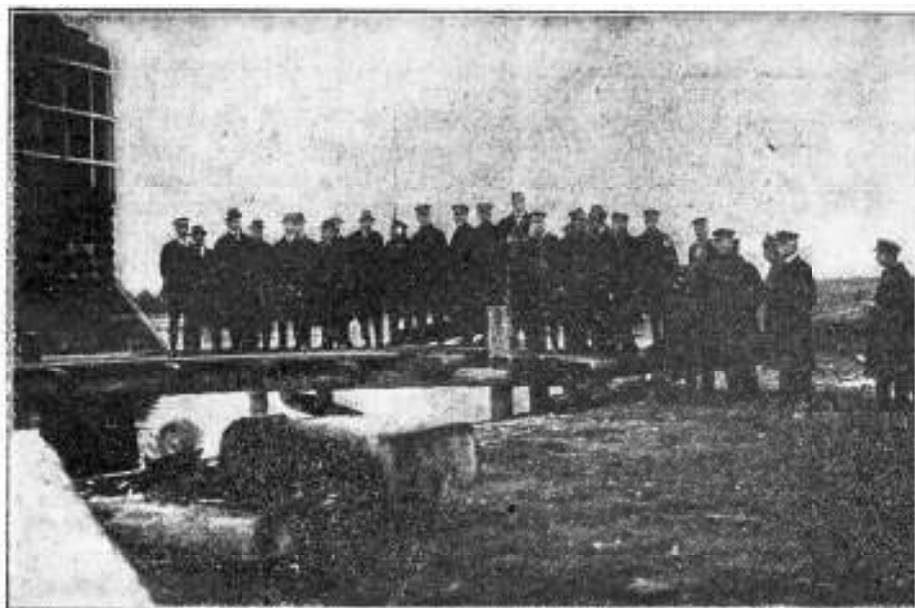
Zdemontowany aparat państwowy, również konstruuje się na nowo, lecz niestety nie najprostszą drogą powrotu na swoje opuszczone stanowiska dawnych władz Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, lecz dla jakichś niezrozumiałych powodów najtrudniejszym sposobem formowania nowego aparatu t. zw. Zarząd Terenów przyfrontowych pod kierownictwem p. Raczkiewicza. Jak żydzi mówią, „ten sam sztuk, tylko na inny manier”. Sztuka rzeczywiście ta sama, bo właściwie ludzie wracają ci sami, tylko przeferlowani z jednego powiatu do drugiego, co wobec braku wszelkich dawnych aktów zatrzymywanych przez b. Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich dla likwidacji niezmiennie im utrudnia owocną pracę a „maniera”, jeżeli inna, to znacznie gorsza, od bądź co bądź już cokolwiek udoskonalonej poprzedniej i bardzo kosztowna, bo likwidacja zarzuconego Zarządu pochłania setki milionów i absorbuje nieprodukcyjnie setki i to najlepszych urzędników.

Dziwnie to zamionuje nasz talent utrudniania sobie wszelkiej roboty, w której zamiast dążyć drogą ewolucji do udoskonalenia raz już rozpoczętej pracy, wolimy zawsze z pracą już dokonaną poniechać, a borykać się znowu od początku, z największymi początkowymi trudnościami, szczęściem, ta kosztowna, dużo zamętu, a mało korzyści przynosząca krajowi efemeryda była bardzo krótkotrwała i już w roku 1921 kraj otrzymał normalny dla całego Państwa Zarząd Państwowy Wojewódzki z p. Woje-

wodą Romanem na czele. Pod temi rządami ze zmianą tylko w ostatnich czasach stanowiska p. Wojewody (p. Romana na p. Downarowicza) — żyjemy i pracujemy aż dotąd.

Marny to żywot. Tak marny, że nie zamieniliby się na stanowisko naszego „dziedzica” najniższy urzędnik gospodarczy z normalnych warunków gospodarowania na Zachodzie za Wisłą. Ale już widać taka u nas harda i zawzięta ta poleszucka dusza, że żadne klęski, żadne przeciwności nie są w stanie jej osłabić, może dlatego, że te twarde warunki kresowe, od czasu zagonów tatarskich całymi wiekami i u wielu pokoleń naszych protoplastów na stal ją zahartowały, hartowały ją dalej już u obecnie żyjącego pokolenia moskale pałac, wysiedlając, hartowali okupanci niemcy, resztki rabując szarpali ją wreszcie jak wściekłe psy bolszewicy i nakoniec hartują, o! mocno na wszelkie kolory tęczy, hartują różne eksperymentalne wywi-sekcje naszego młodego ustroju państwowego, który wschodnie kresy, obrał sobie za główne laboratorium dla ciekawych i bardzo pożądaných teoretycznie, ale zbyt kosztownych dla naszego ubogiego Skarbu Państwa i zbyt bolesnych z tego powodu dla operowanych doświadczców, z reformą rolną na rzecz osadnictwa wojskowego i różnych innych zarządzeń z dziedziny wewnętrznej polityki państwowej. Ostrze reformy rolnej, którego siła, stępioną została przez dostatecznie silne już dzisiaj organizacje ziemiańskie Polski Centralnej, zwrócone z całym impetem razem do dyktantyzmu nieprzygotowanego do tego wielkiego i kosztownego przedsięwzięcie aparatem na nasze Kresy Wschodnie. Zdawałoby się, że wszystko przemawia na korzyść tego projektu: i odłogów nieuprawionych tam najwięcej i latyfundja obszarników najobszerniejsze i osadzenie elementu polskiego pożądanе, ale... Są trzy bardzo poważne przeszkody które dobro i ideę polskiego osadnictwa wojskowego na Kresach Wschodnich paraliżują i dyskredytują, a tymi są brak pieniędzy, pieniądze, pieniądze.

Wprawdzie grube już setki milionów w tą imprezę Rząd nasz zaangażował, ale jest to kropla w morzu, zupełnie nie spełniona do tych obszarów, jakie pod osadnictwo zostały zajęte i jeszcze dalej się zajmują, pomimo, że zajęte przestrzenie zupełnie się nie zagospodarowują. Boć trudno nazwać gospodarstwem to morzenie głodem ludzi i inwentarza, jakie dla braku środków jest tam stosowane. Doskonałych zdemobilizowanych z wojska koni 90% zdechło z głodu, zasiewy spóźnione z powodu braku inwentarza, niesienia i nieznanomości lokalnych warunków. Nie wróciły nawet nasienia, osadnicy przymierając głodem, albo uciekają, albo zajmują się innym procederem, nie wykluczając i grabieży, a wszystko razem wzięte doskonałą ideę osadnictwa, skandalicznie prowadzoną dyskredytuje, bynajmniej naszego polskiego autorytetu na Kresach nie podnosząc, wytwarzając coraz liczniejsze zastępy malkontentów, którzy tam na Kresach wciąż są szczególnie niepożądani, a nawet niebezpieczni, a czy można tą sprawę załatwić inaczej? Z łatwością tworzyć tyle, ale wyłącznie wzorowych kolonji osadniczych, na ile stać skarb naszego Państwa, bo na Kresach każda nasza akcja musi być wzorowa, ale nigdy słaba, od takiejże akcji stosowanej niedawno lepiej przez naszych zaborców. Nie żałujemy naszych ziem Kresowych dla tego naszego walecznego żołnierza polskiego, z którym razem tą ziemię z wiecznej niewoli wywalczyliśmy, ale żał



nam, że i ta ziemia nie jest należycie wyzyskana i ten zasłużony żołnierz, raczej jak przestępca—zesłaniec, a nie jak nagrodzony bohater i pionier kultury polskiej na Wschodzie jest traktowany.

Druga kresowa bolączka z tejże dziedziny, to nierozstrzygnięta dotąd sprawa zwrotu majątków, skonfiskowanych na Polesiu przez byłego Rząd Rosyjski, uczestnikom walk o wolność

w 1863—1831 r., jeżeli ta ważna sprawa kresowa nie jest dotąd przez nasz Sejm Ustawodawczy rozstrzygnięta, dlatego, że ten jest zbyt pochłonięty walkami partyjnymi i zabronioną przez kodeks karny, a co miesiąc prawie powtarzającą się dla zachowania dziewiczej niewinności operacją sztucznego ronienia, uważając każdy nowonarodzony Rząd Polski za dziecię nieprawego łoża, no to można nad tymi kłopotami kawalerskimi naszych suwerenów litować się i godząc się z losem, cierpliwie czekać, aż przyjdą ich zastępcy, bardziej moralni i sprawę rzeczywistej budowy naszego Państwa Polskiego uznający za niedrugorzedną. Jeżeli sprawa konfiskowanych przez Rząd Rosyjski majątków Kresowych jest zasadniczo zlekceważoną, to dziwna ta logika, która za ofiarę na rzecz niepodległości Ojczyzny, jednych ziemią nagradza, a innym tą ziemię odbiera, pozostawiając ją w rękach obdarowanych



obrusitielej. Są jeszcze liczne, a dotkliwie bolączki kresowe, których nam parjasom losowym mógłby Rząd Polski oszczędzić, ale jesteśmy cierpliwi i wyrozumiali, czekamy aż ten młody Rząd nasz rzeczywiście do rozstrzygnięcia tych zadań niezmierniej wagi państwowej dojrzeje, i nie tracimy ducha, bo choć mocno on sterany gehenną strasznych, siedmioletnich przeżyć wojennych, choć słabo podtrzymywany przez naszych szczęśliwych kolegów po pługu z za Wisły, których klęska wojny nie tylko ominęła, ale nawet wzbogaciła i pomimo wreszcie że przez decydujące nasze czynniki państwowe jest on niedoceniony duch szczerze i mocno polski, wypróbowany przez wiekową niedolę, bo te czynniki sądzą, łatwiej ze-

skrobia należały pokost rosyjski na Kresach, za pomocą nowych polskich mas, których polski patriotyzm, tak silny znalazł wyraz w czasie straszliwej ostatniej inwazji bolszewickiej, aniżeli nie tak liczne, ale zato wypróbowane przez wiekowy ucisk i niewolę jednostki, zdawna tam na naszych rubieżach osiadłe, My, Kresowe Ziemiaństwo, ani tego hartownego du-



B. MINISTER P. PONIKOWSKI PODCZAS OBJAZDU KRESÓW WSCHODNICH.

cha, ani wiary w lepszą dla nas przyszłość nie stracimy, bo oprócz hartu i tej wiary, mamy kresową zawziętość właściwą tubylczym chłopom poleskim.

Brześć n/Bug, w czerwcu 1922 roku.

Teodor Tollozko.

Będąc zaszczyconym propozycją streszczenia dla szpalt „Ilustrowanego Polesia” przeżyć tego kraju i jego mieszkańców, muszę zaznaczyć na wstępie, iż piszę ten artykuł, opierając się tylko na wspomnieniach i przeżyciach osobistych, ramy zaś wydawnictwa zmuszają mnie do rozpatrywania całokształtu sprawy w pobeżnej formie.

Dla stworzenia pewnej ciągłości, muszę rozpocząć szkicowanie od czasów powstania, jako przełomowej chwili w życiu Polesia.

Rok 63-ci położył niezatarte piętno na życiu kraju; gwałtowne usunięcie przez Murawjewa jedyne go kulturalnego elementu, t.j. Polaków, od udziału w życiu państwowym i społecznym, masowa deportacja na Syberję, konfiskata i sekwestr polskiej własności ogłosiły kraj prawie doszczętnie z sił kulturalnych. Pozostały element ziemiański — polski, był ekonomicznie strasznie zniszczony wskutek gwałtownego przewrotu, dokonanego przez uwłaszczenie włościan, na rzecz których za minimalne odszkodowanie przekazywano z reguły nie mniej niż 50% byłych gruntów dworskich, pozostała zaś część przy właścicielu, starano się obciążyć różnymi należnościami na rzecz włościan w postaci wspólnych pastwisk i różnego rodzaju serwitutów, zapewniających rządów na długie lata możliwość jątrzenia stosunków z dworem i wsi. Cała własność polska została obciążona specjalnym podatkiem (kontrybucja) na pokrycie jakoby stłumienia. Poza tym wychodząc z zasady iż dziedzic, zwalniany z poddaństwa, obowiązany był zdać w porządku wszelkie urządzenia do duchowego rozwoju włościan potrzebne, za które uznano: cerkwie prawosławne, mieszkania dla duchownych i ich budynki gospodarcze, nałożono na byłych właścicieli obowiązek doprowadzenia ich do porządku, rodzaj zaś remontu określali: pop, zainteresowany urzędnik gubernialny, isprawnik, stawiając żądania na niczym nie oparte. Jeżeli dodać, iż w kraju nie było hipoteki i żadnego kredytu rolnego, iż zabroniono Polakom, jedynym możliwym nabywcom, kupna ziemi, to stanie się zrozumiałym rozpaczliwy stan ekonomiczny i jako

wynik, upadek ducha, wśród żywiołu polskiego. Odruchowo zostało przyjęte hasło ześrodkowania całej energii na utrzymaniu w swych rękach resztek posiadanej ziemi jako jedyne go źródła utrzymania przy życiu swych rodzin i przedłużenia agonji, zdawał się na wieki już ginącej na Polesiu, polskości.

Jak gwałtownym wstrząśnięciem uległ cały kraj, niech jako przykład posłużą cyfry zaczerpnięte z życia byłej gubernji grodzieńskiej, przestrzeń której była równa 3,5 milionów hektarów, w czym 1.5 miliona hekt. ziemi ornej.

Z tej przestrzeni ogólnej przekazano włościanom przy uwłaszczeniu 35%. W roku 1905 stan posiadania dzieli się: rządowe grunta stanowią 16%, włościańskie 54%, własność prywatna rosyjska i polska po 15%.

Ziemia rosyjska 15%, jak również co najmniej połowa nadwyżki powstałej we własności włościańskiej, były to jak również i ziemie rządowe, grunta skonfiskowane lub podległe przymusowej sprzedaży w krótkich terminach, którym to sposobem rząd obdarowywał swych nowo sprowadzonych urzędników rosyjską ziemią, chcąc w ten sposób dać krajowi charakter rosyjski. Reasumując te cyfry dochodzi się do wniosku, iż w ciągu od 63 do 905 roku żywioł polski po za stratą wszelkich placówek pracy na polu państwowym i komunalnym, na 16% ziem państwowych, 15% ziem rosyjskich, 20% powiększenia własności włościańskiej — ogółem 41% przestrzeni, miał zaś prawo wegetacji na 15% całej przestrzeni (własność polska) a rezultat? Kraj, który mimo swych słabych gleb, eksportował wiciami zboże do Gdańska, staje się niezdolnym [do wyżywienia swej ludności i musi spro-



JEŚMAN B. NACZ. OKR. BRZESKIEGO.

wadzać zboże z Rosji. Produkcja miejscowa spada do 20 cent. żyta i pszenicy, do 16 cent. owsa i jęczmienia i 140 cent. kartofli z hektara. Hodowla bydła, która w kraju łąk i pastwisk, powinna była dawać wielkie dochody, słabo się rozwija, gdyż rozpoczęła jeszcze za czasów przedrozbiorowych przed polską regulacją wód Polesia, przez budowę kanałów Ogińskiego i Królewskiego (Dniepro-Bugski) jest w ciągu stulecia niekontynuowaną, wobec czego co kilka lat silniejszych opadów, wszystkie łąki są zatonięte i ludność musi z braku paszy wyzybywać się za bezcen całego swego bydła, dorobku lat kilku — by w roku przyszłym rozpoczynać pracę na nowo. Przy takich warunkach właściciel większej własności regulował swój budżet przez dewastacyjną gospodarkę leśną, włościanin przez zarobkową emigrację do Ameryki, wszyscy zaś razem przez zmniejszanie swych

wydatków do minimum. Stan taki trwa mniej więcej do lat 80-tych zeszłego stulecia, gdy usilna praca starszego pokolenia, podjęta w celu zabezpieczenia egzystencji, zaczyna wydawać rezultaty promieniające nazewnątrz. W powiecie Brzeskim, w majątkach: Wysokie Litewskie, dzięki inteligencji i pracy pana Bielawskiego, wytwarza się pierwszorzędną placówkę hodowli nasion i bydła, służące jako rozsądnik kultury rolnej; w tym że powiecie Jan Roth w Wierchowicach po za wzorowym gospodarstwem rolnym, wytwarza najlepszą w państwie hodowlę bydła rasy „Szwyc”. Rodzina Puzyńców, w osobach Aleksandra i Józefa, w powiecie Brzeskim i Stanisława w powiecie Kobryńskim, tworzą wzorowe placówki kultury rolnej. Pozatem Stanisław Puzyna wytwarza co do mleczności jedną z najlepszych obór rasy holenderskiej.

W Pińszczyźnie rodzina Skirmuntów z Mołodo-wa i Porzecza są wydatnymi placówkami kultury rolnej, do takich też placówek należy zaliczyć w powiecie Prużańskim, Jurkowszczyznę Władysława Bobińskiego, Tulicze — Seweryna Dziekońskiego i wielu innych o mniej wybitnych rezultatach pracy, które zaczynają dźwigać warsztaty rolne i dawać prawo do nadziei w lepszą przyszłość. Czas ten, pewnego uzdrowienia i przystosowania się organizmów gospodarczych do koniunktury polityczno-społecznych, zbiega się czasem, gdy na arenę życia wstępuje nowe pokolenie po-powstaniowców, którzy, nie przeżywszy sami bezpośrednio okropności powstania i jego skutków do-rażnych, nie są w stanie zasklepić się li tylko w dziedzinie spraw materialnych, a żywiołowo zaczynają odczuwać potrzebę szerszej działalności społecznej. Zaznaczyć należy, iż Polesie w sferze ziemianńskiej jest w tym czasie wyjątkowo bogate w inteligencję o wyższym wykształceniu; straszne warunki ekonomiczne na roli i prześladowanie żywiołu polskiego, wytworzyły w starszym pokoleniu przekonanie, iż długo na roli wytrwać się nie da, wobec czego odmawiając sobie chleba i obuwia, rodzice nasi, robili wysiłki, by dać nam wykształcenie jako jedyny środek walki zyciowej. Młodzież ta, wobec utrudnień, stawianych przez rząd rosyjski kształcenia się w Polsce, odbywa studia w Moskwie, Petersburgu, Kijowie, gdzie poddaje się rosyjskiemu systemowi myślenia i wraca do kraju z ideałami socjalistyczno-rosyjsko-międzynarodowymi. W tym strasznym momencie dla polskości naszego wynarodowienia, na rzecz obcej,

a wrogiej nam kultury, rozległ się głos T. T. Jeża w formie małej broszurki „o obronie czynnej i skarbie narodowym”, broszurki, o której dziś mało kto wie i pamięta, lecz która dla nas ówczesnych międzynarodowców była operacją zdjęcia katarakty z oczu, kąpielą narodową, każącą siłom naszym zwrócić się ku pracy dla społeczeństwa polskiego, że nie jest to tylko obrona, przepadłej reduty, lecz że jest to praca do spełnienia której stać nam sił. Pod wpływem dwóch tych czynników, ekonomicznego odrodzenia i poczucia potrzeby pracy narodowej, zaczyna się



JÓZEF BANKOWSKI, B. ZAST. NACZ. OKR. BRZESKIEGO.

szukanie dróg pracy. Ruch kooperatywy zaczyna przejawiać się w różnych ośrodkach Polesia, zakładając w porządku chronologicznym swe ośrodki w Kobryniu, Mińsku, Grodnie, Pińsku, Brześciu i Słonie. W Kobryniu dzięki zabiegom i energii Księcia Stanisława Puzyny udaje się stworzyć Wzajemny Kredyt, który postawiwszy sobie za zadanie wyrwać ludność chrześcijańską ze szpon lichwy żydowskiej, jako środek postanawia prowadzić operacje li tylko wśród ludności chrześcijańskiej. Instytucja ta pod kierunkiem panów: Bańkowskiego, Bakraby, Frakowskiego przetrwała po dziś dzień, roztoczyła swą działalność na powiaty: Kobryński, Brzeski, Prużański, częściowo Słoniński i Piński. Angażując miejscowe wkłady, dyskontowała nie drożej od Banku Państwa, posłużyła za wzór do zakładania takichże instytucji w Pińsku i Słonie, a co najważniejsze, służyła popularyzacji imienia polskiego, gdyż chociaż słowo „Polska” było surowo zabronione na terenach kresów wschodnich, Kobryński Kredyt Wzajemny zyskał

u włościanina prawosławnego, którego ratował od lichwy, imię „polski bank” który był miejscem współpracy obszarnika z włościaninem. W tym, mniej więcej co i w Kobryniu, na drugim krańcu Polesia, w Mińsku przejawia działalność polska, mińskie towarzystwo rolnicze. Założone przez rząd rosyjski, zaraz po powstaniu, miało za zadanie wzmocnienie ruskiej własności i jednocyliło nowych właścicieli-czynowników, mających za cel nie dobro kraju i jego ludności a szybkie wzbogacenie się kosztem gnębionej polskości. Cel dzwignięcia kraju z upadku ukołał ziemianin Słuckiego powiatu — Edward Wojniłowicz. Wchodzi sam ze swym silnym duchem do tej wrogiej placówki i po dziesięciu niespełna latach, opanowuje ją, staje u steru, skupia koło siebie cały szereg ziemian — polaków, stwarza Oddziały w Pińsku i Mozyrzu, pole doświadczałne w majątku Tuhanowiczach, tworzy wystawy rol-

nicze większe w Mińsku, cały szereg mniejszych włościańskich wystaw w powiatach, daje impuls do otwarcia Wzajemnego Kredytu w Mińsku. W początku bieżącego stulecia, wyczuwając potrzebę dalszego ekonomicznego wyemancypowania, a zarazem konieczność stworzenia centrali, miejsca zjazdów i wymiany myśli polskiej tworzy wzajemną asekurację, obejmującą swą działalnością gubernie: grodzieńską, wileńską, mińską, kowieńską, witebską i mohylewską.

Instytucja ta pod kierownictwem pana Łopotta, rozwijała się świetnie, dając tanią asekurację i pracę dla setek inteligencji polskiej, chroniąc ją od emigracji na wschód.

W końcu zeszłego stulecia, dzięki zabiegom ówczesnego marszałka szlachty Niemcewicza, udaje się uzyskać pozwolenie wprawdzie tylko na syndykat, przemianowany później na Tow. Rol. Grodzieńskie. Po za placówką kultury rolnej jest ono szkołą życia społecznego, tu stawiają pierwsze swe kroki późniejsi ministrowie spraw zagranicznych odrodzonej Polski: Eustachy Sapieha i Konstanty Skirmunt. Stąd w 1905 roku wysłano delegatów na zjazd ziemski w Moskwie dla bronięcia praw polskich tych terenów, tu z inicjatywy pana Bańkowskiego została podjęta myśl w wielu wypadkach urzeczywistniona, zabezpieczenia starości służbie folwarcznej pewnym kapitałem emerytalnym, a jeśli dodać, że Grodno było miejscem zamieszkania Elizy Orzeszkowej, podwoje mieszkania której stały zawsze otworem dla nas, skąd promieniowała miłość kraju — to łatwo zrozumieć, iż Grodno odegrało rolę wybitną w naszym odrodzeniu. A praca w tych Stowarzyszeniach nie była łatwą, prezesami wedle ustawy byli marszałkowie szlachty — moskale i jakiej trzeba było przebiegłości, by uspić ich czujność i nadwrażliwość, niech posłuży fakt następujący: w początku bieżącego stulecia, oddałem się zadaniu rozwinięcia kas drobnego kredytu dla ludności włościańskiej. Robota początkowo szła opornie, jednak udało mi się utworzyć kasy w Żabince, Strykowie, Prusku powiatu Kobryńskiego i Goniądzu — Białostockiego i w Bochach — powiatu Bielskiego. Gdy praca zaczęła się rozwijać, gdy dzięki propagowaniu jej w grodzieńskim Tow. Rol. znalazłem cały szereg chętnych do poparcia tej sprawy na terenie guberni, wszystkie me podania o legalizację Stowarzyszeń zostały zdjęte z porządku dziennego przez ówczesnego gubernatora Stolypina, który na me naleganie o motywy odpowiedział krótko „Wy żelaliby zakrepostić ruskich krestjan za polskimi kapitałami“, Żadne dowodzenia i starania moje nic nie pomogły, sprawa była przesądzona, zostaliśmy usunięci od pracy. Na jakie katusze duchowe wystawiano kierowników Tow. niech znów posłuży fakt, następujący w czasie historycznego odsłonięcia pomnika Katarzyny w Wilnie, wice-prezesowi Tow. Rol. został postawiony Judaszowy srebrnik narodowy: bytność na otwarciu pomnika będzie widocznym znakiem, czy polskość tak się zgodziła z państwowością rosyjską, iż dopuszczalnym jest pozwolenie pola-

kcm kupna ziemi w tym kraju, nie bytność zaś jest dobrowolnym wyrzeczeniem się z niesienia tegoż kazu przez całą polskość upragnionego. Wice-Prezesami Grodzieńskiego Tow. byli książę Czetwertyński, Konstanty Skirmunt, Eustachy Sapieha, Dymitr Korybut-Daszkiewicz. W chwili obecnej Tow. przekształciło swój dział handlowy na towarzystwo akcyjne i dalej rozwija swą działalność kulturalną. W 1910 roku powstaje Brzeskie Towarzystwo Rol. z terenem działania na powiaty: Kobryński, Prużański, Brzeski i Bielski. Pierwszym prezesem jest Jan Niemcewicz. Tow. zakłada formę doświadczalną w majątku Skokach pod Brześciem pod kierunkiem agronoma Lasoty. Poza tem pola doświadczalne w pow. kobryńskim, bielskim i prużańskim pod kierunkiem ludzi o średnim wykształceniu rolniczym, prowadzącymi jednocześnie doświadczenia zbiorowe u prywatnych właścicieli, Tow. ma instruktora budowlanego, któremu podległych jest trzech instruktorów hodowców, którzy oprócz hodowli mają w swej opiece rozwój mleczarstwa i wyrób masła. Buduje się zbiorowymi siłami suszarnia zboża dla dostawy zboża intendencurze. W 1914 roku ma miejsce potajemny zjazd delegatów mińskiej, grodzieńskiej i witebskiej guberni dla zorganizowania polskiej kolonizacji na Kresach. Wojna przerywała działania. W miesiąc po zajęciu Brześcia przez wojska polskie, pan Teodor Tołłoczko odnawia działalność Tow. w kierunku wyżywiania wymierającej z głodu ludności, uruchomienia odłogów za pomocą traktorów, uświadamiania władz polskich o potrzebach kraju. Inwazja bolszewicka znów przerywa na chwilę działalność, którą w roku 1921 ponownie odnawia Towarzystwo pod kierunkiem pana Bańkowskiego, sprawującą bydło z Poznańskiego, prowadząc zbyt siana, otwierając warsztaty mechaniczne dla reperacji maszyn i traktorów, zatrudniające dzisiaj około 100 robotników; reprezentując interesy miejscowego rolnictwa u władz centralnych, co było niezbędnym wobec braku przedstawicieli naszych w ciałach ustawodawczych.

Jednocześnie z Brzeskim powstaje Towarzystwo Rolnicze w Słonimie dzięki inicjatywie i pracy Ale-



ODPOCZYNEK ŻNIWIARZY.

ksandra Mikulskiego, Władysława Jeśmana i dr. Bielskiego. Równolegle z tą akcją rolniczą rozwija się akcja emancypacji handlu z rąk nam obcych; powstają handele rolnicze spółkowe w Grodnie, Wysokim-Lit., Kobryniu, Slonimie, Wołkowysku, Mińsku, Pińsku. Sklepy spożywcze w Kobryniu i Pińsku. Na gruncie mińskim intensywną działalność przejawia p. Roman Skirmunt.

Kończąc ten pobieżny rys pracy ekonomiczno-rolniczej muszę przejść do pracy oświatowo-narodowej. Ośrodkami które były: w Grodnie dom Elizy Orzeszkowej, w Pińsku dom pod nazwą „Murek” Konstancji Skirmunt, w Kobryniu Marii Żabińskiej z domu Stefanowskiej, w Mińsku z Wojniłowiczów Kostrowickiej i Maurycji Czarnockiej. Trudno opisać detale ich działania. W domu Orzeszkowej widywaliśmy całe szeregi młodych panien, które starała się ona nakłonić i nauczyć jak pracować i kochać lud; słyszało się narady o zakładaniu tajemnych szkółek. To samo da się powiedzieć o Konstancji Skirmunt. Murek był miejscem schadzek i narad, jak ratować od zagłady polskość i katolicyzm, w czasach represji jak zjednoczyć w Pińsku polskich robotników kolejowych, jak dopomóc w posługach religijnych mieszkańcom Łohiszyna, z których ciała rusińskiego chciano przymusowo wyrwać duszę polską i katolicką. Były to wszystko akta, za które groziła deportacja, o których się nie opowiadało nikomu oprócz wykonawcom i o detale których nikt się nie dopytywał. Na gruncie Kobryńskim intensywną działalność rozpoczyna pani Marja Żabińska. Praca początkowo idzie tak opornie, że po to 'by znaleźć chętnych do nauki, trzeba uczyć nie tylko bezpłatnie, lecz dla zachęty dawać prezenty w formie, np. ubrania, a rezultat? Po ośmiu latach pracy ze składek kobryńskiego ziemiaństwa buduje się w Kobryniu specjalny dom na szkołę polską; pod urzędową nazwą „szwalni” urządza się seminarjum nauczycielskie z kursem 3-letnim. Gdy w roku 1903 szkoła została przymusowo zamknięta przez władze rosyjskie, kształciło się 78-ro dzieci, w czym 30-ro mieszkało w internacie. Było to seminarjum ideowe dla

dzieci miejscowej polskiej ludności, które wracały do zaścianków by rozkrzewiać zanikającą polskość. Przy pomocy pieniężnej ziemiaństwa i tych nauczycieli powstaje około 20-u szkółek ludowych w pow. Kobryńskim i tyleż w Prużańskim. Głównymi pomocnikami pani Żabińskiej, w jej pracy na gruncie kobryńskim byli: Adam Koiszewski, Józef Ostromecki i Józef Bańkowski, w prużańskim Adam Bobiński. Po przymusowym opuszczeniu Kobrynia, pani Żabińska przy pomocy Koła ziemianek warszawskich otwiera seminarjum nauczycielskie w Woli Grzybowskiej, pod Warszawą, dokąd ściga dziewczęta z Kresów, by uduchowić je, wyprawiać znów do pracy na Polesie. Wojna wyrzuca ją z Woli Grzybowskiej, lecz z uporem kontynuując swą pracę, otwiera preporandę nauczycielską w Mołozewie ziemi Siedleckiej i choć ją ominął tak zdaje się zasłużony order „Polonia Restituta”, dano jej doczekać rzadkiej, a zasłużonej nagrody: gdy w roku 1921 kobryńskie społeczeństwo wita jako kierowniczkę polskiej preporandy nauczycielskiej, otwartej przez Państwo Polskie w domu przed laty przez nią zbudowanym, gdzie dziś wpaja w miejscową ludność ideały miłości i obowiązku dla ukochanej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Tak stały sprawy w roku 1914-ym, zdawało się nam, iż choć wróg jest silnym, lecz go przetrwamy. W ciągłej pracy nabieraliśmy wiary w swe siły, gdy oto uderzył w nas grom wojny światowej z następstwami, o których nie ma pojęcia żadna z dzielnic Polski. Rok pierwszy wojny przeszedł dla Polesia względnie spokojnie, udział nasz zaznaczał się w niesieniu pomocy okolicom dotkniętym wojną i tu na chwałę Polesia zaznaczyć należy, iż domy i dwory nasze stały stale otworem dla uciekinierów, inaczej odczuwano i traktowano to na Polesiu, niż na ziemiach dawnej Kongresówki, gdy zmienne losy wojny zmusiły nas do szukania schronienia za Wisłą. Ludność cała bez różnicy wyznania, śpieszyła z pomocą dotkniętym klęską wojny. W Kobryniu naprzykład przy pomocy duchowieństwa prawosławnego udało mi się na poczekaniu prawie zebrać pięć wagonów

rzeczy na pierwszą pomoc ofiarom wojny. Tak doczekaliśmy lipca 1915 roku gdy po klęskach rosną w Galicji zaczęły zalewać Polesie fale uciekinierów, głównymi szlakami były: Kobryń, gdzie się schodziły szosy: z Galicji — Włodawska, z Wołynia — Kowelska z Warszawy — Brzeska i Prużana, dokąd od Brześcia i Wysokiego dążyła fala na Różanę i Slonim. Było to zjawisko podobne do wędrowki narodów, dniem i nocą wśród płaczu i jęku ludzkiego, ryku bydła, szły drogami i polami niezliczone tłumy. Łany zboża ginęły strątowane kopytami; jeśli dodać do tego szerzenie się cholery i brak wody dla ludzi i koni, to można zrozumieć, jak zaczęły ręce opadać w chęci przyniesienia ulgi tym nieszczęśliwym zdawało się, że są to ludzie skazani na śmierć niechybną i że my przez nich zduszeni być musimy. Lecz wszystko błędnie wobec wy-



ŻNIWA W CZASIE POKOJU.

padków z pierwszych dni sierpnia. Po upadku Warszawy, wyszedł rozkaz władz wojskowych o przymusowej ewakuacji całego Polesia, o rekwizycji całego dobytku, spalenie budynków, zostawiając dla stanowczo opornych wyjazdowi, na cztery tygodnie chleba i kartofli. To był rozkaz, a wykonanie? Zjawily się oddziały kozaków-czerkiesów paląc i z zasady rabując. Kraj cały zapłonął; dzień i noc słycać było huk wysadzanych w powietrze mostów i budynków, cały kraj pokryty chmurami dymów od płonących wsi i dworów. Powłoka dymu była tak wielką, iż luty w nocy były niewidoczne, zaś jasne słońce sierpniowe w dzień wyglądało jak straszne, krwawe oko, mgłą dymu zawleczone. Panika doszła do zenitu, gdy na horyzoncie pokazały się aeroplany, gdy ustępujące w popłochu armie zaczęły bezlitośnie masakrować i spychać z dróg przerażoną ludność. Groza położenia zmusiła nas, raz jeszcze do próby zatamowania przymusowego wyjazdu i palenia. I rzeczywiście, około 10-go sierpnia st. st. w dniach upadku Kowla, Grodna, Ossowca, Brześcia, udało mi się wraz z hrabią Pusłowskim w Stonimie, przekonać naczelnika północnego frontu Aleksiejewa o barbarzyństwie tych zarządzeń i otrzymać rozkaz o wstrzymaniu przymusowego wysiedlania i pożogi, lecz rozkaz trudno było od razu w czyn wprowadzić w zdemoralizowanym wojsku i zaprzestano podpalania i wysiedlań dopiero na linii Drohiczyn — Iwacewicz, t. j. na odległości mniej więcej 50-ciu wiorst od przyszłego czteroletniego frontu.

W drugiej połowie sierpnia st. st. hordy rosyj-

skie zaczęły znikać; zaczęliśmy obliczać rezultaty zarządzeń władz rosyjskich. Zebrałem dane w powiecie Kobryńskim: 6/7 wszystkich budynków spalono, pozostało na miejscu 15% ludności, a stan jej posiadania był na 16-u ludzi jeden koń i jedna krowa, na 100 ludzi jedno prosię.

Taki lub podobny stan panował na całym Polesiu; otrzymawszy w roku 917-ym pozwolenie pojechania do Wilna, wyjechałem w pogodny dzień sierpniowy przez Baranowicze. W kraju rolniczym, z okien wagonu, do Baranowicz (200 wiorst) ujrzałem pracującego w polu jednego człowieka z koniem. Dopiero za Nowogródkiem obraz zaczął się zmieniać; widać było ludzi i owoce ich pracy na roli. Co ludność Polesia przeżyła w czasie czterech lat okupacji niemieckiej, trudno opisać. Kraj cały należał do odcinków, t. zw. bojowych lub etapowych; zależał od komend armii w Białej Podlaskiej „Bug-Armee” lub armii Wojsza w Prużanie. Był terenem, który musiał wyżywić dyzlokowane na nim oddziały wojskowe i szpitale. Ludność musiała cały swój czas oddać pracy dla wielkiej niemieckiej ojczyzny. Rolnikowi wolno było pozostawić sobie, na wyżywienie, 5 pudów żyta, 8 pudów kartofli na cały rok. Każdy zabity wieprz musiał być podzielony na połowę z administracją wojskową. Krowa, kury były opodatkowane masłem i jajami. Komendant miał bezwzględna instrukcję wyżywić ze swego terenu garnizon i szpitale, był to warunek kwalifikujący jego odpowiedzialność na to stanowisko. Prawo do odznak i awansów uzyskiwał, o ile potrafił wywieźć jaknajwięcej produktów rolnych i leśnych do Niemiec. Biorąc pod uwagę słabość zaludnienia (15% ludności przedwojennej) i przeciążenie kraju wojskami widocznym się staje ogrom ciężaru, który spadł na ludność. Byliśmy świadkami scen przypominających stosunki afrykańskie: łapano ludzi w nocy, w czasie snu, spędzano do zagród kolczałych, skąd pędzono na roboty leśne lub rolne do Niemiec. Przez cały czas wojny nie wolno było ludności opuszczać swych zagród od zmroku do świtu. Przejazd kolejami był dozwolony w wyjątkowych wypadkach, wyzysk ekonomiczny na każdym kroku, np. ludność po ustąpieniu Rosjan, zwróciła się, prosząc o pomoc w nasionach. Odpowiedziano nam w Bug-Armee, iż wegetarianizm jest rzeczą bardzo dobrą, dano nam wskazówki, jak siać cebule, kalafiora i pory i obiecano dostarczyć tych nasion na wiosnę. Na wiosnę sytuacja się zmieniła. Niemcy mieli nadzieję utrzymania się na linii Baranowicze — Pińsk, postanowili wyekspluatować naszą pracę. Zawiadomiono nas, iż w komendanturze możemy nabyć konie drogą licytacji, płacąc kwitami rekwizycyjnymi za dopłatą do każdego konia 30 rubli gotówką.

Ludność rzuciła się skwapliwie do tych koni, licytując kilkakrotnie drożej od cen rynkowych, gdyż oddawała za nie bezwartościowe kwity rekwizycyjne, a tylko 30 rubli gotówką.

Wyjaśniło się potem, że konie sprzedawane nam były przedtem zarekwirowane w sąsiednich komendanturach na kwity, sprzedane nam za cenę dziesięć razy większą, tym sposobem wycofano u ludności kosztem kwitu jednomarkowego dziesięć marek, a za dokonanie tej operacji brano komisowe w postaci 30 rubli od każdego konia, po to, by w kilka tygodni potem, ten sam koń był zabrany przy nowej rekwizycji.

Jeśli dodać do tego, iż każdy obowiązany był



PIŃSK. KOŚCIÓŁ PO-FRANCISZKAŃSKI WRAZ Z DZWONNICĄ.
(po pożarze 1921 r.)

zdejmnąć czapkę, przed oficerem niemieckim, że nie wolno było ludności cywilnej używać bryczek, że wszelkie bryczki i powozy powinny być przekazywane panom oficerom, że wszystkie meble były zabierane do meblowania okopów, resztę pozostałych mebli zabrano ludności na umeblowanie stu pokoi w czasie kongresu pokojowego w Brześciu, to mamy obraz udręczeń moralnych i fizycznych tych terenów.

Nie był to jednak jeszcze pełny obraz udręczeń i grozy tych terenów: w ciągu całej zimy 1915–1916 roku byliśmy świadkami strasznych rzeczy, postanowiono wysiedlić całą pozostałą ludność pasa przyfrontowego. Rozkaz wykonano bezapelacyjnie w ciągu paru godzin, zabierając cały pozostały inwentarz, imiennie na rzecz Skarbu, ludność zaś w czasie mro, zów powędrowała w świat do zagród kolczastych – z których większe były w Kobryniu i Łukowie, młodzież zaś poszła na roboty przymusowe do Niemiec. Jakich scen byliśmy świadkami, ile trupów, chorych na tyfus i zmarzniętych pokryły pola Polesia, nikt chyba nigdy nie policzy.

Na zakończenie dodać muszę, że zaczęto tworzyć na terenach Polesia Ukrainę.

W roku 1916 w Białej zaczyna wychodzić pismo ukraińskie „Ridnoje Slovo”, tworzy się szkoła nauczycieli ludowych ukraińskich, ubranych na koszt Państwa Niemieckiego w strój kozacki, zaczyna się zakładać szkoły ludowe Małorytskie.

W tych warunkach przychodzi pamiętny rok 1918, po traktacie Brzeskim, zaczyna do kraju napływać fala uchodźców z reguły bosych i głodnych, do kraju zniszczonego i do ostatniej kropli krwi wycieńczonego. Wśród Niemców wkłada się coraz większe rozprężenie, zaczynają się dzielić władzą z efemerycznymi przez się stworzonymi państewkami.

W Brześciu tworzy się surogat Państwa Ukraińskiego: „Chołmsko-Grodzieński Kosz Narodnej Republiki Imieni Petlury” pod nominalnym Zarządem skroplis Ewtuchowskiego, Bielski, Prużański z puszcza Białowieską są poddane władzy Taryby Litewskiej. Garnizony niemieckie zmniejszone, bandytyzm ogarnia kraj cały, nikt nie jest pewny życia i mienia. Na porządku dziennym mordy w rodzaju Iloszki, powiat Kobryński, gdzie na rodzinę Kazimierza Szemiota, oficera dowórczyka, napadnięto w biały dzień, zamordowano 11 osób, a potem dom z trupami spalono. W tych warunkach zapanowały pampasowe stosunki, kładziono się spać ubranym; z bronią przy boku, siadano do stołu, a karabiny nabite stały pod ręką, taki stan trwał listopad, grudzień 1918 roku i styczeń, luty 1919 r.

Kto młodszy uciekał do wojska do Polski, słabsi, duchowo, opuszczali też tereny Polesia, pozostali czekali końca i pragnęli już raz walki otwartej, by choć zginąć z honorem.

Pod naporem bolszewików, Niemcy zaczęli oddawać im tereny Polesia, bolszewicy zajęli kraj od wschodu po linii Różana, Kartuz-Bereza, Drohiczyn, zdawało się, iż na wszystko, co polskie, przyszedł dzień zagłady; z bolszewikami omówiono dzień przełazania Brześcia, gdy dziwnym zarządzeniem losów pierwsza odsiecz i ratunek dla polskości przychodzi nie z zachodu, dokąd były zwrócone nasze oczy, lecz z wschodu w postaci oddziałów majora Dąbrowskiego, idących od Wilna.

W połowie lutego, oddziały te łączą się w Brze-



PIŃSK.

KOŚCIÓŁ OO JEZUITÓW.

ściu z wojskami gen. Listowskiego poczem silnem tempem postępują naprzód. Garstka bosych, głodnych bohaterów zajmuje Polesie po Pińsk i Baranowicze.

Dziejów tych zmagani opisywać się nie podejmuję, są one opisane przez fachowców, ja dodać muszę, iż tej radości, którą się przeżywało przy zetknięciu z polskim żołnierzem nie potrafi odczuć ten, kto nie przeżył tych wieloletnich katuszy.

Oddźwiękiem radości tej było to, iż wszystko co lepsze w społeczeństwie Polesia postanowiło poświęcić swe siły dla roboty państwowej.

A robota była nielada: kraj zniszczony zupełnie, przepełniony bandami opryszków, nieraz z głodu oddających się temu rzemiosłu, wszelka struktura administracyjna włącznie do gminy unicestwiona.

W początkach marca 1918 roku został powołany do Zarządu Krajem ustrój Cywilno-Administracyjny z p. Kolankowskim jako komisarzem na czele; co za syzyfowa praca czekała tego człowieka, trzeba było organizować kraj, karmić wymierających, rozporządzając bardzo skromnymi środkami materialnymi.

Człowiek ten pracował po 20 godzin dziennie, tworząc szkic administracji, angażując ludzi, sam wydzielając ze szczupłych środków kwoty pieniężne dając Starostwom na zorganizowanie się od 30 do 60 tysięcy marek na poszczególne Starostwo, dalsze środki na swą egzystencję musiało starostwo samo wynaleźć na miejscu.

Pierwszymi starostami byli: w Brześciu Marjan Zbrowski, w Kobryniu Aleksander Linkie, w Prużanie

Jan Sienkiewicz, w Wołkowysku Sulistowski, w Słoniemiu Hłasko, w Włodzimierzu Wołyńskim Krzyżanowski.

W Brześciu w osobie pana Wojewódzkiego był stworzony organ o nieokreślonej kompetencji komisarza Okręgowego, był on łącznikiem Starostw i Władz Cywilnych z wojskiem.

Na terenie dzisiejszego Województwa Poleskiego i na dzisiejsze powiaty Baranowski, Nowogródzki, Słonimski, Wołkowyski był stworzony Okręg aprowizacyjny z Naczelnym Zarządem w Brześciu w osobie p. Józefa Bańkowskiego. Jaką była praca w tych warunkach bez środków lokomocji, bez pieniędzy, bez wskazówek z góry, a jeśli takowe otrzymywano — to były nieraz wprost do niewykonania, gdzie przy rozwoju życia personel operował milionami bez kas, bez mieszkań, że przekazywano nieraz sumy bez liczenia jeden drugiemu, bo nie było fizycznie czasu na liczenie — to brak nadużyć i defraudacji można wytłumaczyć tylko wysokim napięciem moralnym pracowników. W miarę rozszerzania się naszych terenów, zjawia się konieczność więcej ścisłego organizowania życia.

W czerwcu, czy maju następuje zmiana na stanowisku pana Komisarza, ustępuje Kolankowski, obejmuje stanowisko jego — p. Osmałowski. Kraj dzieli się na trzy Województwa, nazywane Okręgami: Wileński z Naczelnikiem p. Niedziałkowskim, Brzeski z Naczelnikiem p. Jamontem Maciejem, na Wołyniu nazwiska nie pamiętam. Zaczyna się centralizacja władzy, ujednolicanie zarządzeń Starostw. Jakie warunki pracy były dotychczas świadczą fakty.

Starosta Krzyżanowski musiał wydać swoją powiatową monetę i znaczki pocztowe, Starosta Pruszyński drukował banderole dla stworzonej przez się akcyzy, jako Naczelnik Aproprowizacji, z ramienia Komisarza Generalnego i Ministra Aproprowizacji p. Minkiewicza, mając składy aprowizacyjne w Brześciu i Wołkowysku, nie mogłem dostać początkowo ani funta mąki, gdyż składy były własnością PUZAPU i mówiono mi, że wszystkie pełnomocnictwa Ministrów bez asygnaty pana Olejnika waloru nie mają.

Z p. Olejnikiem był zatarg Zarządu Cywilnego, pan Olejnik żądał gwarancji Rządu Polskiego za należności Zarządu, którego stan prawny nie był ustalony.

W chwili tak krytycznej robię awanturę na poczekaniu w Zarządzie PUZAPU i na poczekaniu w ciągu pięciu minut zapada uchwała, mocą której, mnie, Bańkowskiemu, udziela się kilkumilionowy kredyt w magazynach.

Po zorganizowaniu Województw przystępuje się do budzenia życia produkcyjnego. Wydział Rolnictwa obejmuje Zygmunt Czerwiński, człowiek wielkiej energii i rzutkości.

Zaczyna się rozdawnictwo nasion. Pod kierownictwem dr. Polikowskiego przystępuje się do walki z epidemiami [tyfusu i malarji,] dziesiątkujących ludność.

Na stanowisko kuratora naukowego zostaje powołany p. Wolbek, otwierają się szkoły średnie w Brześciu, Słoniemiu, Wołkowysku, gimnazjum w Pińsku, Łunińcu, Kobryniu.

W ciągu jednego roku otwiera się sto kilkadziesiąt szkół ludowych. Jaka to była praca zrozumie ten, kto znał zniszczenie kraju. Otwiera się szkoły w zniszczonych chatach włościańskich, tworzy się personel nauczycielski na poczekaniu w czasie kursów letnich dla nauczycieli, skąd było brać nauczycieli na terenach Polesia, gdy brakło ich w Kongresówce? Zwiedzając szkoły ludowe przychodziło się w podziw nad osiągniętymi rezultatami.

Porównując te rezultaty z takimiż byłymi szkołami rosyjskiej, organizowanej w ciągu lat wielu, przy zasobie środków pieniężnych, przychodziło się do konkluzji, że jednak w rusinie poleskim musi być dużo krwi polskiej, że język polski jest mu łatwiej-

szym do ujęcia od rosyjskiego.

W powiecie Kobryńskim, w dziedzinie ochroniarstwa dla sierot, którymi było przepełnione Polesie, wyjątkowo intensywną działalność rozwiniął starosta Kobryński — Andracki; tworzy on ochronkę na trzydzieści dzieci w Kobryniu, w Tarakanie, Drohiczyń, Janowie.

Ochronki są prowadzone bez żadnego nacisku w kierunku katolicyzmu lub polskości i dzięki temu otoczone miłością tubylczej ludności, wytwarzają podłoże podatne dla rozwoju polskiej państwowości i kultury.

Streściwszy w krótkich zarysach te półtoraroczne rzędy p. Osmałowskiego zaznaczyć muszę, iż jednolitość pracy była nieraz wstrzymana dzięki krzyżują-



PIŃSK. WNETRZE KOŚCIOŁA po-FRANCISZKAŃSKIEGO.

cym się prądom władz naczelnych: inkorporacji Kresów lub kierunku federacyjnego i jeśli koncepcje warszawskie miały skłonność w kierunku federacyjnym, to należy stwierdzić, że na miejscu organa stykające się z życiem Polesia—były prawie z reguły temu kierunkowi przeciwne.

W życiu administracyjnym Polesia w sierpniu 1919 roku zaszła zmiana: na stanowisko wojewody został powołany p. Władysław Jeśman, p. Jamont objął Wołyn. Jakże były wysiłki, jakie omyłki, trudno wymienić; jedno da się stwierdzić niezbicie: Polska nie żałowała środków pieniężnych dla dźwignięcia Kresów, cała miejscowa inteligencja stanęła do pracy by urzeczywistnić zamierzenia państwowe, a gdy były omyłki—to jak miało być inaczej, wszak każdy z nas podejmował pracę w dziale, w którym dotychczas nie pracował, lecz wszędzie czuć było miłość sprawy i miłość Polski, a rezultat: zdawało się, iż kraj już się dźwiga z upadku, aprowidować go dalej nie trzeba będzie. Bilans jego zaczynał się stawać aktywnym, ludność zaczęła płacić podatki, zaczęto przenosić pewne ciężary ze skarbu na samorządy.

Lecz widać, czara goryczy Polesia dopitą jeszcze nie była; przychodzi fatalny lipiec 1920 roku, ofensywa bolszewicka i odstępowanie wojsk naszych. W jakich warunkach następowała ewakuacja Kraju niech dla ilustracji posłużymy: w połowie lipca, jako zastępcę wojewody Brzeskiego, zostałem delegowany przez Komisarza Generalnego do Mińska do Sztabu Armii, po instrukcje jak kierować emigracją ewakuowanej ludności Mińskiego Okręgu. Otrzymałem na piśmie odpowiedź iż Mińsk będzie się trzymał co najmniej dwa tygodnie, poczem armja odstąpi na linię starych okopów niemieckich, w najgorszym razie na linię Grodno-Janów-Iwacewicz. Ludność ewakuowaną nie wolno w żadnym razie puszczać za Bug, a osiedlać między Bugiem a linią Grodno-Janów. Otrzymałszy rozkaz w południe, pojechałem do Wilna zdać raport Komisarzowi Generalnemu, a w Wilnie już był popłoch, że wieczorem wyewakuowano Komisarjat Generalny i tylko nadludzkim wysiłkom Landsberga, dyrektora Kolei Poleskich i Nelarda, dyrektora Poddyrekcji Brzeskiej, którego pracę wypadło obserwować bezpośrednio, zawdzięczać należy, iż udało się dokonać ewakuacji. Nie mogę nie zaznaczyć, iż zadanie nie było wyłącznie

łatwe na odcinku Pińskim, bronionym przez grupę Generała Sikorskiego, tu nas nie spotkała żadna niespodzianka, wojsko cofało się wedle zakreślonego planu, współdziałając władzom cywilnym w ich pracy.

Przy ewakuacji wszyscy Starostowie spełnili swój obowiązek, lecz wyróżnić należy Starostę baranowickiego Rdulowskiego, który wysławszy Starostwo kolejną, sam konno na czele policji odstępował do Bugu z linią frontu, poprawiając mosty, jak również współdziałając wojsku.

Starosta kobryński p. Adam Bobiński, będąc z policją na miejscu do ostatniej chwili po wysłaniu urzędników i Starostwa, został postrzelony przez bandytów, gdy stał w obronie, rabowanej przez opryszków mieszkanki Kobrynia p. Karpińskiej.

Od chwili cofnięcia się naszych wojsk za Bug, pierwsze dni sierpnia, do powrotu po rozbiciu ofensywy bolszewickiej nad Wisłą upłynął mniej więcej miesiąc.

W początku września armja generała Berbeckiego przekroczyła Bug i zajęła Brześć nad Bugiem.

Upadł p. Osmołowski, Zarząd Cywilny został przemianowany w Zarząd Terenów Przyfrontowych z p. Raczkiewiczem na czele.

Wydaje się zarządzenie wbrew na całym świecie egzystującej praktyce, że władze cywilne, ewakuowane z pewnych terenów w czasie działań wojennych, wracają natychmiast na swe miejsca urzędowania, by znając stosunki miejscowe, leczyć rany i krzywdy przez wojnę zadane, wydaje się zarządzenie o formowaniu uzupełnień nowych kadrów urzędniczych.

Daje się dyrektywę, iż nikt z byłych urzędników

nie może urzędować w miejscu dawnego urzędowania, na przykład: Starosta Piński ze stałym swym aparatem starościńskim, jest naznaczony do Brześcia, Zasławski do Pińska i t. d.

Jeśli dodać, że wszystkie archiwa i papiery byłego Zarządu Cywilnego zatrzymano w Poznańskim, gdzie likwidowano Zarząd Cywilny, że wielu urzędników urzędowało jakoby na miejscu w Starostwach, a jednocześnie likwidowało swe Urzędy w Poznańskim, że został wydany rozkaz, w którym, stwierdzając jeszcze brak władz sądowych na miejscu, Starostom pod surową odpowiedzialnością osobistą ingerować zabezpieczenie praw własności osób obrabowanych, że angażowano ludzi byłego Zarządu Cywilnego bez zaciągania o nich opinii u byłych władz, to nie



HORODYSZCZE, POW. PIŃSKI.

WNĘTRZE KÓŚCIOŁA.

dziwnego, iż w kraju powstał chaos nie do opisanego, że o zakupie kartofli zaczęto myśleć w listopadzie, gdy nastały mrozy, że mimo wielkich zapasów soli i nafty nie dostarczano tych artykułów na tereny przyfrontowe, a przydział tych artykułów trafił w ręce niepożądane.

Za to budowano w kancelarii przyfrontowej w Warszawie, dziwny aparat administracyjny, gdzie miano ująć całe życie w ramki państwowe, byli przewidywani referenci od dostarczania opału, siana, referenci od nadzoru nad młynami, dzielono kraj na dziwne jednostki terytorjalne, powiat Sarnieński i Kamień-Koszyński oderwano od Wołynia, tworzone nikomu

niepotrzebne powiaty, jak Białowiecki lub Kossowski, gdzie nie było nawet gdzie ulokować Starostwa.

Ile te wszystkie zarządzenia kosztowały zdrowia i pieniędzy rządowych, ile przysporzyły im niepotrzebnych cierpień i katuszy, ile miliardów kosztowała ta niefortunna antrepreza Państwo Polskie — osądzi historia jej twórców.

Po czterech miesiącach chaosu przyfrontowego spostrzeżono się w popelniczej omyłce i ku radości całej ludności, przystąpiono znów do likwidacji osłabionych terenów przyfrontowych, by zacząć wcielać Polesie do Państwa Polskiego.

Józef Bańkowski.

Upoważnione przez Główny Urząd Ziemi do przeprowadzania parcelacji
w województwach wschodnich

Towarzystwo Parcelacyjne Kresów Wschodnich

sp. z ogr. odp.

Centrala: Warszawa, Chmielna Nr. 21, telefon 415-76.

Na terenie powiatów Brzeskiego, Kobryńskiego, Drohczyńskiego, Pińskiego,
Łuninieckiego, Sarnieńskiego, Kamień-Koszyńskiego, Kossowskiego i Prużań-
skiego działu

Oddział Poleski

PIŃSK, ul. Henczarska 18.

Rachunek czekowy w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr. 61-400.

PRZEDSTAWICIELSTWA ODDZIAŁU POLESNEGO:

1. Brzeskie Okręgowe Towarzystwo Rolnicze
Brześć n/B. ul. Dąbrowskiego Nr. 5.
2. Gdańsk, Vorst. Graben Nr. 56.

Oddział Poleski posiada zorganizowane następujące działy:

DZIAŁ URZĄDZEŃ ROLNYCH — parcelacja posiadłości ziemskich, regulacja serwitutów, komasacja gruntów, pomiary na gruncie, wykonywanie i kopiowanie planów i t. p.

DZIAŁ KOMISOWY — pośrednictwo w kupnie i sprzedaży majątków ziemskich, placów, domów, zakładów przemysłowych i t. p.

DZIAŁ LEŚNY — szacowanie i ocena lasów; urządzenie gospodarstw leśnych; pośrednictwo w sprzedaży i kupnie lasów i materiałów leśnych i t. p.

DZIAŁ PRAWNY — informacje i porady prawne, sporządzanie aktów i umów.

TOWARZYSTWO PARCELACYJNE KRESÓW WSCHODNICH

ma na celu tworzenie zdrowych społecznie i ekonomicznie silnych jednostek gospodarczych ze specjalnym uwzględnieniem lokalnych warunków. Znaczną część zysków przekazuje na cele społeczne i kulturalne, imierające do pomysłowego rozwoju wschod. ziem Państwa Polskiego.

Staroobrzędowiec Iwan Rybnikow



Czekałam kilka dni na spotkanie z Panem Iwanem Rybnikowem. Żle się czułam, ponieważ przed moim przyjazdem do Widz sam kosił trawę w swoim ogrodzie, co jest wyzwaniem w jego wieku. Jednak nareszcie stan jego zdrowia poprawił się i pozwolono mnie przyjąć. Na mnie czekał siedząc na ławce siwej jak gołąbek człowiek: siwe włosy, siwe brwi, i siwa bujna broda. Wzrok mądry i dobry.

Witam się - Здравствуйте, Иван Иванович! - Uśmiecha się i odpowiada dobrą polszczyzną - Dzień dobry, Pani. Widzi moje zdziwienie - przecież przyszłam do staroobrzędowca - uśmiecha się znów i mówi dalej - Jestem Polakiem. Nadal jestem bardzo zdziwiona, ponieważ wiem, że nie było wśród Polaków staroobrzędowców i łapię siebie na myśli, że jednak mogę się mylić. Pan Iwan znów uśmiecha się i opowiada już w języku rosyjskim: Urodziłem się w Polsce i mieszkałem tam do 18-go roku życia, chodziłem do polskiej szkoły, więc Polska nie jest dla mnie obcym krajem. Owszem, jestem Rosjaninem, ale z wielkim poczuciem miłości do Polski. My kochaliśmy Polskę. Jestem bardzo wzruszona i notuję, że wielu ludzi mówi „przy Polsce”, a Pan Rybnikow - „w Polsce”. Że jest to wielka różnica, przecież „przy” oznacza „obok”, a „w” znaczy „w środku”.

Pytam go o tym jak wiodło się jego rodzinie za czasów Polski, czy odczuwał niepokój choć kiedykolwiek z tego powodu, że był staroobrzędowcem i chodził do polskiej szkoły. Nie - mówi. Nigdy nie odczuwał, że jest inny, obcy. Czasami ktoś z dzieci mógł powiedzieć na niego „moskał”, ale zawsze w takiej sytuacji miał wsparcie od nauczycielki, gdyż ona, poprawiając ucznia mówiła - „Nie moskał, lecz staroobrzędowiec”. Bardzo miłe wspomnienia zostały u niego o pierwszej nauczycielce, krakowiance pani Marii Kwiatkowskiej. Podziwiał do dziś jej sposób bycia, taktowne zachowanie, łagodną twarz, eleganckie stroje i, oczywiście, jej zrozumiałe tłumaczenia. Żal - jak mówił dalej - po wojnie już nie było nauczycielek z taką klasą.

Od I do IV klasy do szkoły chodzić można było bezpłatnie.

Mówił, że za czasów Polski można było modlić się w języku jakim tylko zechcesz. W szkole nigdy nie krzywdzili go i nie zarzucali mu, że jest Moskałem (kacapem). W szkole, do której chodził pan Rybnikow, religia była nauczana jako jeden z przedmiotów, a do szkoły chodziły dzieci różnych wyznań, więc w różne dni uczono ich religii. Staroobrzędowcy byli uczeni we czwartek - dobrze to pamięta.

Opowiadał o rodzinie. Przecież cała rodzina mieszkała na terenach, które były całkowicie zrujnowane w czasach pierwszej wojny światowej. Bardzo dobrze zaczęli żyć za czasów Piłsudskiego. Odetchnęli wtedy z ulgą. Wtedy wielkie jeziora były własnością prywatną, nie brakowało jednak i małych jezior i rzeczek, w których można było łapać rybę dla siebie na jedzenie i na sprzedaż. Ojciec trzymał pasiekę, wydzierżawił 17 hektarów ziemi. Owszem, było bardzo trudno - jak

wspomina - ale jak inaczej może być po wojnie, gdy wszystko zostało spalone i wszystko trzeba było zaczynać od początku: budować domy, odnawiać gospodarkę. Dlatego każdy pracował i w dzień i w nocy, ale były i zyski. Za sprzedaną rybę kupowali odzież, za bydło - maszyny i inwentarz rolniczy.

A w roku 1939 przyszli Sowieci...

Opowiadał o tym, jak za czasów Polski stanowiono się z kapłanami staroobrzędowcami. Człowiek, który ubiegał się o posadę popa, powinien był skończyć 50 lat, dobrze wychować swoje dzieci, otrzymać potwierdzenie od popa i księdza, że jest uczciwym człowiekiem, nie uczęszczającym do kółek politycznych i nie zajmującym się polityką.

Opowiadał dużo ciekawych rzeczy, rozmyślał nad tym, jak wcześniej żyli między sobą ludzie. Mówił, że kiedy mieszkał na wsi, wszyscy nawzajem się witali, szanowali, każdy człowiek dobrze znał drugiego, dzielili z sobą biedę i radość. I niech my byli różnych narodowości - mówił - my byli jednym narodem.

Potem z blaskiem w oczach mówił - tutaj, we Widzach, wielu Polaków nie zna już swojego języka ojczystego, wstyd! Co to za Polaki! My, staroobrzędowcy, w swojej historii przeżyli prześladowania, byli gonieni, nam nie dawano w Rosji modlić się, nie było naszych szkół, ale my nigdy nie przestaliśmy mówić w swoim języku, nie zapomnieliśmy o swojej wierze i piśmiennictwie staroruskim.

A potem nieoczekiwanie zaśpiewał - Przybyli utani pod okienko... - i głos jego leciutko drżał, a z moich oczu płynęły łzy.

Było już późno, żegnałam się, chociaż rozmowa mogła toczyć się dalej. Wstał z ławki, pożegnał się, oparł na sękach kiju, zrobił się trochę zgarbiony, a wówczas uświadomiłam sobie, że rozmawiałam ze starcem. W rozmowie to nie było widoczne, umiejętność wypowiedzi, jasny wzrok, spowodowały, że nie odczuwałam jego wieku.

Tak i został pan Iwan w mojej pamięci z siwymi włosami, młodymi oczami i drżącym sercem. Czas oczywiście dopiął swego, ale on nadal jak dobry ogrodnik, który codziennie podcina różę, kosi odrastającą trawę, pozostał w swoim ogrodzie.

- To, co powinno być zrobione, powinno być zrobione zawsze, powiedział na pożegnanie.

Teresa Puńko
Brześć

PS.

W Widzach staroobrzędowcy osiedlili się już w XVIII wieku. Okrutne prześladowania wyznawców starej wiary (zaczęło się z 1667 r.) spowodowały ich ucieczki przed represjami i tak oni dotarli na Brześzczynę. W tych czasach ten teren odnosił się do Litwy, gdzie staroobrzędowcom było pozwolono swobodnie wyznawać swoją wiarę. W Widzach było jedno z największych skupisk wyznawców tej wiary na Kresach. Po włączeniu ziemi brzeskiej do Rosji staroobrzędowcy znowu byli prześladowani aż do 1905 roku, dopóki car Nikołaj II nie wydał manifestu o tolerancji religijnej. Wspólnota Widzowska została stworzona w roku 1764. W tym że roku była oświęconą pierwszą świątynią, a w roku 1887 była zniszczona pożarem.

Cerkiew staroobrzędowców pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny była odbudowana w 1905 roku i zniszczona w 1916 r. w pierwszej wojnie światowej Niemcami, i została znów odbudowana w 1920 roku. W czasach międzywojennych ta wspólnota liczyła ponad 2500 wyznawców.

W 1999 roku wspólnota widzkiej wiary świętowała uroczystość 235-lecia. Wśród innych świątyń staroobrzędowskich molenna znajdująca się w Widzach jest jedną z największych pod względem powierzchni.

Cerkiew znajduje się na liście Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO.

List z Kowla

POLICJANT Z POLESIA

Jest to kolejna historia z września 1939 roku. Był to czas próby dla tych wszystkich obywateli, dla których dobro ojczyzny stanowiło najwyższą wartość. Swoją postawą i czynem zasłużyli na to, że dziś nazywamy ich bohaterami wojny obronnej 1939 roku. Wśród nich byli ludzie z różnych warstw społecznych, przedstawiciele różnych zawodów, ale w chwili grozy połączyło ich wspólne poczucie patriotyzmu. Szczególną grupę wśród nich stanowili funkcjonariusze Policji Państwowej, którzy do końca wytrwali na swych posterunkach, pełniąc służbę w obronie życia i mienia współobywateli. Jednym z nich był aspirant Władysław Feliks Popieliński, pełniący w 1939 roku funkcję zastępcy komendanta powiatowego PP w Kamieniu-Koszyrskim.

Przyszła na świat dnia 5(18) maja roku 1900 w majątku Bogusławce niedaleko Prużany, ze związku Józefa Jana Popielińskiego i Wandy Eugenii z Komorowskich. Został ochrzczony w kościele pw. Wniebowzięcia N.M.P. w Prużanie dnia 9 sierpnia. Ojciec Józef Jan obejmował w majątku stanowisko gorzelnika, a w 1904 roku przeniósł się do majątku Zababie, też w okolicy Prużany. Natomiast gdy za kilka lat wybudowano gorzelnię w samej Prużanie – przeniósł się z rodziną do miasteczka. To bardzo ucieszyło jego żonę Wandę, ponieważ była nauczycielką i chciała aby ich dzieci mogły uczęszczać tu do szkoły. Niestety w 1907 roku, w październiku, matka umiera i ojciec zostaje sam z czworgiem dzieci. Siedmioletni Władysław zostaje wywieziony przez ojca do teściów (Komorowskich) zamieszkających w miejscowości Skulsk aż pod Koninem. Tam chłopiec przebywa do ukończenia 12. roku życia.

W 1910 roku Józef Jan ponownie się ożenił. Nowa pani Popielińska, mająca na imię Florentyna, bardzo dbała o dzieci. Chociaż był to zabór rosyjski i dzieci musiały uczęszczać do szkół rosyjskich, to rusyfikacja w rodzinie Popielińskich nie miała szans na „zebranie owoców”. Macocha opowiadała dzieciom o historii Polski, czytała wiersze patriotyczne, uczyła pieśni. W 1912 roku Władysław Popieliński wraca od babci do domu. Dwunastoletni chłopiec musiał sam przebyć daleką drogę od Skulsk do Prużany. Wujek Komorowski wsadził chłopca do pociągu w Koninie, prosząc konduktora o to, żeby w Warszawie przesadził siostrzeńca do pociągu jadącego w głąb Rosji. Władysław wysiadł na stacji w Liniowie i pokonał na piechotę 15 kilometrów do Prużany, co dla jego wieku było dosyć dużym wysiłkiem. Na jesieni poszedł do szkoły rosyjskiej, która była odpowiednikiem dzisiejszego liceum ogólnokształcącego. Tam musiał pokonywać kolejne trudności, ponieważ naukę prowadzono w języku rosyjskim, a u dziadków chłopak nie miał z nim kontaktu. Pierwsza wojna światowa przyniosła rodzinie Popielińskich wiele

wyrzeczeń i nawet nędzy. Zostali zmuszeni przez władze rosyjskie do opuszczenia miejsca zamieszkania. Wędrowka ta trwała dłuższy czas, aż do wkroczenia do Prużany wojsk niemieckich. Powrót do domu jednak nie był do końca szczęśliwy. Okazało się, że gorzelnia została zrujnowana i naprawa jej nie była w tym czasie możliwą. Więc nie było też pracy. Dla rodziny znów zaczął się okres wędrowki. Ojciec Józef zmienił kilka miejsc pracy, przenosząc się do różnych miejscowości od Kodnia aż do Pokaniewa w województwie białostockim. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Władysław Popieliński zaciągnął się wraz z kolegami do wojska. Dla młodego człowieka zaczął się kolejny okres życia, tym razem w służbie dla odrodzonej Ojczyzny. Już 7 stycznia 1919 roku otrzymuje przydział do 2. Pułku Legionów, stacjonującego w Pińczowie i po dosyć krótkim przeszkoleniu zostaje skierowany na front wschodni do walki z bolszewikami. Walki oczywiście były zaciekle, a młodego państwa nie było stać na wyposażenie wojska w odpowiedni sprzęt zbrojeniowy, amunicję, środki medyczne czy aprowizację. Władysław był dobrym i zdyscyplinowanym żołnierzem i mężnie znosił trud żołnierskiego życia. Po dwóch latach walk został ranny i był na leczeniu w Pińsku, gdzie z kolei dokuczał mu głód. Dnia 8 lutego 1922 roku został awansowany do stopnia plutonowego i przeniesiony do rezerwy. Ale to nie był ostatni jego kontakt z wojskiem. W 1931 roku został powołany na ćwiczenia już w stopniu podchorążego, a w dniu 1 września tegoż roku z lokatą 218 mianowano go podporucznikiem rezerwy Wojska Polskiego. Natomiast dwa lata później, 1 października 1933 roku otrzymał „Patent oficerski” podpisany osobiście przez Ministra Spraw Wojskowych – marszałka Józefa Piłsudskiego.

W tym miejscu musimy jednak cofnąć się o kilka lat i dowiedzieć, co się działo w międzyczasie z jego rodziną. Brat Stanisław po ukończeniu 21 lat został powołany do służby czynnej i otrzymał przydział do łączności w Twierdzy Brzeskiej. Natomiast ojciec z resztą rodzeństwa przeniósł z powrotem na Polesie, do miejscowości Zieleniewi-



Legitymacja aspiranta Policji Państwowej

ce koło Różany, gdzie objął posadę gorzelnego. A w 1929 roku do Żandarmerii Wojskowej został powołany ostatni z braci – Marian. Służbę odbywał w Grodnie. Władysław Popieliński po przeniesieniu do rezerwy, postanawia zgłosić się jako kandydat do pracy w Policji Państwowej. Podanie złożył do Komendy Policji Państwowej Okręgu XIV Poleskiego w Brześciu nad Bugiem. Komisja weryfikacyjna przyjęła go do pracy z zaliczeniem ciągłości służby od 1 maja 1922 roku. Władysław musiał uzupełniać wykształcenie fachowe, żeby radzić sobie z nowymi obowiązkami. W 1923 roku poznaje w Brześciu swoją przyszłą żonę Wierę, z domu Rabczuk. Ślub biorą w miejscowym kościele w 1924 r.

Pełnić służbę w Policji Państwowej młody policjant pracował sumiennie, co zostało oczywiście docenione przez przełożonych. I tak w Wigilię Bożego Narodzenia 1927 roku Komendant Wojewódzki Policji Państwowej w Brześciu mianował Władysława Popielińskiego przodownikiem służby mundurowej. Było to dużym wyróżnieniem, które nie tylko podkreślało jego zaangażowanie i sumienność, ale też stawiało za wzór kolegom w pracy. A 31 grudnia 1930 roku Prezes Rady Ministrów RP odznaczył Władysława Popielińskiego Brązowym Krzyżem Zasługi. Pełniąc liczne obowiązki w Policji, Władysław kończy szkołę i zdaje egzaminy. Tak w marcu 1931 roku Komisja Egzaminacyjna przy Gimnazjum Państwowym

w Pińsku wydaje mu świadectwo uprawniające do odbycia skróconej służby wojskowej, co było odpowiednikiem matury. W swoje 38. urodziny Władysław Popieliński zostaje przeniesiony do pracy w Komendzie Powiatowej Policji Państwowej w Kamieniu-Koszyrskim. Był już w stopniu starszego przodownika P.P. i pełnił funkcję komendanta posterunku Policji Państwowej w Tomaszówce powiatu brzeskiego. 10 marca 1939 roku otrzymuje awans na aspiranta Policji Państwowej. Już w nowym miejscu służby przyjmuje następne odznaczenie – Srebrny Medal za Długoletnią Służbę.

Tak, w wielkim skrócie, można opisać życie i służbę naszego bohatera w wolnej Polsce. Został aresztowany przez NKWD w końcu września 1939 roku w Kamieniu-Koszyrskim. Jak wspominała jego żona Wiera, stało się to na służbie, ponieważ był na posterunku do końca. Podobno sowietzi użyli podstępów, ogłaszając, że wszyscy urzędnicy muszą nadal pełnić swoje obowiązki, w tym też policjanci. Władysław Popieliński po kilku dniach aresztu został wywieziony do więzienia w Łucku. Razem z nim wywieziono jeszcze kilku policjantów. Nikt z nich, ani z członków ich rodzin nie mógł nawet spodziewać się, że jadą na śmierć, że będzie to śmierć niegodna i haniebna dla tych, którzy pragnęli walczyć za Ojczyznę i nawet umrzeć za nią, ale z bronią w ręku! Pani Wiera Popielińska wysłała mężowi do więzienia paczkę, a nieco później jeszcze 20 rubli, na



Komenda Powiatowa Policji Państwowej w Kamieniu Koszyrskim. Lata 30-te XX wieku



Przed posterunkiem Policji Państwowej
w Kamieniu Koszyrskim, rok 1939

które otrzymała pokwitowanie odbioru. Ale już od listopada da wszelki ślad po jej mężu zaginionym. Zrozpaczona kobieta wyjeżdża do Brześcia i już stąd pisze pismo do Okręgowej Prokuratury w Łucku z pytaniem o męża. Dopiero 14 listopada 1940 roku otrzymuje odpowiedź, z której dowiaduje się, że to sąd ma zdecydować o dalszym losie aresztowanego, ponieważ prokuratura zakończyła swoje czynności. Ta odpowiedź z całą pewnością była perfidnym i odrażającym kłamstwem, ponieważ jeszcze kilka miesięcy wcześniej wykonano wyroki śmierci i zamordowano zatrzymanych we wrześniu 1939 roku Polaków. Ale o tym rodziny dowiedziały się dużo później. (...)

Pan Edmund Popieliński, bratanek zaginionego, zebrał o swoim stryju dosyć duży materiał w formie wspomnień i dokumentów. Historia życia Władysława Popielińskiego - to kolejne odkrycie prawdy o tamtych okrutnych czasach. Pragnąc zapoznać innych z tą „ciernistą drogą” poszukiwań oraz utrwalić pamięć o stryju, pan Edmund postanowił wydać te materiały w formie książki. Z pomocą przyszli Ośrodek Szkolenia Policji w Gdańsku oraz Uniwersytet Gdański. I tak oto w 2007 roku została wydana publikacja pod tytułem: „Aspirant Władysław Popieliński – bohater wojny obronnej 1939 roku”.

Zbliżała się 70-ta rocznica Września. Pan Edmund zastanawiał się, co jeszcze może zrobić dla swego stryja? Nie wiadomo było gdzie jest grób bohatera, pragnął więc ufundować specjalną tablicę w ostatnim miejscu służby. Tablica wkrótce została wykonana. A w międzyczasie pan Edmund dowiedział się o tym, że na Wołyni od kilkunastu lat jeżdżą policjanci Komendy Wojewódzkiej z Lublina.

Wiele lat temu w kilku miejscowościach zostały odnalezione na cmentarzach groby policjantów II RP. Z czasem nagrobki zostały odrestaurowane, a działacze z Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych Policji co roku odwiedzają te miejsca pamięci, składają wieńce, zapalają znicze. Przez tych działaczy pan Edmund nawiązał także kontakt z piszącym te słowa, jako opiekunem miejsc pamięci. Wymieniliśmy kilka listów, pan Edmund również od czasu od czasu dzwonił z dalekiego Gdańska. W Kamieniu-Koszyrskim niestety nie zachowały się do naszych dni budynki posterunku i Komendy Powiatowej Policji. Zaproponowałem więc jedyne możliwe wyjście z tej sytuacji – umieszczenie tablicy pamięci w nowo wybudowanym kościele. Tak też się stało i dzięki przychylności nowego proboszcza o. Tadeusza Fostakowskiego, tablica została zamontowana i poświęcona w dniu 20 października 2010 roku. Mszę odprawił i przewodniczył całej uroczystości o. Augustyn Siciński, miejscowy wikary. Obecni byli parafianie oraz kilkunastoosobowa grupa policjantów z Lublina, którzy też przywieźli tablicę.

W ciszy i modlitewnym skupieniu stoimy pod zamontowaną na ścianie tablicą. Migoczą ogniki zapalonych jeszcze



Zdjęcie pamiątkowe przy tablicy

wczoraj lampek. Białe ściany świątyni w niezwykle sposób dodają powagi tej chwili. Kościół jest pod wezwaniem św. Michała Archanioła. To także Patron polskiej policji. Patrząc ukradkiem na jego duży obraz, zawieszony nad wejściem do zakrystii. Dziwne są czasem zrządzienia Opatrzności! A więc tablica znalazła się w jak najbardziej właściwym miejscu.

Anatol F. Sulik
Kowel

Szanowna Redakcjo,

Z przyjemnością biorę każdy egzemplarz „EP” do rąk, chociażby za jego misję patriotyczną, jaką spełnia. Szczególnie numer poświęcony Prużanom i jego 25 Pułkowi Ułanów Wielkopolskich. W swej kolekcji mam siodło tego pułku no i konie po słynnym ogierze El Passo, championie świata w r. 1968, sprzedanym do USA za milion dolarów. Z tych koni chcę uformować szwadron im. Leliwy Hoycewicza współdobrycy srebrnego medalu w WKW na olimpiadzie w Berlinie. Jest to wspaniała postać: ranny ucieka ze szpitala w Stryju. Przedostaje się do Warszawy i wstępuje do ZWZ a później AK. Dowodzi batalionem im. Kilińskiego zdobywając gmach PAST-y w randze pułkownika. Jest w Warszawie szkoła o profilu sportowym, która mając za patrona tak wspaniałego kawalerzystę, nie ma sekcji jeździeckiej. Mam nadzieję że pani dyrektor błęd naprawi i powstanie taka sekcja, którą wspomogę swoimi końmi. Mimo swych 86 lat trzymam się dziarsko w siodle.(...)

Prof. Henryk Marciszewski
Fundacja Ziola „Herbarz Polski”



Z dalekiej Australii

Szanowna Redakcjo,

Nazywam się Rysiek Przewłocki urodzony w Dubnie na Wołyniu a teraz zamieszkały w Australii przez ostatnie przeszło 60 lat. Nie wiem skąd otrzymałem „Echa Polesia”, ale dzisiaj przeczytałem wszystko od początku do końca i muszę przyznać, że dla mnie to było tak jakby obraz mojego życia pojawił się przede mną. Nigdy jeszcze nie znalazłem w żadnym wydaniu pism takich dokładnych historycznych faktów w jednym wydaniu.

Oczywiście bardzo mnie ciekawi „Katyń”, bo tam straciłem ojca policjanta z Dubna. Jan Przewłocki został wywieziony do Ostaszkowa, rozstrzelany w Twerze i pochowany w Miednoje. Mój kolega ze szkoły w Afryce dostał się do Kanady za pomocą ojca Lucjana Królikowskiego. Ja z nim do dzisiaj koresponduję.

«Była to czysta desperacja, głód zwyciężył strach». Tak pisze na stronie 68, kiedy mężczyźni postanowili ukraść jedną krowę. Ja sam miałem podobną okazję ukraść kurę, która przypadkowo dostała się do naszego pokoju w Uzbekistanie. W pokoju była tylko moja mama i ja, więc złapaliśmy kurę i ja jako ośmioletni chłopak pomogłem mamie tę kurę zabić, i dopiero w nocy spaliliśmy w piecu pióra tak aby śladu po tej naszej kradzieży nie było. Mieliliśmy nareszcie coś do jedzenia oprócz żółwi i trochę owoców, które udało się mnie od czasu do czasu ukraść. Zrobiłem się też specjalistą łapania żółwi, które mogliśmy jeść i tak przeżyliśmy nasze cierpienia i głód w „sowieckim RAJU”.

Podróż na Sybir, mrozy i głód też dobrze pamiętam. Tak pochowaliśmy mojego brata w wieku 7 lat. Po tych naszych tułaczkach nareszcie polski rząd dał mnie dwa lata temu „Krzyż Sibiraka”, ale niestety moja mama nie doczekała się tego Krzyża. Umarła w Perth (zach. Australia) w 1993 roku.

Gratuluję Redakcji za takie świetne wydanie „Echa Polesia” i cieszę się, że ono jakoś do mnie wpadło.

Z poważaniem, stary „Sybirak” z Melbourne

Rysiek Przewłocki



List z Pińska

Szanowna Redakcjo,

Pamiętam, jak w czasach II Rzeczypospolitej obchodziliśmy Dzień Niepodległości. Wychowywałem się w patriotycznej rodzinie, dlatego było to dla nas szczególnie święto. Byłem najmłodszy, uczyłem się wierszy o legionach, o Marszałku. Józef Piłsudski był dla nas osobistością kultową. Kiedy mnie jako małe dziecko pytano „Kim będziesz jak dorośniesz?”, odpowiadałem bez wahania, z dumą – „Piłsudskim”. Przez długi czas mnie w szkole tak i nazywali – „Piłsudski”. Ostatnio, 15 sierpnia oglądałem w TV „Polonia” program uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego, który mnie bardzo wzruszył i przypomniał tamte dni. Napisałem wiersz, wysyłam go do Redakcji.

(publikujemy fragment wiersza)

Ty Ojczysto piękna mowo,

Miłe każde Twoje słowo.

Pierwsze słowo było matuś,

Potem siostra, brat i tatuś

Brzmiały te słowa w mej pamięci,

Jak modlitwa, jak zaklęcie,

Przypomniały me dzieciństwo,

Dawne lata, Wojsko Polskie, pieśń skrzydlatą,

Którą śpiewaliśmy z bratem:

„My Pierwsza Brygada, strzelecka gromada,

Na stos rzuciliśmy nasz życia los na stos, na stos”.

Wiktor Mostek, Pińsk



List z Bydgoszczy

Szanowna Redakcjo!

W drugim numerze „Echa Polesia” z 2011 r. jest artykuł o „Bardzie Prużańskim”, śp. Panu Franciszku Lachockim. Był od 1918-1939 r. urzędnikiem w Inspektoracie Szkolnym w Prużanie. Stąd bardzo bliska znajomość i korespondencja aż do śmierci, z moją mamą Janiną z Tałkoczków-Pisankową (ur. W 1890 r., zmarła w 1981 r. w Bydgoszczy) – od 1918 r. nauczycielka – uczyła całe pokolenie mieszkańców Prużany. Zachowały się u mnie trzy książki Pana Lachockiego z dedykacjami odręcznie pisanym przez autora [...] Wiem także od pruzanki Ałły [...], że jeden z wierszy Pana Lachockiego jest przetłumaczony na język białoruski i zdobyła ten zbiorek z przetłumaczonym wierszem Franciszka Lachockiego: „Polesie”, posyłam także do Redakcji ze zbioru „Gniazda jaskółcze” str. 47, przesyłam także zdjęcia państwa Lachockich Jadwigi i Franciszka.

Przesyłam pozdrowienia

Janina Pisanko-Świeżewska

Redakcja wyraża Pani gorące podziękowanie za udostępnienie tekstów wierszy Franciszka Lachockiego część wierszy zamieszczamy w tym numerze, zaś wszystkie teksty Bardy Polesia znajdują się na stronie internetowej www.echapolesia.pl i będą służyły naszej młodzieży, nauczycielom i miłośnikom Polesia.

WARSZTATY MUZYCZNE W IWIEŃCU

W dniach 1-7 sierpnia w Iwieńcu już po raz IX odbyły się warsztaty muzyczne, gromadzące młodzież białoruską i polską, która wspólnie na chwałę Pana dzieliła się radością i rozwijała swoje talenty. Przypomnijmy, że warsztaty muzyczne mają swój początek w roku 2003, kiedy to proboszcz parafii p. w. Św. Michała w Iwieńcu O. Lech Bachanek OFM Cap udał się do Warszawy z prośbą o pomoc w nabyciu używanych instrumentów muzycznych dla chłopców z parafii, pragnących śpiewać i grać dla Jezusa. Lecz Pan Bóg miał o wiele lepszą propozycję. Po zapoznaniu się ojca Lecha z Panem Janem Pospieszalskim w sercach, pragnących działania i rozwoju, zrodził się wspaniały pomysł – przeprowadzić śpiewającą i grającą młodzież polską na Białoruś w celu dzielenia się doświadczeniem w śpiewie i graniu z młodzieżą białoruską. Pomysł został zrealizowany w tak zwanej „Muzycznej Majsterni” w Iwieńcu, która już od ośmiu lat gromadzi dzieci i młodzież chrześcijańską, mającą szczytne cele wielbienia Ojca Niebieskiego.

Warsztaty muzyczne - 2011 dla 5-osobowej grupy z Brześcia były prawdziwą przygodą. Każdy z nas uczestniczył w warsztatach po raz pierwszy, więc była to dla nas nie tylko wspaniała okazja nauczyć się śpiewać w dużym chórze, lecz też bezcenna możliwość zapoznania się z kreatywną młodzieżą ze wszystkich diecezji Białorusi oraz nauczycielami i gośćmi z sąsiedniej Polski. Każdy dzień warsztatów zaczynał się od wspólnej modlitwy w kościele, po modlitwie było śniadanie, po czym rozpoczynała się wspólna 3-godzinna próba, podczas której Zosia, dyrygentka z Polski, uczyła młodzież śpiewu na 4 głosy. Po próbie wszyscy gromadzili się na obiedzie. O godzinie 15 rozpoczynały się przeróżne warsztaty: śpiew uwielbienia, kółko teatralne, śpiew operowy, zajęcia dla plastyków, lekcje dla dyrygentów. Każdy

znalazł coś dla siebie i w tym najlepiej jak potrafi wystawiał Boga razem z innymi. Owocem warsztatów był „Koncert Majsterni”, który miał miejsce w nocy z 6 na 7 sierpnia podczas IV Międzydiecezjalnego Spotkania Młodzieży w Iwieńcu. Uczestnicy warsztatów przygotowali 1,5-godzinne przedstawienie teatralne, nasycone śpiewem i modlitwą. Tematem przedstawienia było 8 błogosławieństw. Nie da się wyrazić tych emocji i pozytywnych wrażeń, które napotkały nas podczas warsztatów w Iwieńcu. Jedyne, co mogę powiedzieć od siebie: warsztaty w Iwieńcu warto przeżyć, gdyż jest to niesamowite doświadczenie jedności i mocy w służeniu i wielbieniu Boga. Warsztaty muzyczne w Iwieńcu - 2012 czekają na Ciebie! Tobie się na pewno spodoba!

Marina Paniszewa

NOWE KSIĄŻKI

Redakcja „Ech Polesia” oraz Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza wydały w ostatnich tygodniach cztery kolejne pozycje książkowe. Są to:

- 1) **„Ks. Jan Wasilewski (1885-1948). Życie kapłana z Łotwy”** autorstwa Jadwigi Radzina z Jelgawy (dawna Mitawa) na Łotwie. Jest to biografia kapłana-męczennika, który w latach 1926-1945 był związany z Polesiem – m.in. jako profesor i rektor Seminarium Duchownego im. Św. Tomasza z Akwinu w Pińsku, dyrektor Męskiego Gimnazjum Biskupiego w Drohiczyńcu n/Bugiem, kanonik Kapituły Pińskiej, a wreszcie wikariusz generalny diecezji pińskiej. Obok biografii książka zawiera wspomnienia, kilkadziesiąt biografii księży, którzy byli współpracownikami, lub oskarżonymi i współwinnymi ks. J. Wasilewskiego. Książkę uzupełniają 124 ilustracje oraz streszczenia obcojęzyczne.
- 2) **„Szlakiem Nieposłusznych”** autorstwa Leonarda W. Konikiewicza jest wznowieniem I. wydania z 1998 r. Jest to dokument „dziejów Związku Obrońców Wolności i ich rodzin na Kresach Wschodnich, w archipelagu GUłag i w Stanach Zjednoczonych – 1945-1997. Zarys historyczny, stenogram wywiadów, wiersze, polemiki, listy, noty biograficzne, dokumenty, mapy”. Drugie wydanie książki jest wypełnieniem oczekiwań młodzieży na ten unikalny dokument ukazujący bohaterstwo młodych Polaków na Polesiu, którzy po II wojnie światowej podjęli tragiczną walkę w obronie polskości i religii katolickiej.
- 3) **„Polak z wyboru”** Aleksandra Siemionowa z Lidy to wspomnienia z życia i działalności społecznej na Ziemi Lidzkiej *homo sovieticus* – jak o sobie mówi autor. Wspaniały przykład świadomego przekształcania siebie na Polaka, który z determinacją i z wielką odwagą zrzuca się swej rosyjskości na rzecz postawy patriotycznej wobec Polski. Obok tego książka jest świadectwem i dokumentem odradzania się polskości w Lidzie i okolicy. Książkę uzupełniają 32 fotografie dokumentalne.
- 4) **„Kalendarz Polski 2012”**, wydawany od 1990 roku, obok kalendarium zawiera przykłady 12 godeł Polski tj. orłów – od czasów piastowskich do współczesności oraz zestaw wszystkich herbów 60 ziem i księstw I. Rzeczypospolitej Polskiej z centralną postacią Matki Boskiej Częstochowskiej. Kalendarz gratisowo otrzymują PT Prenumeratorzy „Ech Polesia”.

Wydawnictwa można zamawiać w Fundacji im. T. Goniewicza, ul. Kazimierza Wielkiego 9/60, 20-611 Lublin, Tel. 605-828-137, lub 81/747-6163, albo: e-mail: fundgon@gmail.com.

Z listu Alojzego Wierzbickiego

MOJA MAMA

Gertruda Wierzbicka-Szyszka z d. Andrynowska urodziła się 27 kwietnia 1915 roku w Krzywobłotach pow. Prużana, woj. poleskie (obecnie nie ma już tej miejscowości).

W 1935 roku wyszła za mąż za funkcjonariusza Policji Państwowej Władysława Wierzbickiego. Mój tata Władysław ur. 1898 w woj. warszawskim, w 1914 r. jako ochotnik wstąpił do II brygady Legionów Polskich, później służył od 1918 do 1923 w Wojsku Polskim, a od 1923-17.09.1939 w Policji Państwowej. 17.09.1939 jako komendant Policji w Motoku (pow. Prużana) otrzymał rozkaz opuszczenia posterunku i udania się w kierunku Kowla i od tego momentu wiadomości od taty już nie było. Zamordowany prawdopodobnie w więzieniu „Amerykanka” w Mińsku. Mój ojciec odjeżdżając powiedział do mamy „Jak w ciągu 2 tygodni nie wrócę, to wyjeżdżaj do rodziców na wieś Krzywobłoty”. Po 2 tygodniach nieobecności taty moja Mama wynajętą furmanką wyjechała do rodziców.

Mój dziadek, właściciel 70 ha gospodarstwa rolnego, prześladowany był przez NKWD jako kułak i z tego powodu zabrano cały dobytek. 20 czerwca 1941 roku, w nocy, przyjechało NKWD, dali 20 minut na spakowanie. Zawieźli nas na stację Bereza Kartuska, załadowano do bydłych wagonów po 40 osób. Przed odjazdem pociągu, zabrano z wagonu mojego dziadka Jana Andrynowskiego do więzienia w Brześciu. 20 czerwca 1941 roku jako ostatni zesłani wyruszyliśmy na Sybir, było nas 7 osób: moja mama Gertruda (25 lat), babcia Andrychowska Jadwiga (51 lat), siostra mojej mamy Maria (15 lat), bracia mamy: Józef (20 lat), Stanisław (13 lat), Wincenty (11 lat) i ja, Alojzy – syn, miałem wtedy rok i 3 miesiące.

Jazda pociągiem do Nowosybirsk – 2 tygodnie. Z Nowosybirsk przesiedliśmy się na statek „Aleksander Newskij”, którym popłynęliśmy do posiołka Togur-Narymskiej Kraj.

W tartaku przy przeładunku drewna pracowali wszyscy, oczywiście za wyjątkiem mnie i mojej babci. W 1944 r. z Syberii przywieźli nas do Stawropolskiego Kraju – Kachstanu.

1946 rok – powróciliśmy do Kraju, do Polski.

Dzięki wytrwałości, szczerzej wierze oraz wielkiemu patriotyzmowi, mama była przez całe życie przykładem dla nas wszystkich, jak żyć uznając zgodnie z przykazaniami bożymi.

Mama często wspominała kardynała Kazimierza Świątka, który podobnie jak my, był deportowany na „niehumanitarną ziemię”. Wspominała, że w 1939 r. uczestniczyła często we Mszach świętych odprawianych w Prużanie przez księdza proboszcza Kazimierza Świątka.

Dla mnie moja mama była świętą, tak ją postrzegam.
Cześć Jej Pamięci.

Syn – Alojzy Wierzbicki

MÓJ OJCIEC

Władysław Wierzbicki ps. Sawa”

Władysław Wierzbicki urodził się 20 czerwca 1895 roku w Olszewicach, pow. Mińsk Mazowiecki, w rodzinie Wiktora i Emilii z Lewandowskich. Do piętnastego roku życia wychowuje się i kształci przy rodzicach w Warszawie, tam też kończy cztery klasy gimnazjum. W 1913 r. opuszcza Warszawę i wyjeżdża do rodzeństwa w Kielcach. Tam zastaje go wojna światowa. W sierpniowych dniach 1914 r. Władysław Wierzbicki jest świadkiem wkroczenia oddziałów polskich do Kielc. To oddziały strzeleckie komendanta Józefa Piłsudskiego, 12 sierpnia 1914 r. zajmują miasto. Jednak ku ogólnemu rozczarowaniu Piłsudczyków mieszkańcy Kielc nie okazują specjalnego entuzjazmu szarej piechocie w maciejówkach. Wydaje się, że w pamięci kielczan tkwią jeszcze represje popowstaniowe. Obawy mieszkańców były uzasadnione, bowiem oddziały Piłsudskiego wyparte z Kielc na krótki czas, po walkach i utarczkach 23 sierpnia ponownie weszły do miasta.

Choć starsi kielczanie widzieli tylko kłopoty w oddziałach strzeleckich, entuzjazm ciągle tkwił w młodych, była bowiem to pierwsza od wielu lat okazja włączenia się do walki o niepodległość Polski. Kapelan 1 Brygady Legionów Polskich ojciec Kosma Lenczowski w swych pamiętnikach pisał: propaganda mało skutkowałą. Powiadają, że ks. bp Łosiński zakazał rozgrzeszać idących do Legionów. Bujda to zapewne, ale pewne to, że nam nieżyczliwy. Zebrało się jednak 800 ochotników. Kwaterują w gimnazjum, ćwiczą, a gdyśmy uchodzili z Kielc, wywieziono ich do Galicji i wcielono do II Brygady i wysłano w Karpaty. „Wśród tych ochotników znalazł się Władysław Wierzbicki. 10 września 1914 roku zostaje wcielony do 2 pułku piechoty Legionów formującego się w Krakowie. Z pułkiem tym wyjeżdża na front w Karpaty Wschodnie. Biorąc udział w kampanii zimowej II Brygady zachorował na tyfus. Leczony w szpitalu w Krakowie, po opuszczeniu, którego 9 lipca 1915 roku zostaje przydzielony do 4 pułku piechoty i skierowany do pracy w biurze werbunkowym w Opocznie. Rozkazem Komendy 4 Pułku 12 października 1915 mianowany jest do stopnia kaprala. W grudniu 1915 roku zostaje wysłany na front z przydziałem do 5 kompanii, kiedy pułk toczy walki pozycyjne pod Optową. Tam 7 kwietnia 1916 roku otrzymuje kolejny awans na plutonowego. 4 lipca 1916 roku ruszyła gwałtowna ofensywa rosyjska gen. Brusilowa przełamując front nad Styrem. W owym czasie oddziały legionowe obsadzały odcinek frontu – Wołczek, Kostiuchnówka-Optowa. W skutek naporu przeważających sił rosyjskich następuje odwrót pułków legionowych. W dniu 6 lipca Rosjanie ponowili ataki z jeszcze większą gwałtownością. Zacięta walka rozgorzała na całym odcinku, szala zwycięska przechylała się ponownie na korzyść pułku. Nacierające fale piechoty rosyjskiej kładły się pokotem na polach minowych i wśród przeszkód druczanych. I wtedy,

w decydującym momencie, w najgorętszym wirze walki, przychodzi rozkaz do odwrotu. Nie było chwili do stracenia, gdyż pułk oskrzydłony z prawej strony, niebawem mógł być zupełnie odcięty. Dla powstrzymania nieprzyjaciela i osłony odwrotu pozostawiają bataliony po jednej kompanii, reszta wycofuje się pośpiesznie, wywalczając sobie bagnietem przejście przez zastępujące jej drogę szeregi rosyjskie. W ten sposób, dzięki ofiarnej postawie pozostałych kompanii, okupionej ciężkimi stratami, udaje się pułkowi oderwać od nieprzyjaciela. Najwięcej ucierpiał: 11-ta kompania, z której jedynie podporucznik Jażdżyński z 4 szeregowymi zdołał się przebić, oraz 5-a kompania, która w zacieklej obronie straciła w zabitych, rannych i wziętych do niewoli większość swego stanu szeregowych i wszystkich oficerów, wśród nich swego dowódcę, dzielnego i powszechnie lubianego kapitana Zulaufa. W walce tej Władysław Wierzbicki został ranny w prawą nogę powyżej kolana. Po wyleczeniu skierowany zostaje na Kurs Podoficerów Piechoty w Zegrzu /I pluton, 3 kompania rekrucka/, w którym uczestniczy od dnia 11 stycznia do 1 lipca 1917 roku. Jako ówczesnego dowódcę 4 pułku piechoty wymienił pułkownika Roję, dowódcę kompanii - Erwina Więckowskiego, dowódcę plutonu - Jędrzychowskiego, a sierżantem sztabowym był Klatka. W lipcu 1917 roku na skutek odmowy złożenia przysięgi plut. Wierzbicki został internowany w Szczypiornie, gdzie przebywał w III Bloku, 5 sali. W krótkich wspomnieniach Władysław Wierzbicki pisze: „Był również ze mną lekarz 4 ppleg. Szrednicki-Kołłątaj, obecny gen. bryg., Ostrowski, którego przydziału nie wiem. Komendantem z ramienia Legionów był Olszamowski, osobiście mi znany”. Prawdopodobnie jeszcze w grudniu 1917 r. Władysław Wierzbicki zwolniony z obozu trafia do Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie /Oddział legionowy/ na kurację⁴. Następnie skierowany zostaje do Zegrza do 3 Kursu Wyszczolenia Piechoty z przydziałem do 1 kompanii, następnie 4 Kursu Wyszczolenia z przydziałem do 4 baonu, 6 kompanii w Zambrowie. Rozkazem Inspektoratu Polskiej Siły Zbrojnej 18 listopada 1917 roku mianowany sierżantem, a 27 marca 1918 sierżantem sztabowym. W lipcu 1918 r. zwolniony z wojska podejmuje pracę w powiecie Rawskim w Ubezpieczeniach Wzajemnych Budowli od Ognia jako urzędnik. Pierwszego dnia Niepodległej Polski – 12 listopada 1918 roku powraca do służby wojskowej, z przydziałem do Dowództwa Placu w Rawie Mazowieckiej, następnie w Dowództwie Garnizonu w Łowiczu. W 1919 roku pełni obowiązki dowódcy kompanii sanitarnej w Szpitalu Okręgowym DOGW. Od maja 1920r. do kwietnia 1923 r. w Żandarmerii Wojskowej na posterunkach w Piasecznie /komendant posterunku/ i Brześciu nad Bugiem. Od 1923 r. do września 1939 r. funkcjonariusz w Policji Państwowej. Jako przodownik, potem st. przodownik pełnił funkcję komendanta wielu posterunków PP na kresach (m.in. w Prażanach, Sielcu, Zakozielu Motolu). Jest policjantem sumiennym, odważnym i bardzo skutecznym. Lubiany przez okoliczną

ludność (należy zauważyć, że rdzenna ludność polska na terenach kresowych nie stanowiła większości), doceniany przez przełożonych i lokalną władzę. W Uchwale Nr 18 Rady Gminnej, gminy maleckiej, powiatu prużańskiego czytamy: (...) Przodownik p.Władysław Wierzbicki, w wysokim zrozumieniu powierzonych mu obowiązków, (...) bezpośrednio po objęciu komendy posterunku p.p. w Malczu z całą energią, nie szczędząc trudu i nie bacząc na bezpieczeństwo osobiste, przystąpił do likwidacji grasujących tu od dłuższego czasu szajek złodziejskich, a wykrywając 90% sprawców kradzieży, zmusił amatorów cudzej własności do zaniechania uprawianego procederu i zabezpieczył tam mienie mieszkańców gminy przed zaborem, odbierając zaś od całego szeregu podejrzanych jednostek broń, doprowadził stan bezpieczeństwa na terenie gminy do należytej wysokości (...). W kwietniu 1936 wstępuje w związek małżeński z Gertrudą Andrynowską. W dniu wybuchu Drugiej Wojny Światowej st. przodownik Władysław Wierzbicki zajmował stanowisko komendanta posterunku w Motolu, powiat Drohiczyń, woj. poleskie.

Po latach Gertruda wspomina: „Dnia 17 września (1939 roku) o godz. 23.00 dostałam rozkaz telefoniczny od Komendanta Wojewódzkiego (z siedzibą Brześć n/Bugiem), podinspektora Małysa Władysława, opuszczenia posterunku i udania się wraz z podwładnymi w kierunku Kowla. Pamiętam, że mój mąż i pozostali funkcjonariusze byli ubrani w mundury wyjściowe i o 24.00 wyjechali furmanką kierując się na Kowel. Dnia 18 września-1939 roku miejscowi mieszkańcy narodowości ukraińskiej i białoruskiej, samozwańczo utworzyli tzw. władzę ludową, grabiąc i terroryzując ludność polską, napadli na posterunek policji, gdzie ja byłam, zrabowali męża karabin i szablę. Zmuszona byłam szukać schronienia u znajomej żony policjanta. Kiedy mój mąż dostał rozkaz opuszczenia posterunku to zapowiedział mi, że „gdyby mnie nie było za 2 tygodnie, to masz udać się do swojego ojca”. W dniu 25 września, będąc w areszcie domowym widziałam przez okno prowadzonych pod strażą NKWD policjantów, było ich około 100, być może, że mój mąż był w tej grupie ale go nie rozpoznałam w tym tłumie kurzu wytworzonym przez maszerujący oddział policyjny. Rozpoznałam tylko Komendanta Powiatowego Policji z siedzibą w Drohiczyźnie. Nazwiska nie pamiętam (...)” Już nigdy się nie zobaczyli.

Pojmany przez Rosjan prawdopodobnie został stracony w Twerze. Odznaczony między innymi: Krzyżem Niepodległości /1933/, Krzyżem Walecznych (dwukrotnie) /1922/, Medalem Pamiątkowym Za Wojnę 1918-21 /1929/, Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości /1929/ oraz odznaką II Brygady Legionów, odznaką „Za Szczypiorno” i Krzyżem Legionowym.

Dariusz Krakowiak

DOM RODZINNY

Czasami widzę nasz dom,
mówią mi, że jest wiekowy.
Gdyby był tu, przeznaczono by go na złom.
a tam — i stary służy jak nowy.

Tak. Służy. Nawet nie wiemy komu,
nie znamy jego mieszkańców nazwiska,
wiemy tylko, że my nie mamy domu,
ani nawet — jak po pożarze — popieliska.

Splonął bez ognia. Po prostu — zabrali.
Powieźli nas gdzie chcieli, pod strażą,
a domu — nawet nie pokwitowali...
I tylko — zapomnieć o nim każą.

A przecież — mój ojciec, ja i nasze dzieci
w tamtym domu się rodziły —
i księżyc nocami nam tam świecił,
słońce wschodziło i godziny były...

Aż wybiła ta ostatnia, równo o północy,
pożegnało się dom pod sztykami straży,
jak złodzieje skradli nam dom pod osłoną nocy,
by nie było widać zapłakanych twarzy.

i dziś tu, z takiej odległości czasu,
odgrodzeni wielką wodą, oceanem,
czasami się przyśni cienistość poleskiego lasu
i ten dom nasz rodzinny, gniazdo niezapomniane.

F. Lachocki



Mój dom, Kobryń, Ogrodowa 7, rok 1933

Polesie w sercu zapisane

Kobryń to małe miasteczko powiatowe, które powstało w dawnym wieku na szlaku handlowym między Brześciem a Pińskiem, tzn. na Polesiu. Słynie z bagien i lasów prawie dziewiczych, o których tak pięknie pisał niedawno nasz rodak Melchior Wańkowicz i wielki pisarz powieści historycznych w swoich wspomnieniach Ignacy Kraszewski. Kobryń leży na terenie raczej piaszczystym, zbliżonym do urzekających krajobrazów Podlasia. Wąskie, małe i wybrukowane uliczki tzw. „kocie łby”, domy przeważnie parterowe, mały rynecek, gdzie stały dwa małe kioski z gazetami, kościół, obok którego wniesiono pomnik Legionisty, dwie cerkwie, żydowska synagoga, gimnazjum humanistyczne im. Marii Rodziewiczówny, dwa kina, żydowska szkoła i wiele żydowskich sklepików. Taki Kobryń pamiętam, a najbardziej rzekę Muchawiec z kwitnącymi kaczeńcami, bzy i pachnące jaśminy z ogrodu Dziadka – to moje szczęśliwe dzieciństwo.

W latach trzydziestych naszą rodzinę spotkało wielkie wydarzenie. Dziadek mieszkający w dalekiej Ameryce wreszcie wybaczył swemu synowi (mojemu Tatusiowi), że nie wyjechał z nim „za chlebem” – wolał walczyć w Polskiej Organizacji Wojskowej, bo „Ojczyzna była w potrzebie”. Niespodziewanie po kilkunastu latach rozłąki szły pieniądze zza Oceanu, a przy ul. Ogrodowej, w ogrodzie drugiego Dziadka powstał nasz dom. Ściany rosły coraz wyżej. Tatuś po pracy nosił cegły „w nosilkach” na plecach, by prędzej zamieszkać na swoim, a ja, niespełna dziesięcioletnie dziecko, również dźwigałam, ale po jednej cegle na brzuchu, żeby było szybciej.

Wreszcie zamieszkaliśmy przy ul. Ogrodowej 7. W pięknym murowanym domu, pokrytym dachem z blachy, co wówczas było luksusem. Zaraz za naszym domem rozpościerał się wielki ogród Dziadka, pełen drzew owocowych i zielonych traw.

Na naszym Kobryńskim rynku odbywały się raz w tygodniu jarmarki, na które bardzo lubiłam chodzić. Podczas gdy Mamusia była zajęta zakupami, ja przypatrywałam się otoczeniu. Było bardzo szumnie i gwarnie. Przy targach często wybuchały kłótnie o konie – sprzedającymi byli chłopcy a kupującymi Żydzi. Chłopcy nie umieli zachwalać swojego towaru, jak czynili to krytykujący Żydzi. Twardo bronili swoich racji i dopiero głośne podanie dłoni kończyło zatarg. Kończyło się poczęstunkiem wódki z butelki i śledziem prosto z beczki. Jeżeli bogatszy gospodarz był w butach z cholewami, to tego śledzia obijał o cholewy i zagryzał po alkoholowym poczęstunku. Wiele hałasu było również przy kurach, gdzie zawo-

dziły Żydówki. Mnie najbardziej interesowali chłopcy – Poleszacy. Nazywali siebie gospodarzami – powolnymi, mało mówiącymi, stąpającymi w plecionych łapciach, z plecionymi koszykami do sprzedaży. Kiedyś byłam pod takim wrażeniem, że po powrocie do domu narysowałam typowego Poleszaka.

Często biegaliśmy przez ogród do Babci. Do wielkiego domu Dziadka z ulicy prowadziła aleja wysadzona wielkimi topolami, na których liczne gniazda wron rozbrzmiewały krakaniem. Za zabudowaniami gospodarczymi prowadziła polna droga do Kłopotocina. Było to bardzo zadrzewione osiedle, gdzie chodziliśmy na spacer. Tuż obok rozciągało się pastwisko, na które rano pastuch prowadził krowy, a odprowadzał po zachodzie słońca. Po drodze na pastwisko przyłączał do stada Babci czekoladową krówkę. Pamiętam jak bałam się tej krowy. Nie lubiłam jej świeżego, jeszcze ciepłego mleka, ale piłam, żeby Babci zrobić przyjemność. Obok mieściła się komórka z prosiaczkami, bo zawsze na jesieni było „świniobicie”, a zaraz obok znajdowała się komórka Dziadka zwana spichlerzem. Wstęp był wzbroniony. Czasami zaglądałam tam, gdy Dziadek był w środku, ale zaraz byłam strofowana, bo Dziadek był bardzo groźny. Podejrzewam, że nie lubił dzieci. Gdy w czasie koszenia trawy znalazł naszą piłkę, nigdy nie oddał, nie raz widziałam kolorowe na półce w spichlerzu. A jakie tam pachnące szynki wisiały wędzone przez Dziadka osobiście, a kiełbasy? – ale raczej nie byliśmy mile widzianymi gośćmi. Niedaleko pod wielkim drzewem orzecha włoskiego z rozłożystymi konarami była letnia kuchnia – wielki gliniany piec z płytą, gdzie przygotowywano potrawy, a dym unosił się przez odprowadzający komin. Wielki stół i ławki uzupełniały kuchenkę. Stało jeszcze krzesło z oparciami jak w fotelu i tam siadywał Dziadek. Ja mogłam na nie usiąść tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu Dziadka. Pamiętam jak na imieniny dziadka ubierałyśmy, ja z ciociami, krzesło w kwiaty, stawiałyśmy też dzbany z kwiatami, ale dziadek nawet się nie uśmiechał.

Od podwórka jako lokator mieszkał pewien adwokat z żoną. To byli starsi ludzie, bezdzietni. Pani adwokatowa miała kilka oswojonych wron, którymi była zawsze zajęta, a że mówiła do nich po rosyjsku, jedna z nich o przydomku „Maks”, każdego gościa witała od progu „paszoł durak”, co było bardzo wyraźnie wykrzykiwane. Nieraz widziałam jak dochodziło do awantury między tą panią a jej mężem. Na domiar złego jedna wrona padła. Pani adwokatowa pochowała ją pod oknem, a na mogile postawiła



Polska Szkoła pani Żabińskiej, w której uczyła się moja mama, rok 1910



Ja, babcia i moja siostra Marysia, rok 1930



Pomnik legionistów przy kościele w Kobryniu



Moja rodzina Pieturów, rok 1933

krzyżyk i odprawiła modły. Wszyscy byli zgorszeni, a najbardziej praczka Maria, która mieszkała z rodziną w ogrodzie Dziadka, w małej ziemiance.

Maria, wysoka, szczupła, lekko pochylona pomimo młodego wieku, miała córkę w moim wieku Wierę. Jej mąż, ojciec Wiery, był bardzo niskiego wzrostu. Znany był z tego, że lubił popić i nieraz ludzie znajdowali go leżącego lub siedzącego na ulicy. Z powodu małego wzrostu dostał przezwisko „Kartofelek”, a ja myślałam, że to nazwisko i mówiłam do niego: „Panie Kartofelek”. Nie gniewał się na mnie, bo przyjaźniłam się z jego córką. Do ziemianki schodziło się w dół po schodkach. Wnętrzem była izba z płytą kuchenną z jednej strony, a z drugiej stół i nary do spania. Było tylko jedno okienko nad samą ziemią. Lubiałam chodzić do Wiery i bawić się, bo miała dużo pięknych lalek, a jej mama p. Maria opowiadała, że to prezenty dla Wiery od „wielkich państwa”, do których chodziła prac i sprzątać. Do nas również przychodziła prac bieliznę, a że lubiła dużo mówić, nieraz opowiadała, że niby wszędzie wielkie państwo, a bielizny to mają tylko tyle, że jedna zmiana w praniu, a druga w sr... Podśluchiwałam i byłam bardzo oburzona, że tak mówi.

Otóż podobno praczka, Maria, dzięki mojej Babci mogła nadal mieszkać w ziemiance, pomimo, że z pana Kartofelka Dziadek już nie miał żadnej

pomocy. Mama Wiery stale marzyła o swoim dachu nad głową (zawsze tak mówiła). Jakież to było zdumienie sąsiadów, gdy na polnej drodze do Kłopotcina wybudowano malutki drewniany domek, którego właścicielką okazała się Maria. Szczęśliwa, ze łzami w oczach opowiadała ile lat ciężko pracowała i oszczędzała. Niestety, długo nie cieszyła się swoim dachem nad głową. Pan Kartofelek zasnął po pijanemu z papierosem. Nie wiem jak go wyratowano spod płomieni. Gdy przybiegliśmy domek już się dopalał a p. Kartofelek wymachiwał rękoma i krzyczał: „Co za dom, chuchnoł, dmuchnoł i domu nema”. Długo sąsiedzi mieli co opowiadać.

My również niedługo mieszkaliśmy w naszym domu. Tatuś dostał przeniesienie służbowe jako komendant posterunku Policji Państwowej w Jeremczach, wsi położonej 12km od Kobrynia. Rozpoczął się nowy etap w życiu naszej rodziny. Mamusia rozpaczała, a biedna nawet nie przypuszczała, że zaledwie za kilka lat zostaniemy wypędzeni nie tylko ze swojego domu, ale i ze swojej Ojczyzny, a z Tatusiem czeka nas rozłąka na zawsze.

Gdy po 6 latach Syberii wracaliśmy jako sieroty do Polski widzieliśmy na miejscu naszego domu tylko schodki prowadzące na werandę. Nie mieliśmy odwagi wykopać schowanej szabli z orderami Tatusia. Baliśmy się powtórnego Sybiru.



Lata spędzone w Jeremiczach

Dążąc za wątkiem moich wspomnień, zanim poznaliśmy Jeremicze, od czasu zamieszkania „pod swoim dachem” na bardzo krótko, zajmowaliśmy część wielkiego domu Dziadków. Tam urodził się mój brat Tadzio. Miałam wówczas 5 lat, gdy Babcia tłumaczyła, że oto wysiadła z dorożki pani, która w wielkiej torbie przywiozła braciszka, jakież to było moje zdziwienie, gdy Tatuś wprowadził mnie z młodszą siostrą Marysią do Mamy i pokazał zawiniątko z brzydkim czerwonym braciszkiem, którego, tłumaczył, przyniósł bocian wyhaftowany przez Mamę na makatce przy łóżku. Stałam wówczas zdezorientowana, bo Babcia opowiadała inaczej. Zawiniątko darło się bez opamiętania, a ja nie spodziewałam się wtedy, że i na mnie spadnie część obowiązków. To był rok 1929.

W latach 30-tych, gdy nasz piękny dom ozdabiał już ulicę Ogrodową, Tatuś niespodziewanie dostał rozkaz objęcia posterunku Policji jako komendant w Jeremiczach. Była to wieś położona 12 km od Kobrynia. Przy jedynej uliczce, zabudowanej z dwóch stron gospodarstwami, mieściła się gmina i szkoła czteroklasowa. Nieopodal wsi była cerkiew z cmentarzem, a przy drodze do cerkwi posterunek i poczta. Mieszkaliśmy po drugiej stronie budynku, drzwi z kuchni prowadziły do kancelarii Tatusia. W drugim pokoju urzędowali trzej panowie policjanci z telefonem. Za ścianą urzędowała poczta-panna Janeczka, którą uwielbiałam, bo nauczyła mnie grać na gitarze, co nawet w późniejszym, dorosłym moim życiu bywało wielkim przeżyciem. Najbardziej pamiętam piękne, słoneczne dni, zabawy na łące gdzie nie zawsze można było biegać, bo gospodyni rozkładała wielkie połacie szarego lnianego płótna, które po uprzedzeniu musiało się wybielać na słońcu. Po podwórku chodziły kury, kaczki, których niekiedy trzeba było się bać, ale najgorsze były indory, ze swoimi czerwonymi koralami wokół głowy, atakowały z wielkim gulgotem.

Panowie policjanci również byli z rodzinami. Pan Klauda wysoki, szczupły, schorowany, miał syna w moim wieku, Gieniusia, który również często chorował. Pan Zawardka również był ojcem 5-letniego Zdzisia, a pan Kindracki wysoki o rudym zaroście był ojcem dwojga dzieci. Jego młodszy syn Zbyszek, w moim wieku, był niezastąpionym kolegą, zawsze gotów do obrony i do zabawy, wesoły, pełen żartów i pomysłów.

Tatuś był bardzo towarzyski, odbywały się wieczorami spotkania i grano w karty, a mówiło się wtedy „w proferansa” Przychodził wójt, kierownik szkoły

p. Głań, leśniczy i pop cerkwi. Leśniczy p. Ostromecki często przyjeżdżał z parą koni i zabierał nas do siebie gdzie przyjmował i częstował dziczyzną, a nawet organizował taniec z miejscową muzyką, na którą składały się organki, gitary, a nawet jakieś bębniaki. A to wszystko dlatego, bo chciał koniecznie ożenić się z moją ciocią, która stale zbywała śmiechem, owe zaloty.

Moja ukochana ciocia Teta (Stefania, siostra Mamy) bardzo dużo zaważyła na moim życiu, a swoje życie miała dość trudne. W latach dwudziestych zaraz po wyzwoleniu Polski została nauczycielką. Kochała swoją pracę, ale dotknęło ją nieszczęście. Powoli zaczęła tracić wzrok. Wówczas posiadano niewiele wiedzy, żeby temu zaradzić. Zdecydowano się na operację, a ciocia szukając ratunku, zdała się całkowicie na opiekę Matki Boskiej. Po odbytej operacji nie straciła wzroku i stała się gorącą wielbicielek Matki Bożej Niepokalanej. Do swego zawodu już nie wróciła.

Zaistniała potrzeba zaopiekowania się nami, bo Mamusia musiała iść na operację do szpitala. I oto zjawiała się ciocia Teta. Wówczas bliżej ją poznałam, jako ciocię z wielką fantazją i pomysłami. Zaraz pierwszego dnia przygotowała, jak to nazwała „zdrową kolację”- ziemniaki i kiszone ogórki, po której na drugi dzień trochę się pochorowaliśmy, ale było wesoło. Po kolacji była modlitwa za zdrowie Mamusi. Młodsze moje rodzeństwo szybko poszło spać, a ja długo klęczałam i modliłam się, ciocia pamiętam razem ze mną. Niebawem wróciła Mamusia bez konieczności operacyjnego leczenia. Przeżyłam to jako cud, a ciocia Teta stała się moim przewodnikiem duchowym. W latach 30-tych zapisała mnie do Rycerstwa Niepokalanej. Już wówczas dowiedziałam się o misyjnej działalności Maksymiliana Kolbego. Dzięki mojej ukochanej Cioci Matka Boża Niepokalana miała mnie zawsze w swojej opiece w późniejszych smutnych latach wygnania na Syberię. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że świętej pamięci Maksymilian Kolbe, którego podpis mam na legitymacji, zostanie świętym.

Za czasów bytności cioci Tety wieś ożyła. Młodzię zbierała się w szkole, śpiewała i tańczyła. Ciocia założyła mały teatrzyk, były przedstawienia. Sięgano nieraz po historyczne opowieści Sienkiewicza lub śpiewano piosenki, na scenie żarzyły się ogniska z chrustu oświetlone żarówkami. Dziewczęta wiejskie bardzo się udzielały, wiele z nich poszło wówczas do Szkoły Gospodarczej, mieszczącej się w Plantach, o ile dobrze pamiętam. Mojej cioci sta-



Szkoła w Jeremiczach



Spółeczność Jeremicz. Święto Niepodległości

le było brak wrażeń, pomysły miała niesamowite. Gdzieś zdobyła maskę diabła i w jesienne wieczory, gdy wiejskie kobiety dały pierze po chatach, zakładała maskę i przez okna straszyla. Podobno nieraz wrzask był niesamowity i mężczyźni wybiegali z izb, ale Ciocia zawsze była sprytniejsza. Kiedyś po północy dostała się na dzwonnice i na przywitanie Nowego Roku rozdzwoniła wszystkie dzwony. Ludzie ze wsi biegli z trwogą, ale oczywiście Ciocia nie dała się złapać. Pamiętam, że wówczas nawet Tatuś się gniewał, bo co by to było, gdyby nie zdążyła uciec.

My, dzieci, chodziliśmy do wiejskiej szkółki. Zapewne poziom był niziutki, dzieci nie zawsze grzeczne. Gdy już nie wytrzymały w ławkach, nauczyciel starał się trochę je zabawić, wówczas wołał: „zwierzę, ryba, ptak” i wskazywał ucznia, a ten

musiał natychmiast wymienić jakieś zwierzę. Było dużo śmiechu, bo na hasło „ptak” wołał; „krowa” albo na „rybę” wołał: „kura”. Tyle z tej szkoły zapamiętałam. Wkrótce był ze mną kłopot, bo zdałam do piątej klasy i trzeba było dalej się uczyć w Kobryniu. Zamieszkałam u Babci, z dala od swojej rodzinkei, bardzo to przeżyłam. Wówczas jedna z ciotek (a miałam ich dziesięć) postanowiła w soboty, po południu odprowadzać mnie do Jeremicz na niedzielę. Przechodziłyśmy przez most nad Muchawcem i skręcałyśmy w lewo na polną dróżkę wśród zieleni i drzew. Po drodze odwiedzałyśmy przydrożną kapliczkę z poczeriałym Panem Jezusem na krzyżu, owiniętym wyhaftowanymi poleskimi ręcznikami. Rwałyśmy polne kwiaty, aby bardziej przyozdobić ołtarzyk. Ptaki śpiewały. Było pięknie. Wtedy najczęściej słyszałam głos Tatusia, który wyjeżdżał po mnie rowerem i brał mnie na ramę. W domu było wiele radości, ale i obowiązków, bo należało odwiedzić małe Borysiatko. Zaczęło się od tego, że syn naszego gospodarza, Borys, zakochał się w pięknej, hożej dziewczynie, jedyną jej wadą było to, że była biedna, ale bardzo pracowita. Jednak to nie wystarczało i w chwili, gdy syn bez zgody ojca się ożenił, został wydziedzicz-



Grób mojego kolegi
Zbyszka



Dąb Dewajtis

czony, wypędzony z domu. Oboje ciężko pracowali i przy pomocy sąsiadów wybudowali sobie mały domek z jedną izbą i znalazło się małe „Borysiątko” – my, dzieci często je odwiedzaliśmy. Małeństwo leżało sobie w plecionej kołysce, uczepionej sufitu na środku izby, obok łóżko z wysoką stertą poduszek, w kącie ikona, przybrana kolorowymi ręcznikami, a w drugim kącie warsztat, na którym Borysowa tkala płótno, a obok krosno, bo najpierw trzeba było uprząść nici. Kółko wirowało, nić się przędła, a my, dzieci bawiłyśmy się z małym Borysiątkiem. Podobno młoda para dobrze się miała, bo cała wieś im pomagała. Było wielkie wydarzenie, gdy zjawił się Żyd handlujący garnkami, świecami, paciorkami i cekinami. Wiejska ulica zapełniła się kolorowym tłumem, żartem i śmiechem. Wreszcie rozchodzili się wszyscy zadowoleni. Trochę gorzej było, gdy zawitali cyganie. Również było wesoło – śpiewy, tańce, ale później w wielu zagrodach brakowało kur, małych prosiaków, a nawet koni. Ja też jako dziecko miałam przygodę. Złapała mnie cyganka na podwórku, przycisnęła do ściany i wypytała o wszystko, co się dzieje w naszym domu. Druga cyganka pilnowała czy ktoś nie nadchodzi. Później Mamusia opowiadała z podziwem, że te cyganki znają jakieś czary, bo wszystko wiedzą. Ja się nie przyznałam skąd te czary – bałam się, że dostanę lanie.

Wkrótce zamieszkaliśmy wreszcie w Kobryniu, w swoim domu, ale bez Tatusia, bo znowu został

przeniesiony w teren do Żabinki i odwiedzał nas tylko w niedziele. Tak się składa, że już nigdy nie zamieszkał w domu, który zbudował. Niebawem wybuchła wojna.

Nastaly smutne lata. Samotne wędrówki w stepie spalonym słońcem, cisza, bo ptaków nie było, tylko strach, aby nie spotkać wilków lub złego człowieka o zwierzęcych instynktach.

Po wielu latach wiem, że wszyscy policjanci z Jeremicz zginęli w Ostaszkowie. Nie znam miejsca zamordowania mojego Ojca. Cześć Ich Pamięci.

Wracając do lat wojny – w jesieni roku 1939 już pod okupacją sowiecką, odwiedzał nas mój kolega z Jeremicz, Zbyszek Kindracki. Lubił grać ze mną w karty, bo zawsze wygrywał.

Pewnego dnia przyszedł pożegnać się, bo wybierał się do swojej babci do Warszawy przez zieloną granicę. Usilnie prosił moją Mamę, żeby pozwoliła mi z nim iść, ale niestety nie było pozwolenia. Pożegnaliśmy się. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Zbyszek został wtedy złapany i wysłany w głąb Rosji. Znalazł się w Armii Polskiej gen. Andersa, bo znalazłam go na liście poległych we Włoszech. Załączam zdjęcie jego grobu, wykonane przez mego wnuka Wojtka, który jako opiekun dziadka, a mojego męża Mariana, uczestnika walki pod Monte Casino, również i w Bolonii zwiedzali groby naszych poległych żołnierzy. Zbyszek Kindracki zginął w Bolonii. Cześć Jego Pamięci.

Ostatnie lata szkolne i ukochane harcerstwo

Na szczęście moje rozstanie z rodziną, a szczególnie z ukochanym Tatusiem nie trwało długo. Wreszcie zamieszkaliśmy w swoim domu przy ul. Ogrodowej 7, wprawdzie bez Ojca, bo musiał wówczas objąć posterunek Policji w Żabinie (niedaleko Kobrynia), ale na niedziele przyjeżdżał do nas.

Początkowo chodziłam do szkoły mieszczącej się w małym drewnianym budynku przy uliczce zaraz obok rynku. Już od pierwszych początkujących klas uczono nas kochać Ojczyznę. Na lekcjach wychowawczych pani tłumaczyła, pokazując kilka rysunków na tablicy, jak brzydko, gdy w parku stoi uszkodzona, przekrzywiona ławka. Na następnym ta sama naprawiona ławeczka pięknie ustawiona. Słyszałyśmy wówczas, że aby nasza Ojczyzna była piękna, należy dbać o porządek. Może to była prymitywna nauka, ale głęboko zapadała w serce z hasłem „Kochajmy Naszą Polskę”.

W starszych klasach już uczyliśmy się w nowej szkole przy ul. 3-go Maja naprzeciw Kościoła. To było wielkie wydarzenie. Wówczas spotkałam się

z Harcerstwem. Zbiórki, wycieczki krajoznawcze na zawsze zapadły w sercu i w pamięci. Wyszukiwałyśmy miejsca związane z historią. Przy ul. Romualda Traugutta stał dworek tegoż bohatera Powstania Styczniowego. Mieściło się tam starostwo, a w podwórku za budynkiem rosła olbrzymia agawa o wielkiej średnicy do czterech metrów. Krótko przed wojną agawa zakwitła – kwiat był większy od wiadra w kolorze mocno pomarańczowym, prawie czerwonym. Dookoła klombu był niesamowity tłok, każdy chciał zobaczyć i sfotografować. Mówiono, że agawa zakwita raz na 100 lat. Składaliśmy kwiaty u stóp pomnika Legionisty przy kościele i przy pomniku Tadeusza Kościuszki dłuta pani Balbiny Widackiej, która była profesorem rysunku w gimnazjum. Pani Profesor była mi szczególnie bliska, bo interesowała się moimi zdolnościami plastycznymi i bezinteresownie udzielała mi lekcji rysunku w swoim domu przy ul. Polnej, gdzie miałam możliwość podziwiać wiele prac rzeźbiarskich. Niedaleko Kobrynia w Hruszowej mieszkała nasza wielka poleska pisarka Maria Ro-

dziewiczoźna, której imieniem nazwano Gimnazjum Kobryńskie. Wiele młodzieży odwiedzało dworek w Hruszowej, składając hołd Wielkiej Patriotce. Posiadłość leżała w zalesionym terenie, szeroka droga prowadziła do głównego wejścia, na poboczu z obu stron stały nowo pobudowane domki. Przewodnik objaśniał, że mieszkają w nich ludzie, którzy tu pracują. Pani Rodziewiczówna nie mogła do nas wyjść, bo chorowała. Widzieliśmy ją w oknie na piętrze, skąd machała do nas ręką. Oprowadzono nas wówczas po ogrodzie, widzieliśmy wielkie stare drzewo „Dewajtis”, a niedaleko stała uboga mała chatka, która była natchnieniem powieści dla dzieci „Lato leśnych ludzi”. Na pożegnanie po harcersku pod oknem Pani Rodziewiczówny.

W czasie wakacji roku 1938 Rodzina Policyjna zorganizowała wycieczkę do Warszawy. Rodzice wysłali mnie, żebym zobaczyła naszą stolicę. Nie wiele pamiętam, bo trwało to tylko parę dni. Zwiedziliśmy Muzeum Wojska Polskiego, byliśmy w Wilanowie i byłam świadkiem wielkiego wydarzenia. Oto przywieziona została trumna z relikwiami św. Andrzeja Boboli i wystawiona w kościele na widok publiczny. Rzesze zwiedzających przechodziło z hołdem obok trumny oszklonej. I ja tam byłam. Przez szybę widoczna była postać zakonnika małego wzrostu w ciemnobrązowej sutannie. Twarz była też koloru ciemnego, mało różniąca się od stroju. Widziałam świętego Andrzeja Bobolę, położyłam z nabożeństwem rękę na białej trumnie. Nie mogłam przewidzieć, że minie zaledwie parę lat, gdy na dalekiej Syberii będę rysować obraz Naszego Polskiego Świętego do ubogiej kaplicy, którą pozwolono nam otworzyć przy Delegaturze



Moja harcerska drużyna na wycieczce, rok 1938



Nasza klasa, Gimnazjum w Kobryniu, rok 1938



Polskiej w Akmołęnsku dla rzeszy Polaków wypędzonych z Ojczyzny.

Do lat piętnastu byłam szczęśliwym dzieckiem, szczególnie, gdy zostałam uczennicą gimnazjum. Obowiązywały mundurki. Na co dzień granatowe fartuszki dziewczęce i garnitury chłopięce również granatowe, obowiązkowo tarcze na rękawach. W dniach uroczystych zbiórki ze sztandarem i z orkiestrą szkolną przed kościołem przy pomniku Legionisty – uczennice w plisowanych spódniczkach z bluzami, uczniowie w garniturach z białymi koszulami. Szliśmy w defiladzie za wojskiem. Często organizowane były olimpiady sportowe między szkołami. Krótko po rozgrywkach sportowych między Kobryniem a Łunińcem żegnaliśmy się na wakacje. Nikt z nas nie przypuszczał, że to było pożegnanie na zawsze z naszą kochaną szkołą.

Zaczęły się wakacje nie takie bez troskie jak w poprzednich latach. Starsi często mówili o wojnie, w radiu, w prasie potwierdzały się smutne wiadomości, pomimo, że były pełne optymizmu. Często mówiono o dywersji, z którą można się spotkać nawet w najbliższej okolicy.

Trwało gorące lato, często chodziliśmy kąpać się w Muchawcu. Pewnego dnia wybrałam się z koleżanką Danusią Górską na plażę. Zaraz za szpitalem

polna dróżka prowadziła do rzeki. Będąc na wzgórzu zauważyliśmy tuż nad rzeką, na piasku obcego mężczyznę. Wyglądał jak wędrowiec, zmieniał skarpety i wkładał obuwie, przy tym rozglądał się na strony. Wydał nam się podejrzany. Schowaliśmy się za krzaki, on chyłkiem z wielką ostrożnością zmierzał w stronę ulicy. My skrycie za nim. Gdy skończyła się polna ścieżka zauważył nas i skrył się za grubym konarem drzewa. Byliśmy w strachu, naraz zauważyliśmy znajomego lekarza wychodzącego ze szpitala. Pobieglyśmy do niego, a doktor wysłuchawszy nas, poszedł do podejrzanego. Za chwilę widziałyśmy, jak nieznajomy oddał broń i dał się prowadzić. Trafił się jakiś przechodzień i pan doktor przekazał go do posterunku. Byliśmy bardzo przejęte, że dzięki nam złapany został dywersant. Przeczekałyśmy trochę i pobiegłyśmy na posterunek. To było dość daleko, prawie na drugim końcu miasta. Ku naszemu zdziwieniu dowiedziałyśmy się, że nikt się u nich nie zjawił, o niczym nie wiedzieli. Było nam przykro, nie mogłyśmy tego zrozumieć.

W miesiącu lutym 1940-go roku Danusia Górską została wywieziona z rodziną jako osadnicy Marszałka Piłsudskiego do Archangielska. Do tej pory nic nie wiem o mojej koleżance.

Nasze kochane Polskie Wojsko – początki wojny

Trwały wakacje roku 1939-go. Było coraz smutniej i niespokojniej. Przez ulice Kobrynia maszerowało Nasze Wojsko, przejeżdżały tabory. Ogólny apel w drużynach harcerskich zobowiązywał nas, aby pomóc naszym żołnierzom. Przy ul. 3-go Maja w domu Sióstr Misjonarek zorganizowano punkt, gdzie czekaliśmy z orzeźwiającymi napojami, a nawet niemi i igłą, bo a nóż trzeba będzie żołnierzom przyszyć guzik lub naprawić mundur. Było wesoło, często specjalnie odrywano guziki, aby znaleźć pretekst do spotkania z harcerkami. Pamiętam jedną z sióstr w starszym wieku, która siedząc na wózku inwalidzkim przyglądała się z uśmiechem naszej krzątanie na małym podwórku, obok domu, w którym mieszkały. A było to miejsce historyczne, ponieważ „za czasów carskich” mieściła się tu nielegalna Szkoła Polska, w której uczyła się moja Mama. Nieraz wspominała wielką patriotkę, nauczycielkę panią Żabińską. Oficjalnie była to Szwalnia, a tak naprawdę w czasie lekcji uczono o Polsce. Wyznaczeni dyżurni w oknach i w drzwiach ostrzegali przed niebezpieczeństwem. W razie przybycia „carskich stójkowych”, klasa zamieniała się w „szwalnię”. Noszono wówczas obszerne długie suknie i dość łatwo było nosić polskie elementarze w ukrytych kieszeniach. Wspominając

mroczne dzieje niewoli Mama zawsze podkreślała, że Polacy nie tracili nadziei, marząc o Wolnej Polsce.

W owym pięknym dniu sierpniowym patrzyłam na podwórko zalane słońcem, na roześmiane twarze naszych żołnierzy i nasze, przepełniało mnie szczęście, że teraz jest inaczej, że żyjemy w Wolnej Ojczyźnie, że oto tyle wojska będzie nas bronić. Nawet, gdy dojdzie do wojny, to przecież w kilku tygodniach rozprawimy się z wrogiem. Niewiele czasu minęło, kiedy Polska znalazła się pod nieprzeliczonymi eskadrami samolotów, z których spadały śmiercionośne bomby.

Po kilku dniach zjawił się po nas Tatuś. Musimy wyjeżdżać z Kobrynia, bo wróg nadchodzi i będą walki. Lepiej, gdy udamy się na wschód w stronę Pińska, gdzie nic nam nie grozi. To długo nie potrwa, najwyżej kilka dni. Autobusy czekały przy ul. 3-go Maja. Ręczne bagaże umieściliśmy na rowerze. Szliśmy zaciemnionymi ulicami, mijaliśmy leje po bombach, zbombardowane domy, wyczuwało się wielką trwogę. Szybko zajęliśmy miejsca w autobusie, krótkie pożegnanie i w drogę. Jechaliśmy całą noc, nad ranem znaleźliśmy się w Pińsku – krótka narada – wiozą nas dalej na wschód. Było w miarę spokojnie, samoloty nas nie nękały. Dojechaliśmy

do dużej wsi – jedna ulica i po obu stronach gospodarstwa. Ktoś wspomniał o posterunku Policji, ale w końcu rozmieszczono nas po najbliższych chatkach. Nasza rodzina i p. Krysowa z dziećmi (żona aspiranta z Kobrynia) trafiliśmy do miejscowego żyda, który miał sklep. Jedna noc była spokojna, ale rano przybiegł wystraszony gospodarz z wiadomością, że miejscowi komuniści opanowali posterunek Policji, policjanci bronią się gdzieś pod lasem w bagnach, a ich rodziny są w niebezpieczeństwie. Mamy się schować w piwnicy. W międzyczasie wyszedł na ulicę ojciec naszego gospodarza i został zabity. Rozpacz i krzyk. Siedzimy w piwnicy w ciszy, p. Krysowa cały czas karmi piersią dziecko, żeby nie płakało i nie zdradziło naszej obecności. Nic nie wiemy o innych rodzinach, które jechały z nami. Po kilku godzinach dostajemy polecenie, że jeżeli mamy broń, należy natychmiast im oddać, bo w przeciwnym razie tej nocy nas zamordują. Nadchodząca noc była straszna, stale słyszeliśmy krzyki i strzały. Nad ranem nastała cisza. Moja Mama była na tyle odważna, że wyszła zobaczyć co się dzieje. Spotkała polskiego żołnierza, który z wielkim zdziwieniem wołał skąd się wzięła. Przybiegło więcej żołnierzy, wyprowadzili nas z piwnicy. Okazało się, że wieś była opanowana przez dywersantów komunistów, którzy już przygotowali się do powitania bolszewików. Nasza jednostka wojskowa wyruszyła z pomocą, by ratować miejscowych policjantów. W celu zbliżania się do wsi, gdzie już oczekiwali wejścia sowieckiego wojska, nasi żołnierze posłużyli się czerwonymi flagami i komuniści pośpieszyli z chlebem i solą witać „oswobodzicieli”. Wieś została opanowana i byliśmy uratowani. Zaprowadzono nas do pobliskiego majątku Skirmuntów, rozmieszczono na obszernym dziedzińcu. Wszyscy byliśmy pod opieką. Widzieliśmy jak coraz łapano jakiegoś cywila, a jeden z żołnierzy prowadził go w stronę lasu, żartując, że niebawem powiększy się grono złych aniołków w niebie. Później słyszeliśmy strzał. To było straszne. Jedna z naszych matek nie wytrzymała i zaczęła krzyczeć, wszyscy płakaliśmy, ale zaraz zjawił się kapitan i razem z żołnierzami wyjaśnił, że nie ma takiego zwyczaju, żeby strzelać w plecy, że tylko każą podejrzanemu uciekać, a potem strzela się w górę, żeby go nastraszyć. A jak było naprawdę? Nikt nas nie zawiadomił co się stało z policjantami rannymi w bagnach i ich rodzinami. A jak było naprawdę?

W pobliżu była kaplica, odprawiano Mszę Św. Dziękowaliśmy za ocalenie. Widziałam wówczas bardzo starszą panią w czerni prowadzoną przez duże, młode, śliczne dziewczęta. To była pani Skirmuntowa. Była bardzo smutna.

Dla bezpieczeństwa pod osłoną nocy jechaliśmy z taborami do najbliższej stacji kolejowej. Po obu stronach widzieliśmy płonące wsie, domy. Milczenie było obowiązkowe. Nie pamiętam do jakiej miejscowości nad dowieziono. Był piękny, słoneczny dzień, na dużej łące żołnierze rozpalili ogniska. My, ocalone rodziny, zajęliśmy miejsca w pociągu. Po krótkim odpoczynku pan kapitan i żołnierze pożegnali się z nami, nasze drogi się rozeszły.

Okazało się, że pociąg był długi, wiele wagonów wypełnionych ludźmi, którzy pragnęli wrócić do swoich domów. Mieliśmy jechać aż przez Baranowicze, bo wszędzie były pozrywane mosty. Czekala nas długa, tragiczna podróż.

Tylko pociąg ruszył zaatakowały nas samoloty oznakowane czerwonymi gwiazdami i ze strzelającą bronią maszynową, migały czerwone zygzaki. Ludzie uciekali z wagonów do pobliskich zarośli, w pole, gdzie się dało, by się skryć. Obok stały odkryte wagony z końmi, które płakały jak dzieci, a ich krew płynęła wzdłuż torów. Ludzie też byli ranni. Po odlocie samolotów szukaliśmy się nawzajem. Zjawiła się pani Krysowa. Dopiero przy nas zauważyła, że nie ma dziecka w beciku – zgubiła – nie wie gdzie. Wszyscy ruszyliśmy w pole szukać dziecka. Nie mogliśmy znaleźć, dobrze, że płakało, pobiegliśmy w stronę placu, Grażynka leżała w kapuście. Wróciliśmy do wagonów, ruszył z wolna pociąg – widmo bez określonego celu, nękały nas nieprzyjacielskie samoloty. Często stawaliśmy w polu, nasze matki gotowały na ogniskach, w wiadrach zupy z przydrożnych polnych warzyw wzdłuż torów kolejowych. Coraz częściej byliśmy głodni. W naszej wędrowce spotykaliśmy żołnierzy, którzy niedawno przynieśli nam ocalenie. Często byli ranni, brudni, obłoceni, szli w nieładzie z pochylonymi głowami. Płakaliśmy wszyscy. Nad Naszym Krajem rozpościerała się żałoba. Na kolejnym postoju doszła wieść, że należy wywiesić białą flagę, bo zbliżają się wojska sowieckie. W sąsiednim wagonie jechali harcerze, a wśród nich ksiądz. Nie wyróżniał się, bo był w harcerskim mundurze. Chodził po wagonach, uspokajał, radził by pozbyć się jakiegokolwiek broni. Zaraz obok pod wagonami przepływał strumyk, co raz było słychać plusk. To ludzie pozbywali się broni, a harcerze swoich bagnatów, starali się przebierać w zwykłe koszule chowając bluzy i chusty. Jakiś dziadek stał na mostku nad strumykiem i płakał. Nieopodal ksiądz z różańcem modlił się z nami.

Był złoty jesienny dzień. Na horyzoncie ujrzeliśmy szarą chmurę na ziemi. Szło obce, ponure, ziemiste wojsko, zabierało pod swoje władanie Naszą Ojczyznę. Widzieliśmy, że już doszli do pierwszych wagonów pociągu. Nikt nie wychodził na zewnątrz. Naraz

doszedł rozkaz, że mamy wyjść i stanąć w dwuszerogu. Ludzie zaczęli płakać, że nas rozstrzelają. Wołam do Mamy, że zasłonię sobą Marysię (młodszą siostrę) a Mama zasłoni dziesięcioletniego Tadzia. Może ocalał. Staliśmy posłusznie, przed nami leżały tobołki, które przeglądali „bojcy”, a inni sowieccy żołnierze przeszukiwali wagony. Kazali zdawać broń, ale nikt jej nie posiadał. Oczekiwanie przedłużało się, bo pociąg był bardzo długi. Padał deszcz, niebo płakało razem z nami. Moja Mama nie mogła ustać w miejscu, wreszcie podeszła do skośnookiego „bojca” i zapytała po rosyjsku: „gaspadin” – „panie, co z nami zrobisz?” Ten się odwrócił i zaśmiał: „Jaki ja pan, to wy polskie pany i nie wiemy co z wami zrobisz”. Kazał odejść, ale Mama drżącymi rękami wyjęła papierosy, chcąc przedłużyć rozmowę, ale już cała gromada „naczelstwa” zbliżała się ku nam. Należało stać w milczeniu i czekać. Po dłuższej chwili przetłumaczono, że mamy wracać do wagonów i, że będziemy rozwiezieni do domów.

Powoli pociąg ruszył, mijaliśmy obce, szare wojsko, samochody, czołgi. Było cicho i smutno. Po kilku dniach dojechaliśmy do Kobrynia do domu, który na nasze szczęście ocalał. Po kilku tygodniach wrócił Ojciec. Miał za sobą ciężki szlak – aresztowanie

na Szosie Włodawskiej, wiele kilometrów wędrówki pieszo, więzienie w Pińsku. Bardzo się martwił o nas, a los chciał, że prowadzono go ulicami Kobrynia koło naszego domu w nocy i nie mógł się dowiedzieć czy wróciliśmy, bo okna były ciemne. Po kilku tygodniach został aresztowany już na zawsze.

Wkrótce kazano nam iść do szkół. Wróciłam do gimnazjum, ale to już nie była nasza szkoła. Zamiast naszego Orła, widziałam pełno młotów i sierpów. Nie było już „braci szkolnej”, nie było radości. Już nie spotkaliśmy wielu naszych profesorów. Nie zobaczyliśmy już więcej naszego Dyrektora, którego z racji wielkich siwych wąsów nazywaliśmy „Białym Wodzem”. Na lekcjach była cisza, bo kazano nam podziwiać obcą stolicę, a nasza Warszawa przeżywała dramat. Zdjęto Krzyże i powieszono trzech brodaczy. Pewnego dnia ujrzeliśmy odkryty ślad po krzyżu, gdzie wisiał środkowy portret, a poniżej wielki napis: „Dobry Panie, znów wiesz pomiędzy dwoma łotrami”. Pogrom spadł na podejrzanych, a podejrzani byli wszyscy. Coraz więcej bydłych wagonów szło na wschód. Nie wiedzieliśmy wówczas, że i my wkrótce znikniemy z naszego Kobrynia, skazani na dolę syberyjską naszych Przodków.

Halina Szpak

SZEPTEM, Z PAMIĘCI

Kraino przeszłości, w pamięci szeptem tylko istniejąca,
tak mi stoisz w oczach jak przechodzeń w bramie,
bo ta pamięć, choć stara, ciągle jest gorąca
i tak silna, że nic już jej nie złamię.

Las staje mi w oczach — czarem, tajemnicą,
maślaki obok lasu wabią oko smakiem,
a co my mamy w zamian — tutaj, za granicą?
Ciasta cukrem oblane, posypane makiem?

A jaka jest woń siana gdy się łąkę skosi,
gdzie taki zapach w nowym kraju spotkasz?
A czy oni biegali kiedy po łące rano bosi?
Nie. I nie wiedzą jaka to jest rozkosz słodka.

I nie znają smaku marchewki wyrwanej w ogrodzie,
oskrobane, schrupanej, — jak się u nas zdarzało,
żyją na „hotdogach”, musującej sodzie
i na ciastach tak słodkich, żeby aż kapało.

A gdzie są leśne maliny, poziomki pachnące,
gdzie kryniczna woda co płynie bez licznika? ...
tym wie nasza pamięć, nigdy nie niktąca
zbolełe serce uchodźcy-pokutnika.

F. Lachocki

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 60 gr.

Porcelanę szkło FAJANSE, FIGURY Naczynia aluminiowe poleca St. KASPRZAK Brześć nad Bugiem, 3-go Maja Nr 13.	KRESY ILUSTROWANE
Wydawca i redaktor: Wiktor Mondalski.	Rok I. Nr. 3. z dnia 15 grudnia 1924 r.

PRZY OPŁATKU

Gdy zapłoną światła choinek, gdy w pałacu, czy w dworku, gdy w dostatnim domu, czy w izdebce robotnika polskiego, tu na wschodniej rubieży przy opłatku popłyną życzenia – unieś się myśl w chwile minione...

Stanie przed oczyma pięć lat pracy naszej tu na tej ziemi pod rządami polskimi...

Staną wspomnienia prac dokonanych – i myśl o ogromie ich leżących przed nami...

Pierwsze niech nam dodadzą otuchy, o drugich zaś myślimy bez trwogi, lecz pamiętajmy, że żadnej z nich sam rząd nie dokona, i że każdy z nas, wielki czy mały – a przed Majestatem Rzeczypospolitej wszyscy mali jesteśmy – cegiełkę do tej pracy dorzucić musi.

Przy opłatku więc ślemy dziś wszystkim życzenia wydajnej pracy dla Polski i dla Jej chwały; pracy w każdej dziedzinie i na każdej niwie... pracy, która ma te ziemie zespolić z Macierzą, która ma im zapewnić dobrobyt i wszystkim ich mieszkańców uczynić dobrymi obywatelami Polski...

Redakcja

Słowo Redaktora

Przeglądając „Kresy ilustrowane” z grudnia 1924 r. moją uwagę zwróciła notka „Przy opłatku”. Minęło 88 lat. To dużo czy mało? Dużo – stwierdzę jedni, świat się zmienił i ludzie się zmienili. Inni – mało, gdyż żyje wśród nas wiele dzieci II RP, urodzonych w młodym niezależnym Państwie Polskim. Publikacje „EP 32” pokazują nam te lata – w dużym fragmencie „Polesia ilustrowanego”, we wspomnieniach Haliny Szpak, w opowieści o dzieciach z Domaczewa, w poezji Franciszka Lachockiego. Tam, w latach międzywojennych, widzimy Polskę wymarzoną, odczytując ważne przesłanie dla nas dzisiaj. Tam jako naród daliśmy z siebie to co najlepsze. Ale i dziś jesteśmy przecież wnukami i prawnukami II RP, też jesteśmy Polakami i Polesie tak jak dla naszych dziadków jest naszą matką Ojczyzną. W tym przesłaniu – Majestat Boga i Krzyża, Majestat Ojczyzny, Majestat Rodziny. To trzy filary, na których powinno być budowane życie państwa. I nie ma innej drogi.

Drodzy Czytelnicy, życzę Wam i nam odwagi, by niezależnie od otaczającego świata i narzucanych stereotypów pozostać sobą i być wiernym przesłaniu naszych przodków. Chrońmy nasze rodziny. Pamiętajmy zawsze, jaki świat zostawimy naszym dzieciom i wnukom – czy pełny harmonii i miłości, mądry i życzliwy, czy patologiczny i agresywny, gdzie nie będzie miejsca dla ludzi normalnych i uczciwych.

Kolorowe magazyny, telewizja narzucają od lat obraz kobiety – wampa, głównym walorem której ma być większy procent seksapilu, płodzą prymitywne wzorce – „dodaste”, „muchaste”, wysmiewając obraz normalnej kobiety-matki. A jaka będzie matka, takie będą dzieci, taka będzie nasza przyszłość. Twórzmy wszelkimi sposobami kult macierzyństwa, kult matki – kochającej, ciepłej, mądrej, pracowitej. To takie matki cementują nasze rodziny i nasze społeczeństwo, swoją miłością dodają skrzydeł naszym mężczyznom, są dla nich oparciem i natchnieniem. To one dają siłę młodzieży do pokonywania trudności, do osiągnięcia sukcesów. Uczą kochać przyrodę i szanować pracę. To one modlą się za tych w rodzinie, co odeszli, za tych, co są z nami i tych, co do rodziny jeszcze przyjdą. To

matka trzyma swoją bezgraniczną, bezwarunkową miłością nierozzerwalny łańcuch swojego Rodu, łańcuch pokoleń. Jest to wielka misja i wyzwanie. Tak pisze o swojej mamie autor listu do redakcji Alojzy Wierzbicki: „Mama była przez całe swoje życie przykładem dla nas jak żyć uznając naturalne Prawa Boże”.

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, święta pokoju, miłości i zgody. W tym dniu, mówiąc słowami poety, serca nasze, „jeśli coś mają przebaczyć – przebaczą, jeżeli o czym zapomnieć – zapomną”, by się zespolić w serdecznym bratnim uścisku. Niech w każdym domu będzie też czas na głębokie refleksje i modlitwy o przebudzenie naszego społeczeństwa, niech znajdą miejsce słowa troski o nasz Kraj – o sprawiedliwe i uczciwe państwo, za które nie będzie nam wstyd, które można bez obawy i bólu zostawić naszym dzieciom i wnukom. Niech w każdej rodzinie zaświeci płomyk nadziei na lepsze jutro. Niech będzie miejsce na słowa wdzięczności dla starszego pokolenia, ich miłości, trudów, poświęcenia dla rodziny i Ojczyzny. Pamiętajmy w ten dzień o samotnych i opuszczonych. Niech będzie tradycyjnie odczytany fragment Ewangelii, i będzie modlitwa i długie śpiewanie kolęd – jak dawniej. Niech młodzi dzięki nam, starszym, poczują powagę i majestat Święta Bożego Narodzenia. Z całego serca życzymy Bożego Błogosławieństwa dla każdej rodziny, dla naszej Polski i naszej Białorusi!

Alina Jaroszewicz